RADEK RAK

NIC DZIWNEGO



wydawnictwo mik

26. MAŁOPOLSKIE DNI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO

Potem przychodziła muzyka. Pojawiała się tuż za oczami, w tym bezpiecznym, ukrytym miejscu, o którym każdy człowiek myśli: to jestem ja. I natychmiast zaczynała się rozrastać, wypuszczać gałęzie, pnącza i liście, drżące i kołyszące się do dziwnej melodii o rytmie zmiennym jak bicie serca. Brzmiały w niej głosy, ludzkie-nieludzkie, jak z kosmosu albo z japońskiego filmu. Muzyka rodziła się w głowie, ale Marta czuła, jak w ciągu kilku chwil rozprzestrzenia się po całym jej ciele, jak tętni w naczyniach krwionośnych aż po najmniejszą kapilarę, jak szarpie za nerwy tak, że aż boli. Ale to dobry ból. Słuchanie pięknej muzyki zawsze boli, i jest to jedno z najcudowniejszych uczuć, jakich może doświadczyć człowiek.

Nie, pomyślała. Nie słuchanie, ale bycie muzyką. Bo też ta muzyka nie potrzebowała żadnych innych instrumentów oprócz jej ciała i wyobraźni.

Melodia miała kształt, barwę i wygląd, i reagowała na najlżejszy dotyk myśli Marty. Nieistniejące kształty przychodziły i odpływały albo przeradzały się w inne, coraz bardziej niesamowite formy, by wreszcie rozprysnąć się jak bańki mydlane, pozostawiając w ustach posmak soli, a na skórze uczucie wilgotnego chłodu.

Fragment książki

RADEK RAK

NIC DZIWNEGO

małopolski instytut kultury MIK

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

Wydawca:
Małopolski Instytut Kultury w Krakowie
30-233 Kraków, ul. 28 Lipca 1943 17C
tel. 12 422 18 84, www.mik.krakow.pl
Dyrektorka: Joanna Orlik

Redakcja merytoryczna i dobór ilustracji:
Joanna Nowostawska-Gyalókay
Opracowanie redakcyjne: Ewa Ślusarczyk
Korekta: Aleksandra Kleczka, Ewa Ślusarczyk
Projekt graficzny serii: Agnieszka Buława-Orłowska
Projekt graficzny, skład i łamanie, przygotowanie zdjęć do druku:
Maciej Grochot
Współpraca: Małgorzata Hordyniec, Paulina Kasprzycka,
Dominika Mietelska-Jarecka, Joanna Warchoł

Na okładce: Popularny w okresie międzywojennym krakowski akrobata, kaskader filmowy i poeta Feliks Nazarewicz. Szybko dorobił się pseudonimu Człowiek Mucha. Na zdjęciu widzimy Nazarewicza podczas publicznego wspinania się po jednym z budynków, 1929.
NAC, sygn. 1-K-12529
Na s. 4 okładki: Radek Rak, fot. J. Nowostawska-Gyalókay, 2024. MIK

Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego organizuje Małopolski Instytut Kultury w Krakowie. To instytucja samorządowa Województwa Małopolskiego. Jej celem jest wspieranie rozwoju sektora kultury w regionie. MIK realizuje długofalowe projekty badawcze i analizuje procesy zachodzące w kulturze. Zajmuje się też działalnością szkoleniową i edukacyjną. Ponadto promuje i upowszechnia wiedzę o dziedzictwie regionu, zachęca również do aktywnego uczestnictwa w kulturze.

ISBN 978-83-67862-13-4

© by Małopolski Instytut Kultury w Krakowie, Kraków 2024

Publikacja powstała w ramach 26. Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego.
www.dnidziedzictwa.pl

Nakład: 3000 egz.
Druk: Drukarnia Skleniarz

RADEK RAK

NIC DZIWNEGO

SPIS TREŚCI

KRÓL I KAJZER. HERODOWE DARY
CZĘŚĆ PIERWSZA
Klasztor i kościół oo. Bernardynów w Krakowie 11

KRÓL I KAJZER. HERODOWE DARY
CZĘŚĆ DRUGA
Budynek nr 5 na Wawelu 37

GŁOSY ZZA ŚCIANY
Dwór w Biskupicach 61

KSIĘŻNE
Pałac Sanguszków w Tarnowie-Gumniskach 85

WKRÓTCE PORWĄ NAS OBŁOKI
Muzeum Jana Wnęka i kościół w Odporyszowie 111

Z DRUGIEJ STRONY DNIA
Zespół szpitalno-parkowy w Krakowie-Kobierzynie 135

Podziękowania 160
Wybrana bibliografia 163
Spis ilustracji 167

Szanowni Państwo!

Zapraszamy na 26. edycję Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego. Jak co roku Małopolski Instytut Kultury w Krakowie wraz z Gospodarzami niezwykle ciekawych zabytków z naszego regionu otworzą przed Państwem nieudostępniane na co dzień miejsca.

Zajrzymy do romantycznego dworu w Biskupicach, okolonego bujnym ogrodem, do Kobierzyna, by w tamtejszym parku poczuć terapeutyczną moc przyrody, i do podtarnowskich Gumnisk z pałacem o wielkiej historii. Stąd już całkiem blisko do odporyszowskiego muzeum, gdzie w zdumienie wprawia historia Jana Wnęka – rzeźbiarza, który miał wielkie marzenia: chciał latać. Wespniemy się także na wzgórze wawelskie, by posłuchać o losach budynku nr 5, i odwiedzimy klasztor oo. Bernardynów, gdzie wydaje się, że czas się zatrzymał.

W każdym zabytku zapisane są losy ludzi, którzy dane miejsce tworzyli, zamieszkiwali, a czasem po latach przywracali je do życia. W tym roku usłyszymy o wizjonerach, outsiderach i ekscentrykach, o dziwnych zrządzeniach losu i tajemniczych przypadkach – słowem, przekonamy się, jak wiele małopolskich historii może nas jeszcze zadziwić.

Niniejsza publikacja jest dopełnieniem i rozwinięciem tych opowieści. To najlepszy dowód na to, że dziedzictwo Małopolski stanowi niewyczerpane źródło inspiracji i warto je poznawać na wiele różnych sposobów. Zapraszam Państwa do lektury i do pięknej Małopolski!

Witold Kozłowski

Marszałek Województwa Małopolskiego
Kraków, marzec 2024 r.

Coś dziwnego. Czasem tak myślimy o przeszłości. Obce wydają się stroje, potrawy, zwyczaje. Zaskakujące wybory, zastanawiające posunięcia, dziwne zachowania. Oburzające dezycje. Jak to możliwe, jak oni mogli. Dzisiaj nie rozumiemy, jak to się stało, że historia potoczyła się w określony sposób. Wydaje się, że pomiędzy nimi, tam w przeszłości, a nami, dzisiaj, nie ma żadnego powiązania. Że my przecież na pewno zachowalibyśmy się inaczej.

W tym błogim przekonaniu tkwimy do momentu, kiedy nagle okazuje się, że obraz rozszczepiony na szczegóły, elementy dnia codziennego, ciąg przyczyn i skutków nabiera dziwnie zrozumiałego sensu. Że motywacje, reakcje, działania są – tak! – znane i bliskie. Że przeżywamy podobne emocje, wątpliwości, wahania. Jak oni wtedy.

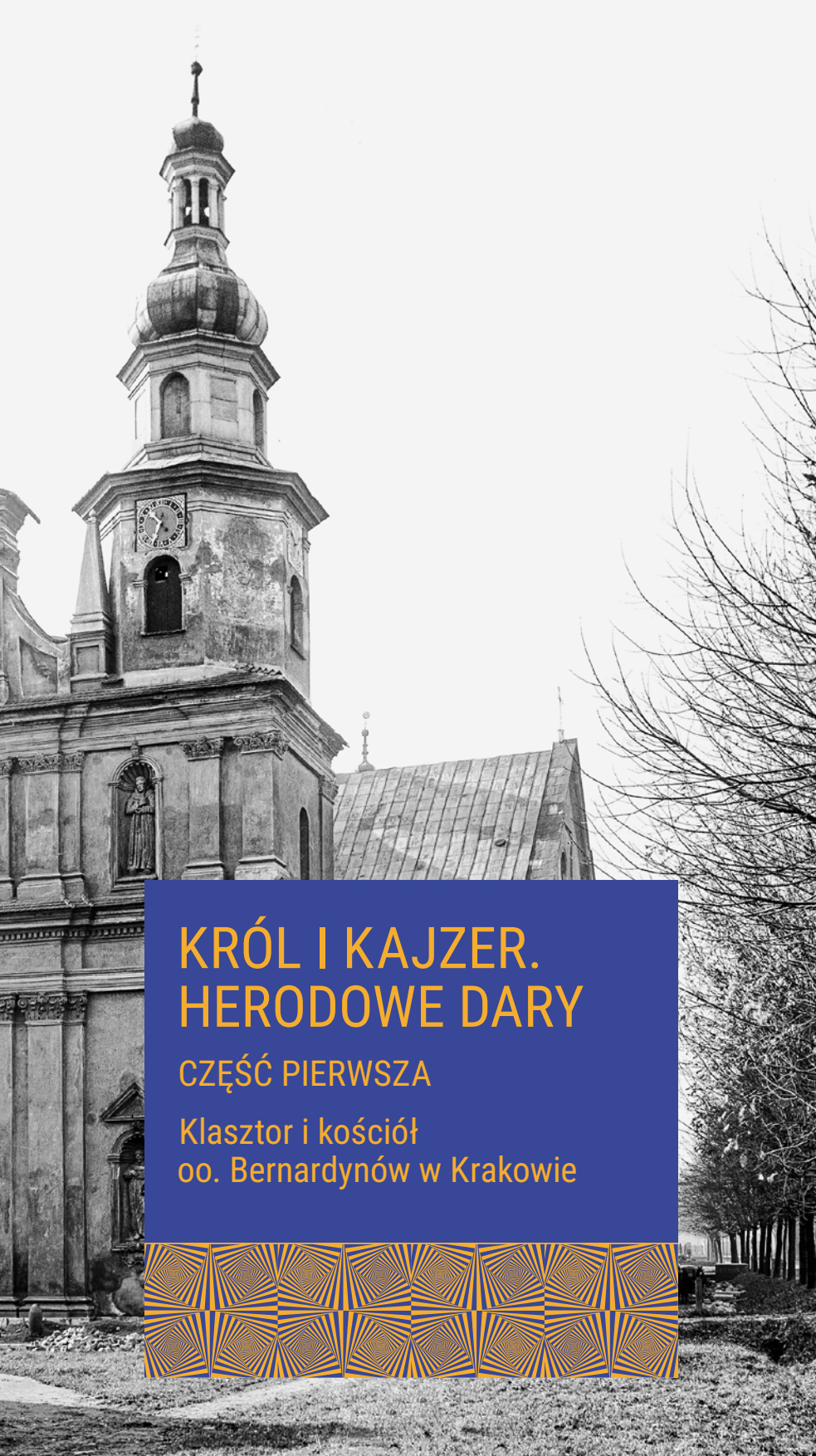
A bywa też odwrotnie. Historyczne wydarzenia uważamy za dziejową konieczność. Z dzisiejszej perspektywy wydaje nam się, że nie mogło być inaczej. Że przecież to oczywiste, że skończyło się, jak się skończyło. Że walka o inne zakończenia z góry skazana była na niepowodzenie i naiwnością było podejmowanie prób i wysiłków. I znowu, tylko do momentu, kiedy spojrzymy synchronicznie, jakby zapominając na chwilę, jaki był dalszy ciąg, i wgryziemy się w zagmatwany gąszcz szczegółów i zależności, wzajemnych wpływów i powiązań. Wtedy nagle udaje nam się stanąć w miejscu, w którym stali oni wtedy, i poczuć to, co czujemy dziś. Niepewność, chaos, gonitwę myśli. Zagubienie. Przerażenie. Nadzieję.

„Przeszłość jest to dziś, tylko cokolwiek dalej". Słuchamy tego, co oni mają nam do powiedzenia. I wtedy właśnie okazuje się, że to nic dziwnego. Zapraszam na 26. Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego.



Joanna Orlik
Dyrektorka Małopolskiego Instytutu Kultury w Krakowie

Kościół św. Bernardyna ze Sieny, koniec XIX w.



KRÓL I KAJZER. HERODOWE DARY

CZĘŚĆ PIERWSZA

Klasztor i kościół
oo. Bernardynów w Krakowie

W październiku 1918 roku Kraków był zmęczony wojną, nie na tyle jednak, by znudzić się plotkami. Mówiło się o tym, że Niemcy już poprosili o pokój, a rychło poprosi o niego i Austria. O tym, że cesarzowie Wilhelm II Hohenzollern i Karol I Habsburg zmuszeni będą abdykować lub w inny sposób zrzec się władzy, choć ani jeden, ani drugi nie ma zamiaru się na to zgodzić. Mówiono nawet o niepodległej Polsce, w którą wszyscy chcieli wierzyć, której wyczekiwali z drżeniem. Drżano z radości, ale i z obawy, bo Kraków jest stary i przez to niechętny zmianom, te bowiem zawsze niosą z sobą niewygody, a nawet jeśli są zmianami na lepsze, to tylko dla niektórych. Zastanawiano się po cichu, czy w tej nowej Polsce problemy Galicji nie zostaną zepchnięte na dalszy plan, bo z warszawskiej perspektywy nie okażą się specjalnie istotne.

Dyskutowano więc na salonach i w suterenach, na plebaniach i w koszarach, na uniwersytecie i na placach targowych – wszędzie. Tylko w handelku u Wnuka Derlęgi na parterze kamienicy Dębno pod wawelską Kurzą Stopką rozprawiano na temat nieporównanie bardziej zajmujący i tajemniczy.

Zdarzyło się tak, że w środę 9 października pan Adolf Szyszko-Bohusz, kierownik prac konserwatorskich i pierwsza osoba na Wawelu, zjawił się w handelku jak zwykle w porze drugiego śniadania. Zamiast jednak jak zwykle zjeść dwie kanapki z pastą jajeczną i szynką (a w piątek z żółtym serem), popijając szklaneczką piwa, nakazał Wnukowi zapakować kanapki w papier. Zaraz potem wybiegł, jakby go ścigano.



↑ Pocztówka z widokiem nieistniejącej już kamienicy Dębno i zamku wawelskiego, 1912

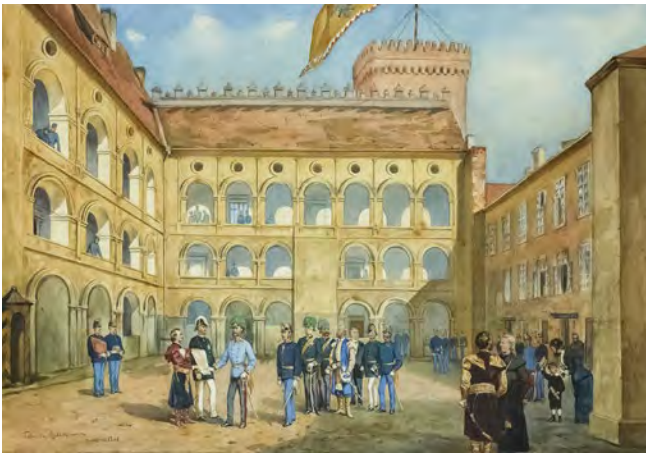


– I piwa nie wypił – zdumiał się pan Józef, emerytowany urzędnik magistratu i czynny zawodowo plotkarz.

Wszyscy, razem z Wnukiem Derlęgi, w zadumie pokiwali głowami. Bo abdykacje i zmiany w światowej polityce to rzeczy ważne, lecz nie powinny nikomu przesłaniać spraw naprawdę istotnych. Szyszko-Bohusz pojawiał się w handelku regularnie jak w zegarku, i zawsze znajdował czas, by zamienić kilka słów z każdym, bez względu na stan. Jego poranne zachowanie wydawało się więc wysoce niepokojące. A na dodatek to piwo.

Wszyscy przyjrzeli się podejrzliwie swym szklaneczkom, ale piwo wyglądało, pachniało i smakowało jak zwykle.

↑ Stefania i Adolf Szyszko-Bohuszowie z córką Sławą w mieszkaniu na Wawelu, 1918
↑ Adolf Szyszko-Bohusz, ok. 1913



Adolf Szyszko-Bohusz był architektem i konserwatorem po petersburskiej Cesarskiej Akademii Sztuk Pięknych, a od dwóch lat kierował pracami renowacyjnymi na opuszczonym przez austriackie wojsko Wawelu. Młody, bo trzydziestotrzyletni wówczas, Szyszko-Bohusz podjął się zleconej mu misji z wielkim entuzjazmem, miał bowiem osobowość rzutką i ze skłonnością do rozmachu. W najbliższą niedzielę miał zamiar zorganizować wielkie otwarcie jakichś pradawnych ruin pod starymi królewskimi kuchniami, odkrytych przed kilkoma laty. Czy jednak niezwykły dla kierownika niepokój był związany ze zbliżającą się uroczystością, trudno orzec. Trzeba było poczekać, aż przyjdą Król z Kajzerem i wszystko opowiedzą. To znaczy Król opowie, bo Kajzer zazwyczaj milczał z godnością. Za to Król, który mieszkał na Wawelu od zawsze, stanowił niezawodne źródło zamkowych nowin, plotek i ciekawostek. Pojawiał się najczęściej tuż przed południem, bo, jak przystało na prawdziwego króla, sypiał do późna. Oznaczało to, że część klientów handelku będzie musiała udać się do swoich spraw, nie zaspokoiwszy ciekawości.

Do handelków przed południem zaglądali głównie ci, którzy mogli sobie pozwolić na krótką przerwę w pracy: urzędnicy, wykładowcy, ale też fiakrzy, wozacy i handlarze spoza miasta. Odkąd na Wawelu rozpoczęły się prace renowacyjne, do Wnuka Derlęgi zaglądali też konserwatorzy, archeologowie i majstrowie kamieniarscy. Najwcześniej zjawiali się starzy kawalerowie,

↑ Tadeusz Ajdukiewicz, akwarela *Cesarz na dziedzińcu Zamku Królewskiego na Wawelu* z cyklu *Podróż inspekcyjna cesarza Franciszka Józefa I po Galicji we wrześniu 1880 r.*, 1880

których w Krakowie nie brakowało: pensje często nie wystarczały na utrzymanie porządnego domu, a bez porządnego domu, czy choćby perspektyw na niego, trudno liczyć na porządną żonę. Wojna nieco przetrzebiła starokawalerskie szeregi, lecz nie na tyle, by zaszkodzić istnieniu handelków. Kawalerowie zjadali w nich pierwsze (i zwykle jedyne) śniadanie. Ci żonaci, a więc lepiej sytuowani i szczęśliwsi – drugie. A po południu przychodziła służba, by kupić nieco przypraw i korzeni, nie narażając się na zaczepki porannej klienteli.

Król i Kajzer zaskoczyli tego dnia wszystkich, zjawili się bowiem zaraz po tym, jak wybrzmiał hejnał z godziny jedenastej, a zatem znacznie wcześniej niż zwykle. Jak to mieli w zwyczaju, zajęli miejsce na uboczu, bo Kajzer wdawał się niekiedy w pyskówki z innymi gośćmi. Była środa, zabrali się więc za pałaszowanie serdelków. Król zjadł dwa, jak w każdy dzień prócz piątku, kiedy to zwykł jadać śledzie z cebulą. Kajzer poprzestał na jednej kiełbasce, jak zwykle, bez względu na dzień tygodnia; w przeciwieństwie do swego towarzysza nie zachowywał żadnych postów ani wstrzemięźliwości od pokarmów mięsnych. Był bowiem psem, półkrwi jamnikiem, a półkrwi nie wiadomo kim.

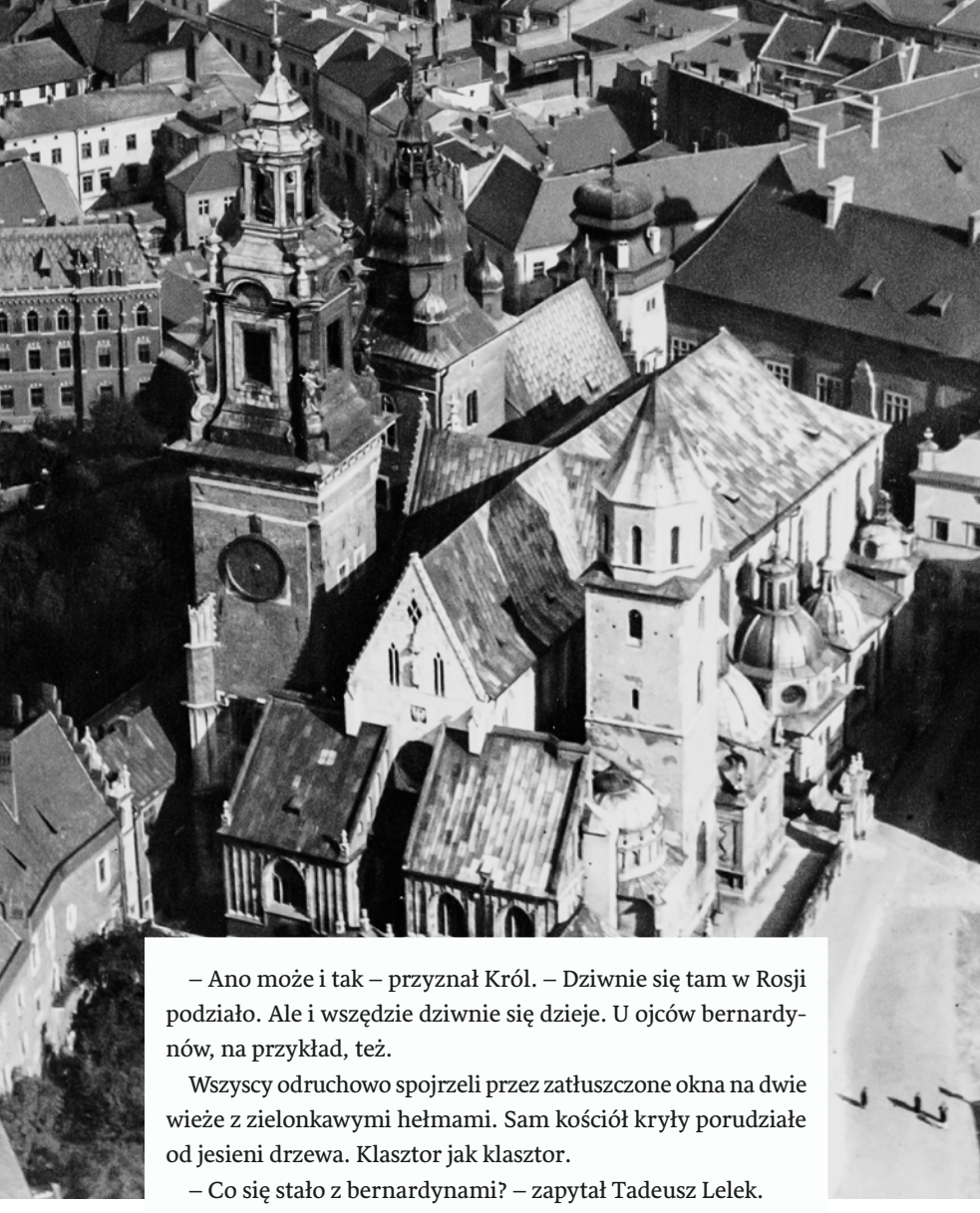
– Co z tym Szyszko-Bohuszem, mówże pan, panie Król. – Pan Józef z ciekawości aż nie mógł usiedzieć. – Wpadł przed chwilą jak po ogień, nie zamienił słowa, kazał czym prędzej zapakować sobie kanapki i tyle go widzieli.

– I nawet piwa nie wypił – zauważył Tadeusz Lelek, niestary fiakier o pięknych czarnych wąsach.

– I nawet piwa nie wypił – potwierdził pan Józef.

– Pewnie kolejni zaproszeni goście odmówili przybycia na odsłonięcie rezerwatu archeologicznego. – Kazimierz Król, nocny stróż na Wawelu, starannie otarł chusteczką wąsy i pogładził się po bokobrodach. – Nie dalej jak przedwczoraj przyszła odmowna odpowiedź od całej delegacji architektów z Petersburga, mimo że goszczą akurat w Krakowie. Pan kierownik bardzo to przeżył, bo wystawa to jego wielkie dzieło. Pomyślcie tylko: niemal tysiąc lat polskiej historii wydobyte na światło dzienne!

– Musi to być nie w smak rosyjskim uczonym, nie ma się czemu dziwić – zauważył Wnuk Derlęgi. Kim był Derlęga, tego już nikt nie pamiętał, i tyle tylko wiedziano, że Wnuk jest jego wnukiem.



– Ano może i tak – przyznał Król. – Dziwnie się tam w Rosji podziało. Ale i wszędzie dziwnie się dzieje. U ojców bernardynów, na przykład, też.

Wszyscy odruchowo spojrzeli przez zatłuszczone okna na dwie wieże z zielonkawymi hełmami. Sam kościół kryły porudziałe od jesieni drzewa. Klasztor jak klasztor.

– Co się stało z bernardynami? – zapytał Tadeusz Lelek.

Król dumał przez chwilę, a potem rzekł:

– Można powiedzieć, że stracili głowę.

***

Tego środowego ranka Kazimierz Król wstał wcześniej niż zwykle, bo wpół do dziesiątej. Gdy tylko się oporządził, a zwłaszcza wyszczotkował starannie bokobrody, udał się do gabinetu pana Szyszko-Bohusza w budynku starych kuchni, by jak zwykle zdać

↑ Wzgórze wawelskie z lotu ptaka, pośrodku budynki austriackiej administracji i szpitala wojskowego oraz dawne stajnie królewskie, pocz. XX w.



mu szczegółową relację ze wszystkiego, co się wydarzyło nocą, czyli z niczego. Pan Adolf zdawał się przemęczony i pełen niepokoju przed zbliżającym się otwarciem rotundy św.św. Feliksa i Adaukta, odkrytej jeszcze przez Zygmunta Hendla, architekta i pierwszego kierownika prac konserwatorskich na Wawelu, a w pełni odsłoniętej w 1917 roku. Szyszko-Bohuszowi zależało, by wszystko odbyło się z odpowiednią pompą, zwłaszcza teraz, gdy okoliczności polityczne wskazywały, że Polska na nowo wyjdzie z podziemnego świata.

– Tak jak rotunda – zauważył Kazimierz.

– Mój drogi, rozumiesz wszystko w lot – pełne oblicze Szyszko-Bohusza rozpromieniło się. – W przeciwieństwie do niektórych durniów z tytułami. Wyobraź sobie, że dostałem kolejną odmowną odpowiedź na zaproszenie. I to od człowieka, z którym studiowałem na jednej uczelni, tyle że on historię sztuki, a ja architekturę. Gdybyż jeszcze miał specjalnie jechać do Krakowa,

gdybyż mieszkał w Warszawie, Wiedniu, Petersburgu czy nawet we Lwowie, rozumiałbym. Ale on ma z domu na Wawel bliżej niż ja!

– Czy mogę panu jakoś pomóc? – zapytał stróż uprzejmie.

– Nie. Jeśli będę chciał kopnąć go w tyłek, zrobię to sam. Ale gdybyś był tak uprzejmy i złożył u ojców bernardynów zamówienie na jesienne kwiaty dla uświetnienia uroczystości, byłbym zobowiązany. Aksamitki, marcinki, cokolwiek, byle nie chryzantemy. Teraz o tym pamiętam, a za kwadrans zapomnę, tyle innych spraw do załatwienia.

Król zabrał tedy Kajzera nad Wisłę, by ten z nosem przy ziemi wyczytał psie nowiny i załatwił wszystkie interesy, które szanujący się pies powinien załatwić podczas porannego spaceru. Stamtąd obaj ruszyli ku klasztornej furcie.

Klasztor, choć spory, rozrastał się raczej wszerz niż wzwyż, i nawet jego kopuła wpuszczona była w dach. Wszystko to, aby na wypadek oblężenia nie przeszkadzać w prowadzeniu ostrzału działom po południowej stronie Wawelu. Poprzedni bernardyński kościół stojący w tym miejscu został spalony przez obrońców podczas potopu szwedzkiego wraz z całym przedmieściem. Szkoda, że włodarze miasta w ostatnich kilkudziesięciu latach przestali wyciągać jakiekolwiek wnioski z historii, bo kamienice



przy ulicach Stradomskiej, św. Agnieszki i Smoczej wyrastały niemal równie wysoko co wieże nowego kościoła. O wojnie zupełnie przestano myśleć.

Krakowianie od dawna zaopatrywali się u ojców bernardynów w kwiaty. Choć pod koniec ubiegłego wieku klasztorne ogrody okrojono z kilku stron, by zrobić miejsce dla nowego budownictwa, ogrody nadal zajmowały spory szmat ziemi na Stradomiu. Drzewa owocowe rodziły coraz słabiej ze względu na zanieczyszczenie powietrza oraz odcięcie światła przez świeżo powstałą zabudowę, kwiaty jednak nadal miały się dobrze.

Ku swemu zadowoleniu, Kazimierz napotkał na furcie brata Pacyfika, zajmującego się ogrodem. Brat Pacyfik lubił psy i nie miał nic przeciwko Kajzerowi, póki ten nie chciał wchodzić do samego kościoła. Wszak sam św. Franciszek, założyciel jego zakonu, miał prawić kazania ptakom, nawracać wilki i tak dalej, więc dlaczego miałby brat Pacyfik mieć coś przeciw psom. W Bożym zamyśle psy z pewnością zajmują bardzo wiele miejsca.

Tego dnia brat Pacyfik wydawał się dziwnie niespokojny.

– Chodźcie, chodźcie. Tylko od razu do ogrodu, żeby ojciec gwardian nie zauważył.

W zalanym blaskiem jesieni ogrodzie panował spokój, lecz poza nim w klasztorze wrzało jak w ulu przed wyrojem. Co rusz trzaskały jakieś drzwi i ktoś przebiegał przez dziedziniec w pośpiechu nieprzystojącym osobie duchownego stanu.

– Znowu grządki podeptali. – Zakonnik wskazał połamane łodygi przy inspektach przytulonych do północnej ściany ogrodu. – Nocami przychodzą, chłopacy i dziewki. Żadnego wstydu nie mają.

Przyklasztorny ogród rzeczywiście wydawał się wymarzonym miejscem schadzek. A leciwe mury, choć wysokie, pękały tu i tam, tynk złaził płatami. Ktoś, kto chciałby się dostać do ogrodu, z pewnością znalazłby sposób.

– Ile tych chryzantem? – Brat Pacyfik wyrwał Kazimierza z zadumy.

– Chryzantemy nie, lepiej astry – odparł Król. – Z pewnością dużo. Pan Adolf ma gest i lubi wszystko robić jak należy. Co tu się u was dzieje? Ruch, jakby miał przyjechać sam papież. To chyba nie przez te podeptane grządki?

← Jędrzej Brydak według wzoru Henryka Waltera, barwna litografia kościoła św. Bernardyna ze Sieny, przed 1876



– Okropne nieszczęście, niech nas Bóg zachowa. Zaginęła nasza głowa.

– Głowa? Głowa zakonu? Czy coś się stało gwardianowi?

– Ach, nie, szczęśliwie nie, choć pewnie ojca Antonina łatwiej dałoby się zastąpić.

Król nie odzywał się. Znał brata Pacyfika nie od dziś i wiedział, że jeśli zachowa się cierpliwość, można się od niego naprawdę wiele dowiedzieć. Udał więc, że całą uwagę poświęca Kajzerowi, który dreptał tu i tam, obwąchując drzewa i krzewy, i tajemniczym sposobem coraz bardziej zbliżał się w stronę kuchni.

– To nie głowa gwardiana zaginęła, bo ta chyba jest tam, gdzie zwykle, tylko głowa świętego Jana Chrzciciela. Znaczy gotycka rzeźba: głowa Jana Chrzciciela na misie.

Kazimierz zaciekawił się jeszcze bardziej. Wydawało się, że nawet Kajzer nadstawił uszu. O tym, że klasztor ojców Bernardynów skrywa skarby sztuki ocalone jeszcze z dawnego kościoła, mówiono nie od dziś. Jakie dokładnie, tego można się było

↑ Bernardyni w pozie adoracji, gipsowe płaskorzeźby z dzwonu z 1622 r., pocz. XX w.

jedynie domyślać. Każdy z niezliczonych krakowskich kościołów miał swoje pilnie strzeżone tajemnice.

– Chce pan zobaczyć miejsce, gdzie ją przechowywano? – zapytał brat Pacyfik konspiracyjnym tonem.

– A policja? – odparł Król, również półszeptem.

– Policję ojciec Antonin sprowadzi po zmroku. Po co ludzie mają gadać, że policja u zakonników. Zaraz zaczną węszyć sensację i wyobraźnia będzie im pracować więcej niż trzeba. Podobno zresztą niebawem ma zmienić się władza i żandarmi mają co innego na głowie. Na przykład to, kto straci swoje stanowisko, a kto je zachowa. – Brat Pacyfik brzmiał niespodziewanie sensownie jak na siebie. – Ja pana znam i panu ufam, a policji nie znam i jej nie dowierzam. Chodźmy, panie Kazimierzu. I pies też. Niech pan nie zapomni o psie.

– Co też brat wygaduje?

– No już, już. Żeby tylko nikt niczego nie spostrzegł.



↓ Seweryn Oleszczyński, rysunek przedstawiający krakowskiego bernardyna Franciszka Lekszyckiego, siedemnastowiecznego artystę, 1830–1850

***

W zakrystii unosiło się wspomnienie woni kadzidła, bardzo przyjemne, choć Kajzer, trzymany przez Kazimierza na rękach i skryty pod płaszczem, kichał raz po raz.

Brat Pacyfik otworzył jedną ze starych rzeźbionych szaf i wydobył z niej starą rzeźbioną skrzynię. Przekręcił klucz tkwiący w zamku i uniósł wieko. Wewnątrz znajdowała się jedynie bogato haftowana tkanina, w którą zapewne do niedawna zawinięta była rzeźbiona głowa na misie.

– Zawsze trzymacie klucz w zamku? – zdziwił się Król.

– A czemu nie? Mógłby się przecież zgubić. A tak jest prościej. Nikt tu nie zagląda.

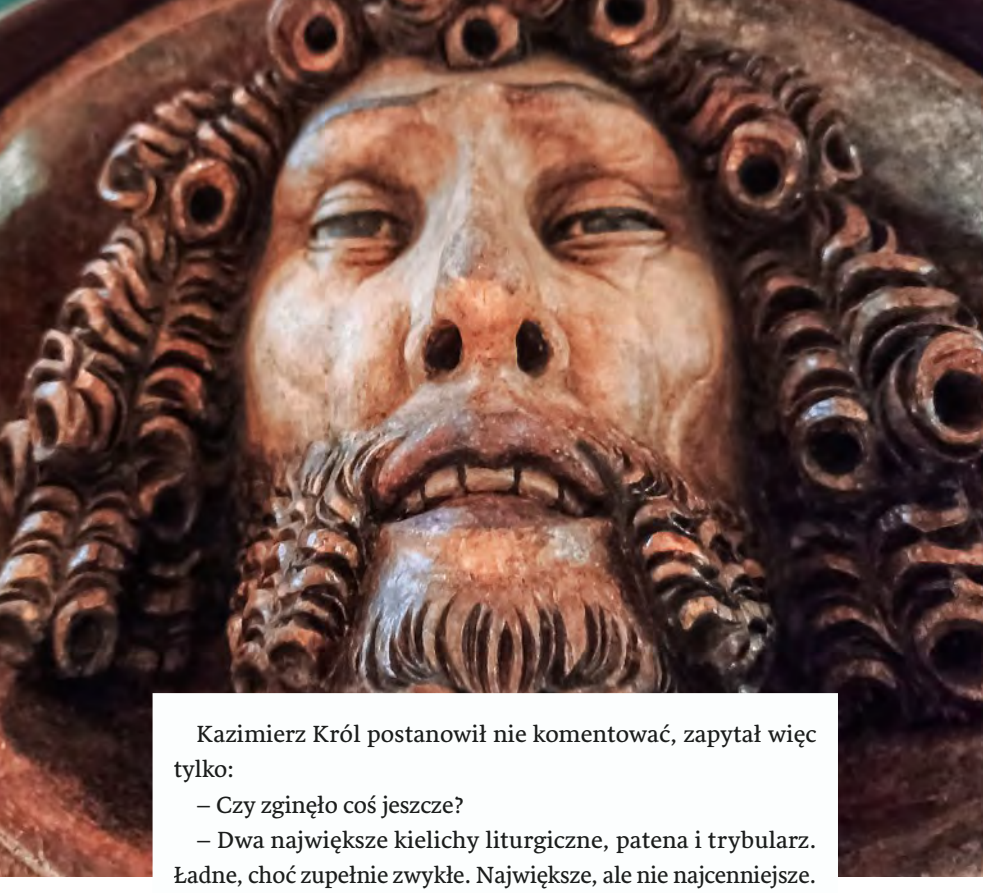
– Najwyraźniej jednak ktoś zajrzał – zauważył Król.

Był wawelskim stróżem od zawsze i do głowy by mu nie przyszło podobne zaniedbanie. Oczywiście, na Wawelu byli też inni stróżowie, ale Król, z najdłuższym stażem, uważał ich wszystkich za leni i darmozjadów. Nie mógłby spokojnie zasnąć bez świadomości, że wszystkie drzwi, schowki i skrytki pozamykano jak należy. A do każdego zamka potrafił bezbłędnie dobrać klucz już za pierwszym razem. I to po ciemku.

– No tak. – Brat Pacyfik stropił się wyraźnie. – Ale wcześniej nikt nie zaglądał, więc skąd można było przypuszczać, że kiedyś zajrzy.



↑ Stanisław Cercha, rysunek Głowy św. Jana Chrzciciela na misie, ok. 1900



Kazimierz Król postanowił nie komentować, zapytał więc tylko:

– Czy zginęło coś jeszcze?

– Dwa największe kielichy liturgiczne, patena i trybularz. Ładne, choć zupełnie zwykłe. Największe, ale nie najcenniejsze.

– Dziwne. Złodziej, który kradnie gotycką rzeźbę, o której mało kto słyszał, musi wiedzieć, co kradnie. A ten, kto spośród wielu drogocennych naczyń rabuje te, które nie są najwięcej warte, ale za to są duże, nie ma pojęcia, co pada jego łupem.

– No i widzi pan, jak to dobrze, że o wszystkim panu powiedziałem – uradował się zakonnik. – Może w ogóle nie trzeba będzie kłopotać żadnej policji, bo wszystko pan sam rozwiąże.

– Powoli – uciął Kazimierz, bacząc, by nie dać się wziąć na lep pochlebstw. – Niewykluczone, że mogło dojść do dwóch różnych włamań. Skąd brat ma pewność, że głowa i naczynia zaginęły w jednym czasie?

– To musiało wydarzyć się dziś w nocy. Ojciec Szymon tuż przed jutrznią otworzył szafę i sięgając po naczynia, zauważył ich brak. Dopiero potem po śladach w kurzu na półce spostrzegł, że ktoś ruszał również skrzynię z głową świętego Jana. Ślady wydawały się świeże.

Stróż ponownie zajrzał do szafy. Warstwę kurzu starto już dokładnie.

↑ Gotycka rzeźba – Głowa św. Jana Chrzciciela na misie, ok. 1500

– Żeby nie było wstydu przed policją – pospieszył z wyjaśnieniem brat Pacyfik. – Ojciec gwardian kazał posprzątać. Potem rozniesie się po mieście, że u bernardynów panuje bałagan. A po co mają złe języki gadać.

Król powstrzymał westchnięcie i chęć zbesztania brata Pacyfika jako jedynego przedstawiciela zakonu, który był pod ręką. Zaraz jednak ukłuła go nieprzyjemna myśl, że to wcale nie musiało być przypadkowe działanie.

Tymczasem brat Pacyfik przestępował nerwowo z nogi na nogę.

– Tak sobie myślę, że pana pies…

– Co z nim?

– Że mógłby wytropić złodziei. Bo skoro ufam panu więcej jak żandarmom, to pewnie i pańskiemu psu mógłbym zaufać bardziej niż psom policyjnym. – To mówiąc, podsunął skrzynkę prosto pod nos zdziwionego Kajzera.

Kazimierz nie miał serca wyprowadzać zakonnika z błędu i tłumaczyć, że tropienie nie przebiega w taki sposób, a Kajzer nie jest dobermanem Prinzem, który jeszcze przed wojną brał udział w poszukiwaniu zabójców Ferdynanda Świszczowskiego, kierownika księgarni w Rynku. Sprawą tą żył swego czasu cały Kraków. Choć Kajzer całkiem nieźle radził sobie z polowaniem na wawelskie szczury i przeganianiem wałęsających się kotów, to przecież śledzenie złodziei jest zupełnie inną sprawą.

Brat Pacyfik tak bardzo chciał wierzyć w tropicielskie zdolności półkrwi jamnika, że odmowa sprawiłaby mu pewnie dużą przykrość. A przecież drobne uprzejmości nie kosztują wiele. Kazimierz przytrzymał więc Kajzera w powietrzu, a ten obwąchał skrzynię i kichnął prosto w cenną chustę. Oblizał nos, popatrzył na Króla i zamerdał końcówką ogona.

W korytarzu rozległy się kroki i głosy, a po chwili na progu zakrystii stanął ojciec Antonin Micał, gwardian, czyli przełożony klasztoru. Niewysoki, mocno zbudowany i prędki w ruchach, zmierzył wzrokiem brata Pacyfika, Króla i Kajzera, i nastroszył brwi.

– A co to ma znaczyć? Kim pan jest? I co tu robi ten pies?

– Szczęść Boże – odparł Kazimierz spokojnie, za to Kajzer rozszczekał mu się spod pachy.

– To pan Kazimierz Król, ojcze gwardianie. Niech się ojciec nie sierdzi. Prowadzi śledztwo w sprawie zaginięcia głowy św. Jana Chrzciciela.

– Jakie znów śledztwo, czy wyście rozum postradali?! Śledztwo zostawmy policji. Proszę natychmiast stąd wyjść. I zabrać z sobą tego kundla!

Kajzer, jak to potomek jamniczego rodu, miał krótki zapłon i łatwo wpadał w gniew, szczególnie gdy ktoś podnosił głos, wypominając mu pochodzenie z nieprawego legowiska. Warczący i wierzgający stawał się trudny do utrzymania, Kazimierz pożegnał się więc pospiesznie i wyszedł, zanim jego przyjaciel dopuścił się jakichś pyskoczynów. W ślad za nimi wyszedł też brat Pacyfik.

W korytarzu Król puścił Kajzera luzem, a ten uradowany pobiegł przed siebie z dumnie wyprostowanym ogonem, szczekając i stukając pazurkami o posadzkę. W przeciwieństwie do zakrystii, pachniało tu całkiem zwyczajnie i po świecku: gotowaną kapustą z lekką nutą smażonej cebuli. Kajzer bezbłędnie znalazł drogę do kuchni i jął obskakiwać zamknięte drzwi, nie przestając ujadać.

– Uciszże się. Co w ciebie wstąpiło? Przepraszam brata, obawiam się, że mój przyjaciel jest zanadto porywczy jak na pomocnika śledczego.

– Tak, tak, oczywiście. Tak sobie tylko myślałem… To ja może pójdę już wybrać te chryzantemy.

– Astry.

– No tak, astry. Tylko upraszam o dyskrecję w sprawie tej kradzieży, panie Kazimierzu.

– Przecież mnie brat zna. Z Panem Bogiem.

– Z Panem Bogiem.

***

– …i dlatego też upraszam panów o dyskrecję – zakończył Król, dopijając czarną kawę i wycierając wąsy z drobinek fusów.

Wszyscy zebrani w handelku Wnuka Derlęgi przytaknęli z powagą. A Kazimierz Król był pewien, że następnego dnia do śniadania dostanie solidną porcję nowin, i to zupełnie za darmo.



A oprócz własnych oczu i uszu warto zrobić użytek również z cudzych.

Sieci zostały zarzucone.

***

W czwartek pan Adolf Szyszko-Bohusz w ogóle nie pojawił się na drugim śniadaniu, za to Król i Kajzer zjawili się jeszcze wcześniej niż poprzedniego dnia. Stróż przyniósł wieści, że do Szyszko-Bohusza przyszła kolejna wiadomość, w której pewien oberlejtnant z ubolewaniem oświadczał, że nie może się pojawić



na uroczystym otwarciu rezerwatu archeologicznego. Działo się więc sporo. Zanosiło się na wielką klapę, a wielka klapa oznaczała wielki skandal. Emocje udzielały się nawet Kajzerowi, który z zaangażowaniem obszczekiwał każdego wchodzącego do handelku klienta.

Okazało się, że do sieci Kazimierza Króla, jak to z sieciami bywa, wpadło przede wszystkim sporo śmieci. O sprawie bernardyńskiej głowy wiedzieli już wszyscy, i w handelku huczało od nowin i domysłów. Mówiło się nawet o bolszewickich agentach, co brzmiało zupełnie niedorzecznie, bo po co mieliby oni kraść rzeźbę, choćby nawet cenną.

↑ Józef Brodowski, rysunek kościoła św. Bernardyna ze Sieny od północnego wschodu, 1824

Wśród całego tego śmiecia udało się jednak wyłowić przynajmniej jedną tłustą rybę.

– Niechby już całe to zamieszanie minęło. – Fiakier Tadeusz Lelek pociągnął łyk piwa, ostrożnie, aby nie zamoczyć wypomadowanych wąsów. – Z głową, z wykopaliskami Szyszko-Bohusza, i z całą tą wojną.

– A co, braciszkowie od świętego Bernardyna zaczęli pilniej strzec rajskiego ogrodu? – uśmiechnął się Wnuk.

– Śmiej się pan, śmiej. W całym Krakowie trudno znaleźć lepsze miejsce na spotkanie z panną. Nikt nie zaczepia, nie ma andrusów ani meneli, jak na Plantach, nikt nie pilnuje, jak w ogrodzie botanicznym. A teraz to będą wszystkiego strzec, jak nie bracia, to policja.

– No to będziesz musiał chodzić na Wawel do Dorotki, zamiast Dorotka do ciebie – zauważył Wnuk. – Tylko uważaj, bo cię pan Król przydybie. I się zastanów, bo jakże to tak, porządne dziewczyny nocą na skakanie przez mur namawiać.

– Przez żaden mur nikt skakać nie musi.

– Bo i pewnie żadnej Dorotki nie ma – wtrącił pan Józef, emerytowany urzędnik magistratu i czynny zawodowo plotkarz, wywołując gromki wybuch śmiechu. Kajzer rozszczekał się gniewnie, bo nic tak bardzo go nie drażniło jak ludzie, którzy cieszą się bez jego zgody.

– Tobie w tym wieku już tylko docinki zostały – burknął Tadeusz, zły, że stał się obiektem drwin.

– Idze, idze, bajoku – skwitował pan Józef, co spowodowało nowy napad wesołości.

Tadeusz zmył się jak niepyszny, a wkrótce po nim zebrał się Kazimierz Król. Jako dobry stróż miał szeroko otwarte oczy i czujne uszy. Usłyszał już dosyć.

– Dziękuję. – Dyskretnie skinął głową Wnukowi Derlęgi, który zawsze potrafił pociągnąć swych gości za język.

– Do usług, choć jak zwykle nie mam pojęcia, za co.

– Mniejsza o to. Proszę zapakować dwie kanapki z pastą jajeczną i szynką dla pana Adolfa. Teraz miota się zapewne z gniewu i frustracji, ale jak mu przejdzie, to zgłodnieje.

Zanim jednak Król i Kajzer wrócili na Wawel, stróż zatrzymał się przy klasztorze bernardynów. Domyślał się, że nie jest tu

specjalnie mile widziany, ale nie mógł się powstrzymać, by raz jeszcze nie zajrzeć tu i tam.

– Pilnuj kanapek, Kajzer – powiedział, kładąc pakunek na murku od ulicy Bernardyńskiej.

Sam przekroczył próg kościoła, cichego i pogrążonego w półmroku. Nad głową i wszędzie wokół kipiał barok, pełen promieni, anielskich skrzydeł, fałdzistych szat i rzeźbionych twarzy zmienionych cierpieniem lub ekstazą. Tu i tam dał się słyszeć szmer szeptanych modlitw.

Kazimierz Król skierował się do kaplicy w południowym ramieniu transeptu. Usiadł tam w ławce przed ołtarzem, całym błękitnym, z rzeźbą św. Anny Samotrzeciej, czyli figurą św. Anny, Maryi i małego Jezusa. Był to kolejny gotycki relikt



↑ *Taniec śmierci*, akwarela wykonana na podstawie malowidła ściennego w kościele św. Bernardyna ze Sieny, XIX w.

ocalały ze starego kościoła, podobnie jak zaginiona misa z głową św. Jana Chrzciciela. Uwagę stróża przykuwał jednak nie ołtarz, choć piękny, tylko malowidło po prawej stronie przedstawiające taniec śmierci. Błądził po nim wzrokiem, odnajdując wciąż nowe elementy i wątki. Oto pośrodku spalonej równiny bogato odziane kobiety tańczyły w kręgu ze szkieletami, a otaczały je wizerunki mężów wszystkich stanów. Byli tam cesarz i papież, kardynał i biskup, książę i szlachcic, żołnierz i mieszczanin, chłop i żebrak, a każdy z nich miał do pary śmierć i odpowiedni wiersz. Stróża co prawda nie było, choć pewnie dałoby się podciągnąć go pod żołnierza.

Spojrzenie Kazimierza wciąż powracało do jednego z czterowierszy, umieszczonego u góry pod poczerniałą czaszką:

„Różnych Stanów piękne grono
Gęstą Śmiercią przepleciono
Żyjąc wszystko tańcujemy
A że obok śmierć nie wiemy".

Słowa te nie dawały mu spokoju, zupełnie jakby jakiś głos podpowiadał mu rozwiązanie zagadki. Czy była to jednak zagadka skradzionej głowy, czy zupełnie inna, nie mógł orzec.

Król siedział w kaplicy dość długo. Dobrze czuł się w kościołach, choć jego religijność wynikała raczej z wymogów społecznych niż z głębokiej potrzeby ducha. Niespodziewanie usłyszał przy sobie szelest szat.

W ławce tuż obok niego przysiadł ojciec gwardian Antonin Micał.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. – Stróż pozdrowił jako pierwszy.

– Na wieki wieków, amen.

Zakonnik przez chwilę obracał w palcach różaniec. Kazimierz już miał sobie pójść, bo obecność gwardiana rozpraszała go i sprawiła, że zgubił wszystkie nitki myśli i rozwiązanie, które było już na wyciągnięcie ręki. Wtedy jednak tamten odezwał się niespodziewanie:

– Ufam, że nie ma pan zamiaru dalej siać zamętu w głowie brata Pacyfika.

→ Jan Kapistran zachęcający do pozbywania się zbytków przez mieszczan z niemieckiego Bambergu, ok. 1470

– Wydaje się, że szczerze mu zależy na odnalezieniu głowy Jana Chrzciciela i ujęciu sprawcy. Czy i inni bracia nie domagali się tego samego?

– Nie jest rzeczą braci domagać się i żądać. Pan myśli jak człowiek ze świata.

– Jak demokrata.

– My tutaj takich słów nie używamy. Już i tak mamy na karku policję. Mam wrażenie, jakby wszyscy funkcjonariusze z miasta węszyli po klasztorze. Zaglądają nawet do wygódki.

– To ich praca. Naprawdę bardziej ojcu przeszkadza policja niż kradzież zabytku? Co z prawdą? Czy prawda nie wyzwala?

– Święty Jan Kapistran, założyciel naszego klasztoru, nie brał udziału w pojedynkach na Słowo Boże, nawet wyzywany przez husytów. I ja zatem nie będę z panem fechtował.





– Wasz święty nie dyskutował, tylko nawracał?

– Jesteśmy zakonem obserwantów, nie dyskutantów. – Gwardian puścił zaczepkę mimo uszu. – A owoce tych nawróceń bywały wspaniałe. Słyszał pan o stosach zbytku? Na rozkaz Kapistrana znoszono na rynek bogate stroje, tkaniny, buty ze szpicami, kości do gry, szachy, obcięte kobiece włosy i inne rzeczy może i ładne, ale tak naprawdę zbędne. Układano to wszystko na stosie i palono. Tak działo się w Norymberdze, Bambergu, Jenie, Magdeburgu, Lipsku, Wrocławiu i Krakowie.

– Znając krakowian, nie był to pewnie bardzo wielki stos.

– Pan sobie drwi, bo pan nie rozumie, że prawa świata w tym miejscu nie obowiązują. Może i są potrzebne poza murami klasztoru, lecz w ich obrębie panuje inny porządek. Zastanawiam się, czy ta rzeźba nie była taką naszą próżnością, którą należałoby odnieść na stos zbytku. Dlatego Bóg zesłał nam złodzieja.

↑ Giovanni di ser Giovanni Guidi, św. Bernardyn ze Sieny głosi kazanie, poł. XV w.

– A czy w klasztornym ogrodzie panuje porządek boski czy światowy? Bo wiadomo mi skądinąd, że to popularne miejsce schadzek.

Jeśli ojciec Antonin coś o tym wiedział, nie dał tego po sobie poznać. Nie drgnęła mu nawet powieka; mógłby sam być jedną z figur albo wyjść z któregoś świętego obrazu.

– Nic panie nie rozumie – rzekł wreszcie. – Niech pan już idzie.

***

Na zewnątrz okazało się, że tego dnia Adolf Szyszko-Bohusz będzie musiał obejść się smakiem: kanapki znikły, a zatłuszczony papier został dokładnie wylizany. Wokół przechadzały się gołębie. Kajzer popiskiwał niewinnie i jął merdać samą końcówką ogona. Najwyraźniej oczekiwał pochwał za to, że mężnie broniąc kanapek przed rozdziobaniem, ukrył je we własnym brzuchu.

***

Wydarzyło się to kolejnego dnia, w piątek.

Wieczorem, gdy purpurowa łuna rozlewała się już nad Dębnikami, a na Wawelu zakończono wszystkie prace konserwatorskie przewidziane na ten dzień, Kazimierz Król zaszedł pod Basztę Złodziejską. Od czasu opuszczenia zamku przez Austriaków gromadzono tam różne sprzęty, które udało się ocalić przed kradzieżą albo zupełną dewastacją. Adolf Szyszko-Bohusz żywił nadzieję, że z czasem uda się je odnowić i znaleźć dla nich odpowiednie miejsce. Chwilowo jednak musiały poczekać: plan zakładał, że pełna restauracja zamku może potrwać nawet sto lat.

Sto lat. Tak rozłożone w czasie przedsięwzięcie sprawiało, że naprawdę w powietrzu czuć było historię. Szyszko-Bohusz spoglądał daleko w przód, a Kazimierz Król cieszył się, że może być tego częścią. W końcu stróżował na Wawelu od tak dawna, że sam już nie pamiętał, jak długo.

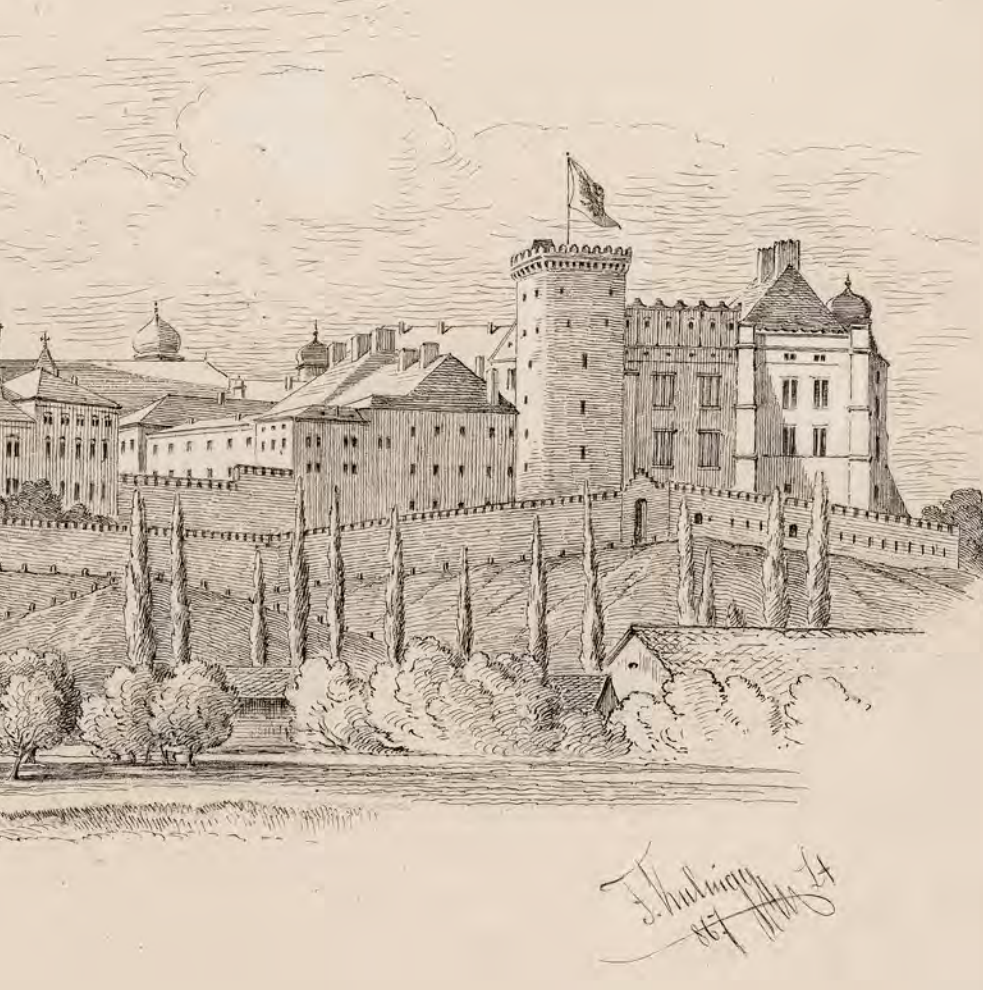
Król i Kajzer weszli do baszty. Zniszczone szafy, krzesła, komody, fotele, obrazy i nie wiadomo jakie jeszcze sprzęty stały, porastając kurzem i pajęczynami, niczym umarli oczekujący



zmartwychwstania. Pewnego dnia ktoś przyjdzie po każdy z nich, nawet po najmniejszy stołek. Zostaną odnowione i otrzymają nowe życie. Ale jeszcze nie dziś.

Kajzer z podejrzanym zainteresowaniem obwąchał starą apteczkę. Stróż odgonił go, przekonany, że tamten zamierza podnieść tylną łapę i postąpić wedle najlepszych psich obyczajów. Apteczka była całkiem spora, a na jej dwuskrzydłowych drzwiach widniały wizerunki św. Michała Archanioła i Eskulapa, a także ćmy, nietoperze i, nie wiedzieć czemu, dudki. Przynajmniej Królowi wydawało się, że to one. Była piękna, choć podniszczona, a okleina schodziła z niej płatami. Stróż ostrożnie podniósł ją z podłogi, by odłożyć w bezpieczniejsze miejsce. Wydała mu się dziwnie ciężka, zajrzał więc do środka, przyświecając sobie olejową latarką. I cofnął się z bijącym sercem.

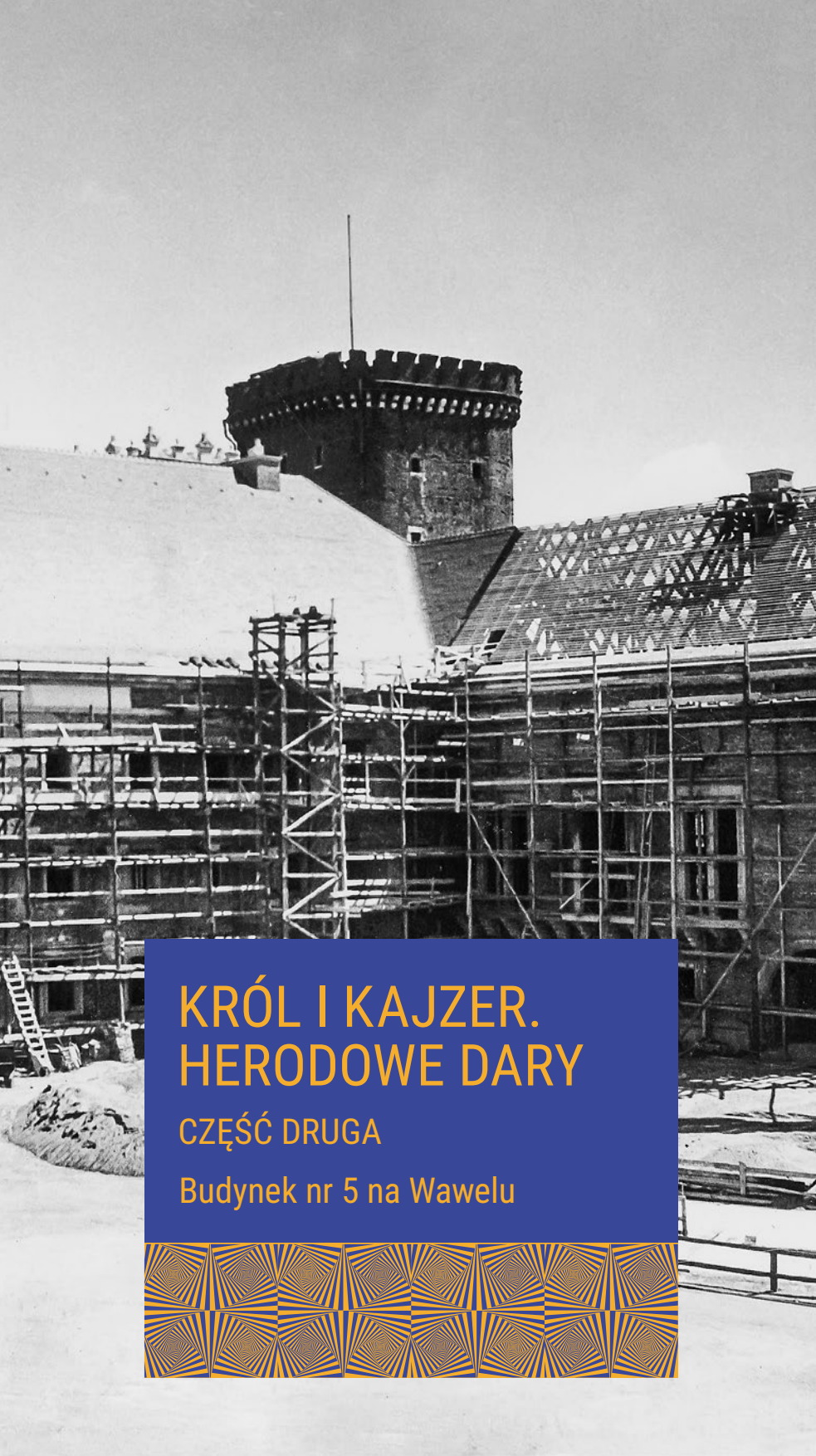
↑ Friedrich Kulnigg, widok Wawelu od ul. Bernardyńskiej, 1867



Dopiero po chwili pojął, że powalana krwią ludzka głowa jest wyrzeźbiona. Broda, czarna i kręcona jak u perskiego króla, rozlewała się po całej misie. Poszarzała i ściągnięta cierpieniem twarz miała w sobie pełną uduchowienia szlachetność. Lśniąca krew została oddana tak wiernie, że stróż obawiał się jej dotknąć, aby się nie pobrudzić.

Głowa św. Jana Chrzciciela odnalazła się bardzo blisko miejsca, z którego ją skradziono.

Przebudowa budynku nr 5 na Wawelu na siedzibę niemieckiej administracji, 1943



KRÓL I KAJZER. HERODOWE DARY

CZĘŚĆ DRUGA

Budynek nr 5 na Wawelu

Wiadomość o aresztowaniu Kazimierza Króla wywołała w handelku Wnuka Derlęgi szok i niedowierzanie. Jako pierwszy przyniósł tę nowinę pan Józef, emerytowany urzędnik magistratu i czynny zawodowo plotkarz, więc nikt w nią nie uwierzył. Faktem jednak było, że w sobotni poranek stróż nie pojawił się na śniadaniu, co już wzbudziło podejrzenia. Dopiero gdy Adolf Szyszko-Bohusz przyszedł po kanapki i wszystko potwierdził, stało się jasne, że to nie jest plotka.

– Zawsze mi się wydawało, że niezłe z niego ziółko. A niby taki cichy i uprzejmy. Takich to się najwięcej trzeba strzec – rzekł fiakier Tadeusz Lelek.

W odpowiedzi Wnuk niespodziewanie złapał go za kołnierz, otwarł kopniakiem drzwi i wyrzucił na trotuar, wywołując brawa i śmiech pozostałych gości. Kazimierz Król był w handelku powszechnie lubiany i nikt nie wierzył w jego winę.

– Niech ci od jutra Dorotka robi śniadanie! – zawołał jeszcze Wnuk.

Tadeusz odgrażał się, że rozpowie, jak się tu traktuje klientów, że pójdzie na policję i że coś tam jeszcze. Wszyscy ciekawie nadstawili uszu, bo Tadeusz przeplatał groźby dorożkarską łaciną i niejednego można się było nauczyć.

– Też nie wierzę, że Kazimierz mógłby ukraść tę rzeźbę – rzekł pan Adolf, gdy Lelek skończył wywrzaskiwać pod oknem i wreszcie sobie poszedł. – Po co miałby to robić? Przecież to on tę rzeźbę znalazł i zgłosił mi to natychmiast. Mniemam, że wypuszczą go z aresztu lada dzień. To przecież farsa. Przez takie działania policja tylko zniechęca ludzi do bycia uczciwymi.

Zbierając się do wyjścia, Szyszko-Bohusz nakazał zapakować sobie kilka serdelków i trochę gotowanej kaszy.

– Dla Kajzera. Siedzi biedny od wczorajszego wieczora w północnej stróżówce. Od ludzi albo odwraca wzrok, albo na nich warczy. Nic nie je, a wody też więcej rozlał niż wypił – wyjaśnił. – Nie mam pojęcia, co z nim począć. Wczoraj policja również i jego chciała aresztować za napaść na funkcjonariusza i utrudnianie postępowania. Rzeczywiście rzucił się na nogawkę jednego z żandarmów, bo ci poczynali sobie z Królem niezbyt uprzejmie. Zmitygowali się dopiero, gdym ich zapytał, czy chcą zobaczyć w „Ilustrowanym Kuryerze Codziennym" nagłówek:

„Krakowska policja aresztuje jamnika". No więc go zostawili. Ale ja pojęcia nie mam, co mam mu dać do jedzenia. Może kości?

Szyszko-Bohusz nie miał własnego psa, nie przypuszczał zatem, że właśnie poruszył gniazdo szerszeni. Natychmiast zasypano go radami na temat żywienia psów, o tym, co jeść powinny, a czego bezwzględnie nie mogą, po czym będą się drapać, lizać łapy, trzepać uszami albo dostaną zapalenia kiszek. Większość opinii była sprzeczna, za to traktowana przez głoszących je jak wyznanie wiary, i w handelku niemal doszło do rękoczynów. Pan Adolf, zdumiony i przerażony nieopatrznie wywołaną burzą, zapłacił za serdelki i czmychnął.

***

Kazimierz Król siedział pod Telegrafem, czyli w areszcie przy ulicy Kanoniczej 24, i martwił się z powodu wielu rzeczy, których nie uczynił. To, że zatrzymano go w związku z podejrzeniem kradzieży, której nie dokonał, było najmniejszym problemem. Wiadomo, że gdy wieją wiatry historii i zmieniają się władze, nie należy chwytać prawdziwych złodziei, bo nie wiadomo, czy ci nie obejmą zaraz sterów. Kogoś jednak łapać trzeba, więc by nie psuć statystyk, aresztuje się same niegroźne osoby. Na przykład nocnego stróża Wawelu.

Adolf Szyszko-Bohusz wpadł na chwilę przed południem, przyniósł pęk serdelków i już od progu zaczął robić awanturę oficerowi dyżurnemu. Oficer niedawno przyszedł do pracy i o sprawie Króla nic nie wiedział, bo był dopiero po drugiej kawie i nie przejrzał jeszcze papierów. Przytakiwał więc tylko, nie chcąc podpaść jakiejś wpływowej osobie. A pan Adolf krzyczał, skoro zaś krzyczał, to niewątpliwie musiał być wpływowy.

– Mam nadzieję, że wypuszczą cię w poniedziałek – rzekł Kazimierzowi, gdy policjanci wpuścili go pod drzwi celi. – Złożyłem wniosek poręczający, ale na pewno dzisiaj go nie rozpatrzą. Skandal. Nie wyobrażasz sobie, jak mi przykro.

– Nic nie szkodzi. Po prawdzie niczego mi tu nie brakuje. Co z Kajzerem?

– Kupiłem mu serdelki. Trochę tęskni – powiedział Szyszko-Bohusz oględnie, nie chcąc sprawiać Kazimierzowi przykrości.



– Myśli pan, że gdyby mocniej ugryzł tego policjanta, to jednak by go aresztowali?

– Myślę, Kazimierzu, że to będzie ogromna przykrość nie mieć cię na jutrzejszym otwarciu rotundy.

– Czy ktoś jeszcze odmówił?

– Na szczęście nie. Co więcej, doszły mnie wspierające głosy z uniwersytetu i kurii. Wygląda na to, że wszystko idzie ku dobremu i niepotrzebnie się zamartwiałem. A misa z głową św. Jana została już zwrócona bernardynom.

– Nadal nie wiadomo, kto mógł ją ukraść?

– Oficjalnie najprawdopodobniej ty, ale ruszyło cię sumienie.

Po tym, jak Szyszko-Bohusz założył płaszcz, kapelusz i wyszedł, Król długo roztrząsał sprawę kradzieży. Dlaczego złodziej ukrył artefakt w wawelskiej baszcie, o lot wróbla od klasztoru? Czy miał zamiar zabrać go stamtąd w dogodnym momencie, a Król nieopatrznie mu w tym przeszkodził?

Właściwie to Kajzer, nie Król. Przecież to Kajzer zaprowadził stróża pod basztę, a na dodatek wskazał miejsce ukrycia głowy. Czyżby rzeczywiście złapał trop jeszcze w zakrystii? Rzecz jasna był niezwykłym psem, lecz nawet Król wątpił, by był do tego zdolny.

↑ Fragment ulicy Kanoniczej w Krakowie, na jej końcu kamienica nr 24 – Pod Telegrafem, w tle Wawel, 1931
→ Ulica Kanonicza po przeciwnej stronie, z Wawelem w tle, 1931

A może jednak?

Przede wszystkim Kazimierz czuł się winny. Wyobrażał sobie Kajzera czuwającego w stróżówce, zwiniętego w ciasny kłębek tęsknoty. Czynił też sobie wyrzuty, że złodziejowi udało się schować skarb tuż pod jego nosem. Cóż więc był z niego za stróż? Wydawało mu się dotąd, że zna Wawel na tyle, na ile w ogóle można go poznać, i że mysz nie przemknie z lazaretu do katedry bez jego wiedzy. W końcu mieszkał na Wawelu od zawsze. Tymczasem okazało się, że zamek mógłby równie dobrze nie mieć żadnego stróża.

Możliwe wydawało się tylko jedno wyjaśnienie. W związku z prowadzonymi pracami renowacyjnymi i archeologicznymi przez zamek od świtu do zmierzchu przetaczali się ludzie z zewnątrz. Robotnicy, inżynierowie, archeolodzy i historycy – z pewnością wśród nich mógł znaleźć się ktoś, kto rozpoznałby prawdziwą wartość gotyckiej głowy. Pracują na Wawelu od jakiegoś czasu, wiedzieliby więc, gdzie można bezpiecznie ukryć taki przedmiot, choćby tylko na chwilę. Nie tłumaczyło to jednak, jak takie osoby mogłyby przeniknąć niepostrzeżenie do klasztoru bernardynów, dokonać kradzieży głowy i przenieść ją na zamek. To się zupełnie nie trzymało kupy.







Wtedy Król nieoczekiwanie przypomniał sobie czterowiersz z *Tańca śmierci* w kaplicy św. Anny Samotrzeciej:

„Różnych Stanów piękne grono
Gęstą Śmiercią przepleciono
Żyjąc wszystko tańcujemy
A że obok śmierć nie wiemy”.

Zrozumiał. Wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce.

Król dopadł krat i jął nimi szarpać.

↑ Adaptacja jednego z pomieszczeń budynku administracyjnego na Muzeum Zamku Wawelskiego, ok. 1918
↑ Przygotowanie do restauracji dziedzińca arkadowego, 1907

– Wypuśćcie mnie! Wypuśćcie, bo cały Wawel zostanie zniszczony!

Dyżurni policjanci spojrzeli po sobie.

– Trzeba go było zabrać do tego nowego szpitala w Kobierzynie – mruknął jeden i zapalił papierosa.

– Ale kto mógł wiedzieć, spokojny dotąd był.

Król tymczasem miotał się po celi jak dziki zwierz, żądając natychmiastowego sprowadzenia z powrotem Adolfa Szyszko-Bohusza. Policjanci tylko zamknęli drzwi między dyżurką a korytarzem z celami.

Zrezygnowany ujął twarz w dłonie i opadł na pryczę. Wyglądało na to, że zostanie tu do poniedziałku. Ale w poniedziałek może już nie być do czego wracać.

Jesienny zmierzch zapadł prędko, a Kazimierz Król tracił nadzieję. Nieoczekiwanie jednak w dyżurce dało się słyszeć jakieś głosy. Stróż wstał i spiął się jak do skoku. Jeśli mieli przyprowadzić kolejnego aresztanta, być może uda mu się wykorzystać chwilę nieuwagi i umknąć, gdy zakratowane drzwi zostaną uchylone. Plan był niedorzeczny, ale innego nie miał.

To jednak nie był żaden aresztant, tylko brat Pacyfik od kwiatów.

– Ojciec gwardian przykazał mi zanieść pismo poręczające z pieczęcią, jak tylko się dowiedział, że pana zamknięto. Jest wdzięczny za znalezienie głowy i uważa, że uczyniono panu wielką krzywdę. Z pewnością zostanie pan wypuszczony już w poniedziałek.

– Ach, tylko nie to. Co za okropne nieszczęście!

– Nieszczęście? Ale jak to?

Kazimierz Król opowiedział mu więc wszystko, co wiedział i czego się domyślał. A brat Pacyfik z każdą chwilą bladł coraz bardziej i bardziej.

– A najgorsze w tym wszystkim jest to, że na Wawelu przebywa teraz Kajzer. Jeśli nic nie uczynimy, jego los będzie przesądzony.

– Kajzer? – Brat Pacyfik był tak blady, że bardziej zbladnąć już nie mógł. Oparł się tylko o ścianę, łapiąc z trudem oddech.

– Kajzer – przytaknął ponuro Król.

– To wszak niepodobna! Trzeba powiadomić ojca Antonina!

Zakonnik wybiegł, a Król tylko przygryzł wąsy i jął bez celu chodzić po celi, gładząc bokobrody. Minuty wydawały się długie



jak godziny, więc upłynęła chyba cała wieczność, zanim drzwi posterunku skrzypnęły ponownie, a policjanci zerwali się, szurając krzesłami.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – zawołali jednogłośnie, chowając w dłoniach papierosy niczym uczniacy przydybani za szkolnym murem.

– Na wieki wieków, amen. Spocznijcie. Nie sądziłem, że między nieszporami a kompletą będę musiał włóczyć się po mieście, i to w taką siąpawicę. – Uszu Króla dobiegł marudny głos ojca Antonina. – Czy ja nie napisałem wyraźnie, że ręczę za Kazimierza Króla, stróża, i proszę, aby go wypuścić z aresztu?

– Niewątpliwie, ale komendant musi jeszcze…

– No to go wypuśćcie. Ja, panie oficerze, jak nikt rozumiem, że pewne młyny mielą powoli. Ale z tego, co mi powiedziano, Kazimierz Król ma informacje na niezwykle istotny temat natury politycznej, i jeżeli natychmiast nie zostanie uwolniony, niechybnie dojdzie do tragedii. Tragedii ludzkiej i tragedii politycznej.

↑ Fragment wawelskiej rotundy św.św. Feliksa i Adaukta (Najświętszej Marii Panny)
→ Ulica Bernardyńska, w tle kościół oo. Bernardynów

Kazimierz Król ze swojego miejsca nie mógł dostrzec gwardiana, za to widział dobrze, jak grdyka oficera dyżurnego porusza się w górę i w dół.

– Czcigodny ojcze, my naprawdę mamy pewne procedury i jeśli ich nie dopilnujemy, będziemy za to odpowiadać.

– A więc go nie zwalniajcie. Niech Król wyjdzie na chwilę, zrobi, co ma zrobić, a potem oddamy go wam z powrotem, byście mogli przemielić wszystko w tych swoich młynach i za zgodą komendanta wypuścić go w poniedziałek. No? Pospieszcie się, bo zaraz wieczerza.

***

Niespełna kwadrans później Kazimierz Król znalazł się na ulicy, eskortowany przez ojca Antonina, brata Pacyfika i jeszcze jednego zakonnika o minie kwaśnej jak zielone jabłko.

– Ojcze gwardianie, jestem naprawdę zobowiązany… – zaczął, lecz zakonnik zbył go ruchem ręki i rozejrzał się bacznie.

– Pan tu przyszedł z pieskiem czy bez pieska?

– Czy ja byłem z pieskiem, czy bez pieska? No niestety bez.

– A to i nawet dobrze.



Ruszyli wzdłuż wschodniej części wawelskiego wzgórza, mijając zamknięty już handelek Wnuka Derlęgi i kierując się ku klasztorowi. Król nie mógł się powstrzymać, by nie powiedzieć:

– Byłem przekonany, że nie obchodzą ojca polityczne i światowe sprawy.

– Bo nie obchodzą. Jak wiadomo, Kościół nie miesza się do polityki. Ale gdy wchodzą w grę sprawy ojczyzny i Najjaśniejszego Pana, to już nie jest polityka, ale obowiązek. Demokratyczne głowy tego nie pojmą.

– Ale dlaczego nie poinformował ojciec policji o istnieniu tego przejścia?

– Niech pan jeszcze głośniej mówi, może więcej osób usłyszy – zirytował się gwardian. – Przecież wszystko już panu ostatnio wyraźnie wyłożyłem. Rzeźba to tylko rzeźba. Ale jeśli nie myli się pan w swoich przypuszczeniach, sprawa jest znacznie poważniejsza. Na tyle poważna, bym zdradził jedną z tajemnic klasztoru.

Potem już milczał, póki nie weszli do środka. Minęli mroczną sień, minęli uśpiony wirydarz. Dopiero wtedy Antonin Micał odezwał się ponownie:



– Policja dowiedziała się tyle, ile powinna. Nawet więcej niż pan, choć to pan poznał rozwiązanie całej zagadki. Widać Pan Bóg zsyła niekiedy łaskę rozumienia nawet demokratycznym głowom. Musi mieć w tym jakiś głębszy zamysł, choć nie pojmuję jaki. Co nie zmienia faktu, że klasztor to nie muzeum czy inny Prater, więc co to za pomysł, by pokazywać komukolwiek tajny tunel bez wyraźnego powodu.

– Jestem więc zaszczycony, ojcze gwardianie.

– Oczywiście, że pan jest.

Stanęli przed drzwiami kuchni.

– Brat Pacyfik z panem pójdzie – zadecydował gwardian. – Zakon braci mniejszych obserwantów musi mieć udział w całym tym przedsięwzięciu. Zwłaszcza w jego politycznej części.

– Proszę pamiętać o powiadomieniu pana Szyszko-Bohusza – powiedział Król.

– Już to ustaliliśmy. Mam dobrą pamięć. Proszę teraz iść.

***

Tak oto Kazimierz Król i brat Pacyfik znaleźli się w tunelu wiodącym z klasztornej kuchni prosto pod wawelskie wzgórze. Stróż nie mógł nie pomyśleć, że to właśnie do kuchni Kajzer chciał się dostać trzy dni wcześniej.

Tunel wyłożony był cegłą i tak nisko sklepiony, że nawet drobny brat Pacyfik musiał zginać się wpół, a stróż szedł niemal na czworakach. Korytarz zdawał się przyzwoicie utrzymany, choć na dnie zbierała się woda. Kazimierz nie cierpiał na klaustrofobię, a jako zamkowy stróż niejednokrotnie zapuszczał się w przeróżne słabo poznane zakamarki. Nawet on jednak czuł się przytłoczony ciasnotą i szumiało mu w uszach.

Wkrótce zrobiło się jeszcze ciaśniej i jeszcze mroczniej. Cegły ustąpiły miejsca skale, a droga wiodła teraz w górę. Musieli dotrzeć już pod samo wzgórze i znaleźć się w jednym z naturalnych korytarzy, choć w kamieniu wykuto stopnie, teraz wygładzone wiekiem i wilgocią. W świetle latarek dało się dostrzec przemykające w załomach pająki o pękatych odwłokach. Król pilnował, by przypadkiem któregoś nie dotknąć, bo ich ukąszenia bywały bardzo przykre.

← Leon Getz, rysunek sieni klasztoru oo. Bernardynów, 1957

Pod ziemią czas plącze się i robi dziwne rzeczy, dlatego Król popędzał idącego przed nim zakonnika, przekonany, że wędrują już długie godziny. Wydawało mu się, że zegarek stanął. Kiedy jednak zerknął nań ponownie, okazało się, że minęły dwie minuty. Ten podziemny czas musiał być wyjątkowo ślamazarny.

Tunel piął się i piął, bez końca. Król sapał i ocierał rękawem czoło przekonany, że jeszcze chwila, a nie wytrzyma. Tymczasem chwile mijały i stróż mimo wszystko jakoś wytrzymywał. Po pewnym czasie wapienna skała się skończyła, a w jej miejscu na nowo pojawiły się obrobione kamienie i cegła. Bardzo stara cegła. Całkiem niedawno ktoś musiał tu jednak kuć, dłubać i grzebać, bo wszystkie powierzchnie pokrywał drobny pył. Przejście wyglądało na świeże i pospiesznie wykonane. A potem nieoczekiwanie tunel rozszerzył się i Kazimierz z Pacyfikiem znaleźli się w większym pomieszczeniu. Miało ono może ze cztery kroki długości, ale przynajmniej w najwyższym miejscu łukowatego sklepienia dało się swobodnie wyprostować.

Król odetchnął z ulgą i rozmasował obolały kark. Rozejrzał się uważnie.

– To chyba dawne kuchnie zamkowe – rzekł. – Austriacy zasypali część piwnic przy przebudowie, a w innych trzymali łatwo psujące się produkty.





Teraz jednak w piwnicy było pusto, podobnie w kolejnej. Wreszcie natknęli się na drzwi, które Król z łatwością otworzył jednym ze starych kluczy. To był dobry klucz, pasujący do wielu miejsc na Wawelu. Znaleźli się w długim korytarzu, gdzie na napuchniętych od wilgoci półkach stały słoje i garnki przetworów, kiszonych ogórków i trudno powiedzieć czego jeszcze. Niektóre wyglądały na stare nawet według wawelskiej skali.

Król znał to miejsce, choć rzadko się tutaj zapuszczał. A więc to tu kończył się sekretny tunel z klasztoru bernardynów. Kazimierzowi przyszło do głowy, że może podążali częściowo tą samą drogą, którą z Wawelu uciekał Henryk Walezy. Wiadomo, że na pewno nie uchodził schodami Walezego, tylko najprawdopodobniej właśnie przez kuchnię – jego ucieczkę jako pierwszy zauważył jeden z kuchcików i podniósł alarm. Klasztor bernardynów nie istniał jeszcze w swej obecnej postaci, trudno więc powiedzieć, dokąd dokładnie mogło wieść tajemne przejście.

↑ Widok dawnych kuchni królewskich i stajni od zachodu, pocz. XX w.
← Budynek administracji (dawne kuchnie królewskie), od poł. XIX w. noszący nr 5, po 1921

– A co to? – Brat Pacyfik wskazał dziwne blaszane pudełeczko pod starymi półkami. Dwa kroki dalej leżało jeszcze jedno, a za nim kolejne i kolejne, i kolejne.

– Nie ruszaj tego! – zawołał przerażony Król, aż głos poniósł się echem. – Wysadzisz w powietrze i nas, i tysiąc lat historii!

Brat Pacyfik zamarł z wyciągniętą przed siebie ręką.

– Niech nas Bóg zachowa! To ładunki wybuchowe?

– Pospieszmy się lepiej. Mam nadzieję, że pan Adolf jest już w drodze. A my musimy przecież uwolnić Kajzera.

Piwnice starych kuchni stanowiły przedziwną plątaninę korytarzy z różnych epok, a podczas prac archeologicznych odsłonięto jeszcze dawniejsze warstwy. Zanim w 1905 roku Wawel wrócił w ręce miasta, Austriacy przebudowali na potrzeby wojska nie tylko dawne kuchnie królewskie, ale i cały zamek, zwłaszcza jego zachodnią część, zrównując z ziemią część miasteczka wawelskiego. Zmian tych dokonywali jednak pospiesznie i przeważnie tylko z wierzchu, dla zadowolenia przełożonych, bo w Austro-Węgrzech wszystko robiono w taki sposób.

Jeszcze kilka kroków i stróż z zakonnikiem znaleźli się w przestronnym pomieszczeniu, pośrodku którego wznosił się jakby osobny budynek, częściowo zlewający się ze ścianami i stropem. Nie wydawał się wielki, był za to bardzo stary, jakby cały Wawel wzniesiono na nim i wokół niego. Światła latarek omiotły nierówną podłogę z widocznymi resztkami palenisk oraz wypukły mur z okienkiem.

Kazimierz Król i brat Pacyfik w milczeniu spoglądali na rotundę św.św. Feliksa i Adaukta, zwaną w najdawniejszych czasach Najświętszej Marii Panny. Mury, odsłonięte niedawno z naleciałości kolejnych wieków i warstw, tchnęły pradawnością. Na polskich ziemiach trudno byłoby znaleźć starszy obiekt. Widział to miejsce wcześniej już wiele razy. Ba, miał okazję obserwować, jak w trakcie prac wyłania się ono z gruzowiska, kiedy Szyszko-Bohusz nakazał ostrożnie wyburzyć kilka ścian, zedrzeć kilka podłóg oraz skuć kilka stropów, tak by móc odsłonić relikty i nie naruszyć przy tym konstrukcji całego budynku, w którym wszak mieścił się także i jego gabinet.

Po raz pierwszy jednak Król stanął przed ruinami w zupełnej ciszy i ciemności.



Tetrakonchos, pomyślał Król. Cztery muszle. Taki też kształt miał budynek. Słowo, którego nauczył się od Adolfa Szyszko-Bohusza, brzmiało niczym zaklęcie. Kto wie, co mogłoby się stać, gdyby wypowiedzieć je w tym miejscu na głos.

Tak, w ciszy i ciemności najwięcej słychać i najwięcej widać.

Stróż nie mógł się powstrzymać, by nie podejść do ruin i nie dotknąć muru. Oryginalne ściany zachowały się tylko na taką wysokość, na jaką Kazimierz mógł wyciągnąć rękę, czyli mniej więcej do wysokości dzisiejszego dziedzińca z krużgankami. Wszystko, co mogło znajdować się wyżej, zostało zniszczone przed ponad wiekiem. Adolf Szyszko-Bohusz odbudował wyższe piętro świątyni według swej najlepszej wiedzy i rozeznania.

Widząc, że brat Pacyfik się niecierpliwi, Kazimierz dotknął murów jeszcze raz, jakby na pożegnanie. Wyszli na dziedziniec arkadowy, również będący w trakcie remontu. Po nocnym niebie prędko sunęły chmury, złośliwa mżawka nie przestawała siąpić.

↑ Adolf Szyszko-Bohusz, jeden z pierwszych szkiców rekonstrukcji rotundy po jej odsłonięciu, 1917

– Chodźmy, chodźmy. Kajzer na nas czeka – mruknął stróż i poprowadził zakonnika przez Bramę Berrecciego.

– Panie Kazimierzu, ale dlaczego Kajzer miałby się ukrywać w stróżówce?

– A gdzieżby indziej? No niech brat sam powie, gdzie by mu było lepiej, jak nie u mnie.

Domek Króla mieścił się przy starym wejściu na zamek, od ulicy Kanoniczej. Starym, bo Austriacy wybudowali nową drogę na zamek, od Bernardyńskiej, i to jej używali najczęściej. Dawna droga zdążyła niemal zupełnie zarosnąć zielskiem i brzózkami.

Ledwo stróż zagrzechotał kluczem w zamku, ze środka dobiegło radosne szczekanie, popiskiwanie i fuczenie w szparze między progiem a drzwiami. A gdy drzwi się uchyliły, pies wybiegł i jął obskakiwać Króla, tak przy tym merdając i tak wywijając zadem, że omal nie odfrunął w powietrze, mając ogon za śmigło.

– No już, już dobrze. Spokój, Kajzer, spokój.

Szczęśliwie w ciemności nie dało się dostrzec wyrazu twarzy brata Pacyfika.

– Ale to przecież pies! – wybuchnął mnich po chwili.

– Ano pies. A kogo się brat spodziewał? Chyba nie Najjaśniejszego Pana Karola I? – odparł Król cokolwiek obłudnie.

W tym momencie dał się słyszeć warkot silnika, a reflektory automobilu błysnęły jak smocze oczy, gdy maszyna z pewnym trudem wtoczyła się na szczyt wzgórza od strony ulicy Bernardyńskiej. W ślad za nią wbiegło kilkunastu zasapanych żandarmów. Paru innych wspinało się też starą drogą od północy.

– Na miły Bóg! – zawołał Szyszko-Bohusz, dobiegłszy do stróżówki. – Co to ma znaczyć, Kazimierzu? Byłem przekonany, że siedzisz pod Telegrafem.

– Bo po prawdzie siedzę, ale gwardian bernardynów chwilowo mnie uwolnił.

– Jak to uwolnił?

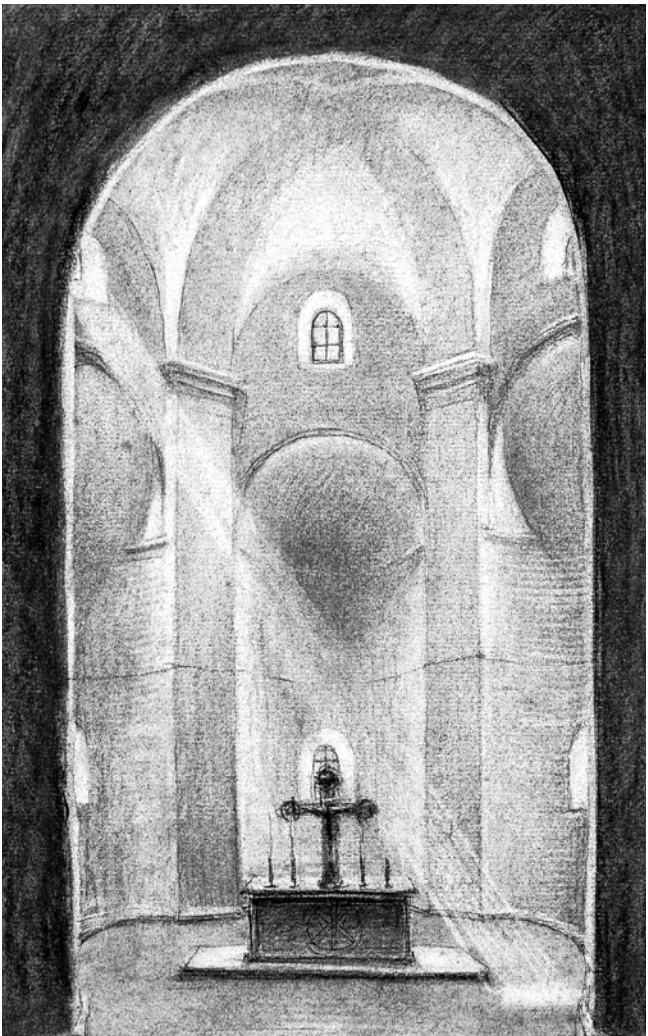
– Abym mógł potwierdzić swe przypuszczenia odnośnie sabotażu pańskiej wystawy. W piwnicach kuchni, nieopodal rotundy, umieszczono ładunki wybuchowe. Obawiam się, że w najlepszym przypadku ich wybuch miałby naruszyć konstrukcję budynku, co wyglądałoby tak, jakby to pańskie wykopaliska spowodowały tę katastrofę. W najgorszym zaś razie wszystko

→ Adolf Szyszko-Bohusz, rysunek rekonstrukcji odkrytej rotundy, 1917

by się zawaliło, grzebiąc relikty, a może i gości zaproszonych na otwarcie wystawy, łącznie z panem. Tak czy inaczej, to pan byłby głównym podejrzanym o to, że na skutek własnej niekompetencji przy prowadzeniu prac doprowadził do nieszczęścia.

Na czoło pana Adolfa wystąpiły krople potu.

– Jestem też przekonany, że zamachowiec to ta sama osoba, która wykradła bernardynom głowę św. Jana Chrzciciela, i przyniosła ją na Wawel sekretnym tunelem kończącym się pod kuchniami, bo też i właśnie tam rozłożył ładunki. Samą zaś głowę porzucił w rupieciarni w Baszcie Złodziejskiej, a to po to, by chwilowo skupić uwagę policji, służb i opinii publicznej na innym miejscu, to jest na klasztorze. Sam mógł wtedy spokojnie wykonywać swą krecią robotę przy odkrytych przez pana reliktach.



– Panie Kazimierzu, czy dobrze się pan czuje? Jacy zamachowcy? Jakie sekretne tunele?

– Tunele chętnie pokażę. Dopiero z nich wyszedłem, razem z bratem Pacyfikiem. A o sabotaż niech pan zapyta którąś z tych osób, co odmówiły przybycia na otwarcie rezerwatu. To jest bowiem ręka, która dzierży miecz. Samym mieczem z kolei okazuje się fiakier Tadeusz Lelek i któraś z pracujących na Wawelu Dorotek, nie wiem tylko dokładnie która. Spotykali się w bernardyńskim ogrodzie, a tajne przejście pozwalało opuszczać budynki służby niepostrzeżenie. Z ogrodu zaś bez problemu można dostać się do kuchni, bo nie brakuje chwil, kiedy jest ona całkiem pusta: przy nieszporach albo kiedy bracia już śpią. A stamtąd do zakrystii już tylko parę kroków. Można przy okazji na własną rękę skraść kilka naczyń liturgicznych, takich, które wyglądają na cenne, choć wcale nie są. Obawiam się tylko, że nawet schwytawszy rękę i wytrąciwszy z niej miecz, możemy mieć problem z dobraniem się do głowy, która ten plan wymyśliła. Może być ona dość daleko. Ale zacząłbym pewnie od przyjrzenia się tym zaproszonym na wystawę gościom, którzy są jakoś powiązani z Petersburgiem. Dziwnym trafem to oni wymówili się pierwsi.

Kazimierz Król przerwał i wziął na ręce Kajzera, by ten nie zamoczył zanadto łapek, bo potem nadmiernie je wylizywał, a od wylizywania dostawał zapalenia skóry między palcami. Szyszko-Bohusz wyglądał na zdruzgotanego.

– Teraz przepraszam, ale muszę wracać do aresztu. Tak, jak obiecałem – powiedział stróż. – Tylko tym razem zabieram z sobą Kajzera.

***

W najbliższych dniach przybyła Krakowowi kolejna sensacja. Wieści tak ważkich jak planowany zamach na Adolfa Szyszko-Bohusza oraz, co znacznie gorsze, na wawelskie dziedzictwo, nie sposób utrzymać w sekrecie. Na zamku zaroiło się od policji i wojska, a inaugurację wystawy musiano przenieść na którąś kolejną niedzielę. Służby mundurowe przeczesywały teren piędź po piędzi. Cały Kraków huczał od plotek, a im bardziej były

→ Adolf Szyszko-Bohusz (pierwszy od lewej) i podpisujący się w księdze król saski Fryderyk August III na dziedzińcu Zamku Królewskiego na Wawelu, 1917



nieprawdopodobne, tym chętniej nadstawiano ucha. O próbę zamachu obwiniano bolszewicką agenturę, Żydów, Niemców, masonów, socjalistów, monarchistów, a nawet samego Szyszko-Bohusza, który miał sfingować całą awanturę, by postawić się w roli ofiary i osiągnąć w ten sposób właściwie nie do końca wiadomo co.

W handelku Wnuka Derlęgi na parterze kamienicy Dębno dyskutowano jednak, jak zwykle, na tematy nieporównanie ważniejsze. Na przykład wiary.

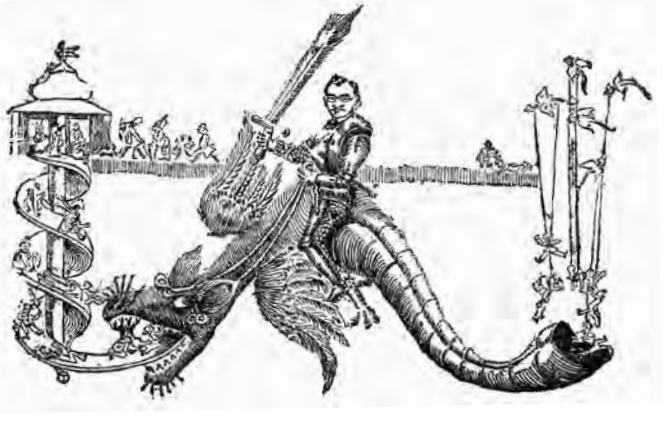
– Bo ja to na przykład wierzę, że za tym wszystkim stał ruski wywiad – perorował pan Józef, emerytowany urzędnik magistratu i czynny zawodowo plotkarz. – I że ostrzeżono tego i owego, aby się zanadto nie plątał po wystawie Szyszko-Bohusza. I że przekupili nieszczęsnego Tadka Lelka z jego Dorotką, a ci wykradli jakiś stary czerep braciszkom od świętego Bernardyna, też mogę uwierzyć. Ale w to, że stary pierdoła Król po aresztowaniu wyszedł sobie tak po prostu spod Telegrafu, wykrył spisek i znalazł bomby, a potem najzwyczajniej w świecie tego samego wieczora wrócił do aresztu – w to już uwierzyć niepodobna.

– I to z pieskiem – zauważył Wnuk.

– I to z pieskiem – przytaknął pan Józef.

– A nie mówiłeś pan przypadkiem Tadkowi, że nie ma żadnych Dorotek?

– Nie przypominam sobie – naburmuszył się pan Józef. – Musiałeś pan coś przeinaczyć.



↑ Adolf Szyszko-Bohusz jako św. Jerzy, karykatura powstała na okoliczność otwarcia Smoczej Jamy dla zwiedzających, 1918

Wywiązałaby się z tego pewnie dłuższa wymiana zdań, bo inni klienci handelku pamięć mieli jednak lepszą od pana Józefa, wtedy jednak skrzypnęły drzwi i do środka weszli Król i Kajzer, po raz pierwszy od prawie tygodnia.

– Dzień dobry. Czy dziś nie wypada aby piątek? – zapytał stróż.

– Nie, mój drogi. Od samego rana mamy czwartek – odparł Wnuk. – Życzycie sobie serdelki?

– Podwójne porcje! Zgłodnieliśmy w tym areszcie jak dwa smoki. Mam rację, Kajzer?

Kajzer uprzejmie pomachał ogonem, bo po prawdzie zawsze miał smoczy apetyt, bez względu na porę dnia, dzień tygodnia i okres kalendarza liturgicznego.

– Choć nie powiem, bardzo nas grzecznie w tym areszcie traktowano i standard noclegu wcale niezgorszy – zastrzegł Król, siadając do śniadania. – Bylibyśmy pewnie wyszli w poniedziałek, gdyby gwardian bernardynów nie zrobił się na nas obu jakiś cięty. Osobliwie zaś na Kajzera, mimo że ten niczym mu nie zawinił. Cofnął swoje poręczenie, nazwał huncwotami, a do tego podobno domagał się wtrącenia nas do najciemniejszego lochu.

– Nic z tego nie rozumiem, panie Kazimierzu – rzekł Wnuk.

– Ja też, bo przecież pod Telegrafem nie ma żadnego lochu. Tyle dobrego, że pan Szyszko-Bohusz wstawił się za mną już w sobotę. Pan komendant musiał mieć sporo pracy w związku z niedoszłym zamachem, bo zgodę na zwolnienie nas wyraził dopiero dziś.

– Was? To aresztowano was obu?

– Ściślej mówiąc, Kajzera nie. Nie wiem, czy cesarskie prawo przewiduje w ogóle możliwość tymczasowego zatrzymania psa przed postawieniem mu zarzutów. Ale w sobotni wieczór na prośbę ojca Antonina zwolniono mnie chwilowo spod Telegrafu, abym mógł zapobiec zamachowi, zniszczeniu Wawelu i uratować Kajzera. Gdy już się ze wszystkim uporałem, wróciłem do aresztu. Może ojciec gwardian nie do końca zrozumiał, o którego Kajzera chodzi? No ale chyba nie przypuszczał, że mógłbym potajemnie ukrywać Najjaśniejszego Pana w jakimś ciemnym zakamarku? Mam tylko nadzieję, że policja albo wojsko zabierze ogórki.

Otwarcie wawelskiej rotundy dla publiczności, w uroczystościach poza Szyszko-Bohuszem (siedzi drugi od lewej) wzięli udział m.in. J. Muczkowski, L. Lepszy, T. Stryjeński, S. Tomkowicz, 1918

Pan Józef wpatrywał się w Kazimierza z otwartymi ustami.

– Na miłość Boską, Kazimierzu, jakie znów ogórki?

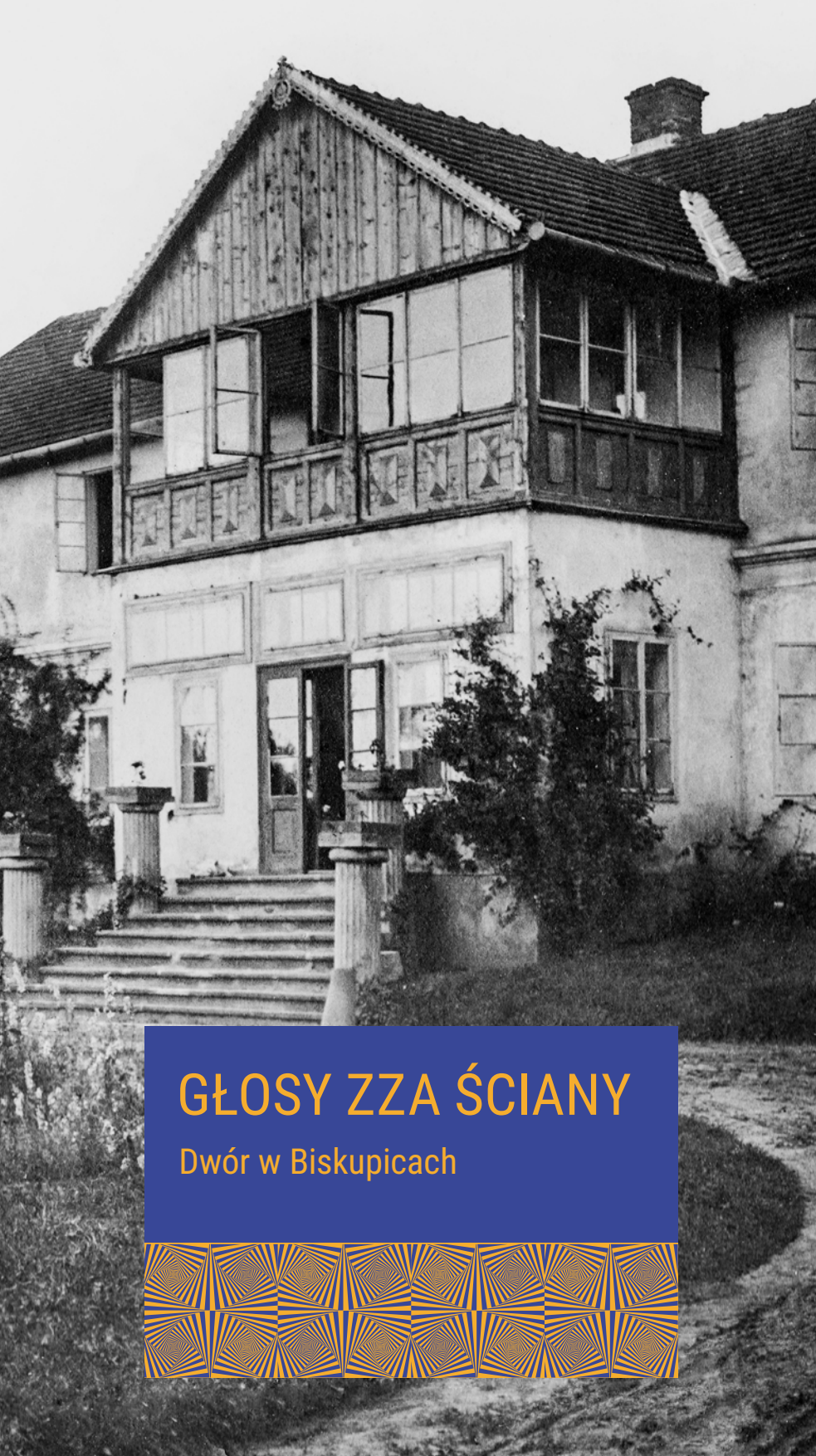
– Pod starą kuchnią znalazłem słoje z ogórkami. Wyglądały, jakby pamiętały trzech cesarzy i pięciu papieży. Gdyby wybuchły, to zmiotłyby z powierzchni ziemi pół Wawelu. I nie trzeba by do tego żadnych spiskowców.

***

Uroczystego otwarcia rotundy św.św. Feliksa i Adaukta dokonano w środę 30 października. O dziewiątej wewnątrz rotundy odprawiono mszę, po czym nastąpiły prawdziwie krakowskie przemówienia: długie, kwieciste i trochę nudne, czyli dokładnie takie, jakich oczekiwano; całe wydarzenie okazało się wielkim sukcesem. Brat Pacyfik na tę okoliczność przygotował dekorację z wielkiej ilości chryzantem. Nie wiadomo tylko, co się stało z ogórkami.



Dzieci Mieczysława i Jadwigi z Chmurskich Walterów, Sławek i Haneczka, z kuzynem Adasiem przed dworem w Biskupicach, 1924



GŁOSY ZZA ŚCIANY

Dwór w Biskupicach

Zofię obudził chłód, jak zawsze, gdy tu wracała. Chwilę zwlekała z otwarciem oczu i odsunięciem kotary łóżka. Dopóki tego nie uczyniła, było trochę tak, jakby ciągle jeszcze trwał poprzedni dzień.

Ucieszyła się, że wczoraj Henryk przyjechał po nią aż na dworzec w Krakowie, gdy wracała od matki ze Lwowa. Razem wsiedli w pociąg do Wieliczki, skąd mieli pojechać powozem do domu.

Do domu. Jakże dziwnie brzmiało w uszach Zofii to słowo, mimo że upłynęło przecież tyle lat. Dom kojarzył jej się z miastem pełnym życia i ruchu, ze stukotem końskich kopyt na bruku, turkotem wózków węglarzy i mleczarzy w szarości przed świtem, z niegasnącym gwarem, z teatrami, salonami i kościołami, gdzie wiernych nie traktuje się jak półgłówków. Lecz Henryk pochodził ze wsi i twierdził, że ziemianin w mieście uschnie, zwiędnie i skapcanieje. Dwór w Biskupicach miał więc być kompromisem: na wsi, lecz na tyle blisko Krakowa, by Zofia mogła pooddychać miejskim powietrzem, jeśli najdzie ją taka potrzeba. Pani Zofia Mieroszewska z domu Chrząszcz twierdziła bowiem, że szkodzą jej wiejskie miazmaty. Zazdrościła po cichu swej córce Irenie, która czuła się jak u siebie, gdziekolwiek się znalazła.





Zofia odwlekała chwilę, gdy będzie musiała wstać; nikt jej nie popędzał, zawsze mogła wymówić się długą podróżą. Im później zejdzie na dół, tym krócej będzie musiała znosić towarzystwo Leonarda Rodakowskiego, który znów przybył do Biskupic ze swych dóbr w Guberni Lubelskiej w Kongresówce. Rodakowski był wielkim przyjacielem Henryka, lecz w oczach Zofii był to zwykły awanturnik. Gdzie się pojawił, tam snuły się za nim jakieś spiski, ciemne interesy, a przeważnie i długi, spłacane zwykle z cudzych kieszeni, na przykład z Henrykowej. Mieroszewski na wszystkie czynione mu przez żonę wyrzuty odpowiadał niezmiennie:

– Leoś jest czuły patriota, Zochno.

Rzeczywiście, Rodakowski potrafił w jednym zdaniu odmienić „Polska" przez wszystkie przypadki, nieustannie przepowiadał, że będzie wojna, i czynił kąśliwe uwagi na temat takich polskich patriotów, co to są również austriackimi oficerami. Od tej gadaniny Zofię kłuło za oczami.

Zamiast więc wstać, pani Mieroszewska otuliła się szczelniej puchową kołdrą. Chłodne powietrze i tak jednak jakoś znajdowało drogę. O tej porze roku nie sposób było należycie ogrzać całego dworu i po wszystkich pokojach lodowate podmuchy kąsały niczym złe duchy.

↑ Henryk Mieroszewski, lata 80. XIX w.
← Zofia Mieroszewska, lata 80. XIX w.



Zofia zerknęła przez okno. Świat wokoło trwał czarny, nagi i zmrożony na kość, przygnieciony ciężarem nieba. W dole snuły się dymy z okolicznych domostw, a na bezlistnych drzewach poniżej kościoła obradował gawroni sejm z delegaturą trzech siwych wron. Ptaki tłumaczyły sobie coś zawzięcie. Może deliberowały nad przeprowadzeniem rozbiorów znalezionego gdzieś orzecha.

Wzdrygnęła się. W Biskupicach nigdy nie czuła się prawdziwie u siebie. Dom – nie dom. Zupełnie jakby przyjeżdżając tu, zapadała w dziwny sen, w którym nic nie wydawało się do końca prawdziwe.

***

– Tej wojny uniknąć się nie da – perorował Leonard Rodakowski po obiedzie przy kieliszku czegoś na trawienie. – Trony walić się będą, a na całkiem nowych podstawach ustrój nowych państw powstanie. Daj Boże, że na mapie Europy znów figurować będzie odrodzona Polska.

↑ Widok biskupickiego dworu od strony południowej, w tle wieża kościoła, styczeń 1943

Siedzieli we czworo w bibliotece: Zofia i Henryk z córką Ireną, już nie podlotkiem, ale jeszcze nie panną na wydaniu, no i ich gość. Leonard po raz kolejny ukrywał się w Galicji przed zsyłką na Sybir albo przed wierzycielami. Biblioteka mieściła się w południowym skrzydle, dobudowanym po zakupie dworu od rodziny Konopków. Okna wychodziły na porośniętą nagimi teraz pnączami werandę. To tutaj pan Mieroszewski zwykł przyjmować dobrych przyjaciół, chwaląc się nie tylko imponującą kolekcją starodruków, ale i piękną podłogą na wzór wawelski, którą sam był obmyślił i zaprojektował.

Od samego zakupu dworu Henryk nieustannie nakazywał zmieniać coś przy domu. Dobudowywał i burzył. Zofii wydawało się, że po każdym jej dłuższym pobycie w mieście biskupicki dwór powiększa się o pokój albo ganek, w środku znika jakaś ściana, meble i obrazy wciąż wędrują, salon staje się biblioteką, a biblioteka palarnią. Jakby to nie był dom z cegły i drewna, tylko jakiś żywy organizm, albo raczej widziadło ze snu. To samo w parku i ogrodzie: Henryk sadził, wycinał, wytyczał ścieżki, jakby wiecznie niezadowolony ze swojego dzieła. Jedynie pradawnego dębu nigdy nie ruszył. Drzewo miało zostać zasadzone zaraz po wiktorii grunwaldzkiej ręką Paszka Złodzieja, kasztelana bieckiego. Taką opowieść przekazywano sobie w okolicy od dawna, mimo że wszyscy wiedzieli, że to nieprawda, a dąb, choć wiekowy, jest znacznie młodszy.

– Ale polscy oficerowie nie będą ginąć w tej wojnie, prawda? – odezwała się Irena niepytana.

– Ira – skarcił ją Henryk, bardziej dla zasady niż z przekonania.

Jedynaczka była jego oczkiem w głowie i pozwalała sobie przy ojcu na wiele więcej niż tylko odzywanie się, gdy dorośli rozmawiają. W biskupickim dworze dziczała jak nieprzycinany krzew różany. A Zofia ze swoimi nawracającymi bólami głowy, kołataniami serca i innymi przypadłościami nigdy nie miała sił, by trzymać córkę w ryzach.

Leonard Rodakowski nie obraził się jednak wcale, bo bardzo lubił mówić i nie obrażał się, kiedy proszono go, by mówił jeszcze więcej.

– Ach, będzie to wojna straszliwa, jeśli Rosja poruszy się i rzuci ku zachodowi nieprzebrane masy ludzkie. Bo niepokoje na

Bałkanach i niezgoda w waszej monarchii, rozdźwięk i brak jedności wśród jednych narodów, a stagnacja wśród innych – to wszystko dzieło cara. Prędzej czy później zechce zawładnąć wszystkim, czym tylko zdoła, a czego nie zdoła pożreć, to przynajmniej zastraszy, przekupi albo w inny sposób splugawi. Ginąć więc będą ludzie na niespotykaną dotąd skalę, bogaci i biedni, a nawet koronowane głowy. – Widząc pobladłą nagle twarz Ireny, Leonard zrozumiał, że zanadto się zagalopował, dodał tedy prędko: – Choć biedni nieporównanie częściej niż bogaci, rzecz jasna, a szeregowi łatwiej od oficerów. Niech się więc panienka nadmiernie nie frasuje. Tak jednak być musi, bo to będzie wojna kładąca kres wszystkim wojnom.

– Nie bój się, Ira, nie wszyscy wyginą. Zostanie tylu, byśmy znaleźli ci odpowiedniego oficera na męża – zażartował Henryk zupełnie nieśmiesznie, jak to niekiedy ojcowie.

– Jeśli ma być taka wojna, jak prawi pan Leonard, to wszyscy mężni poginą, a zostaną sami tchórze. A ja za tchórza nie pójdę.

– Tego nigdy nie wiadomo, kto w godzinie próby sprosta wyzwaniu, a kto nie – rzekł Henryk poważnie, lecz Irena była bezlitosna, bo brak litości to jeden z przywilejów bycia młodym:

– To się z takim rozwiodę i wyjdę za innego. A niechby i on okazał się niegodny, to rozwiodę się po raz wtóry.

– I ile razy będzie się tak panienka wiązać i rozchodzić? – zapytał pan Leonard.

– Ile trzeba. Póki na właściwego nie trafię. Ale takich, co sobie z poważnych spraw dworują i żarty stroją, to wyrzucę za próg, choćby była ciemna noc.

– No, Ira, pogadamy na ten temat za kilka lat. – Henryk usiłował ratować sytuację, bo Leonard na słowa Ireny poczerwieniał.

– Po wojnie, tatku?

– Żadnej wojny nie będzie.

– Bo się polscy patrioci, a austriaccy oficerowie, zawsze ułożą, z kim trzeba. – Leonard, któremu nie wypadało wdawać się w pyskówkę z pannicą, choćby i dobrze urodzoną, wyraźnie postanowił poużywać sobie na Henryku.

– Może i tak, bo u nas cnotą jest rozum i umiarkowanie – odparł spokojnie Henryk. – W Kongresówce zaś tego mają za mędrszego, im kto ma łeb bardziej gorący i gębę szerzej rozdartą.



Dlatego mamy autonomię, a w parlamencie swoich ludzi, nie figurantów i marionetki, teatry, uniwersytety i opery na światowym poziomie, i kolej sprawnie działającą, i kuchnię smaczną, a w Warszawie gów…

– Wystarczy, Henryku. Nie jesteś w koszarach! – odezwała się wreszcie Zofia. – Powinieneś się wstydzić.

– …główne ulice błotniste są i dziurawe, a dorożki drogie, tom chciał rzec – zmitygował się Mieroszewski.

Gdyby obaj panowie nie znali się od lat, jeden musiałby teraz domagać się od drugiego satysfakcji i byłoby potem trochę sprzątania.

Irena najwyraźniej przednio się bawiła, ale Zofii od tego gadania o wojnie pulsowała głowa. Przed oczami migotały iskry jak w słoneczny styczniowy poranek, a zaraz potem ogarniała ją niemal zupełna ciemność, pełna szumów i dudnień, jakby ktoś dął w butelkę. I tak na zmianę, aż do mdłości. Wymawiając się złym samopoczuciem, wyszła z biblioteki, niemal po omacku minęła salon i znalazła się w rozległej sieni.

↑ Irena Mieroszewska, pocz. XX w.

Nagle z góry zbiegły dzieci, dzikie i rozwrzeszczane, i w ogóle zachowujące się tak, jak dobrze wychowane dzieci nie powinny się zachowywać. Ich jazgot, byle jakie mundurki, tupot na schodach, jakby biegł tabun koni – to wszystko wystarczyło, by Zofii zakręciło się w głowie. Aby nie zemdleć, opadła na miękkie krzesło przy kominku.

„Skąd tu te dzieci?", zdążyła pomyśleć, zanim te hurmą wybiegły na zewnątrz i rozproszyły się w mroku zimowego popołudnia. W kominku w sieni ogień z radosnym trzaskiem pożerał bukowe polana. Tu było samo serce dworu, ciepłe i przytulne, oddzielone z każdej strony innymi pomieszczeniami od zmrożonej na kamień nocy.

Zofia powoli dochodziła do siebie. Ktoś życzliwy, pewnie ze służby, przyniósł jej trochę kawy. Przyprawiono ją mocno, może nawet zbyt mocno, korzenie drapały po gardle i świerzbiły głęboko w nosie, ale nie było to nieprzyjemne uczucie. Rozejrzała się po sieni, by podziękować.

Nikogo nie zauważyła. Nie było też kominka. Ani pustej filiżanki po kawie.

Zofia rozmasowała skronie. Zapewne wciąż jeszcze odczuwała skutki wczorajszej podróży. Nigdy dobrze nie znosiła długich godzin w pociągu.

***

Zimą na wsi dnie przesypują się z bezruchu w bezruch, jałowe i podobne do siebie jak ziarenka piasku. W dworze panuje chłód, ciepło umyka niewidocznymi szczelinami i nie pomaga nawet ogień niemal przez cały czas płonący w kominkach. Nocami Zofię budzi chłód pełzający po jej sypialni, ale i w dzień nie sposób należycie się ogrzać. Dłonie grabieją, a myśli zdają się tężeć w głowie niczym woda w stawie, gęstniejąca, zanim mróz zetnie ją w lód. Nawet pisanie listów do matki i przyjaciół we Lwowie przychodzi z trudem. Zofii zdaje się jednak, że tylko ona jedna ma ten problem, a Henrykowi i Irenie zupełnie ten chłód nie przeszkadza.

O, jakże zazdrości Zofia tym listom, które z zimowej pustki Biskupic wyfruwają w prawdziwy świat. Bo w mieście zawsze



jest cieplej, nawet gdy trzaska mróz. A tutaj martwota napiera od wzgórz i nieba, na którym zawsze tłoczą się sfilcowane chmury jak w angielskiej powieści sprzed stu lat.

Zofia dla rozgrzania pije przez cały dzień gorącą herbatę, czasem z konfiturą, na sposób rosyjski, albo z cytryną i cukrem, na modłę pruską. Pije i pije, lecz niewiele to pomaga. Chłód wpełzł w jej ciało, zagnieździł się w kościach i niczym nie daje się wygnać.

Pewnego razu Zofia zbudziła się o najciemniejszej godzinie nocy. W powietrzu wisiała jakaś radosna lekkość i zrobiło się cieplej, jak przed Bożym Narodzeniem, choć przecież zostało tylko kilka dni do Matki Bożej Gromnicznej. Może ta radość brała się po części z tego, że poprzedniego dnia pan Leonard Rodakowski wyjechał wreszcie do Lublina, Bogu dzięki. Ale nie chodziło tylko o to.

Rozsunęła kotarę przy swym łóżku i wyjrzała przez okno. Sypał gruby śnieg. Wpatrywała się w ten widok jak zauroczona. I wtedy dobiegło ją brzmienie dzwonu. Musiało dochodzić z położonego na wzgórzu kościoła św. Marcina, choć wydawało się znacznie bliższe i wyraźniejsze, zupełnie jakby dzwoniono w samym dworze. Pełne śniegu powietrze musiało mylić odległość.

↑ Dwór w Biskupicach, pocztówka, pocz. XX w.

A potem odezwał się chór męskich głosów.

Ecce iam noctis tenuatur umbra,
Lucis aurora rutilans coruscat,
Nisibus totis rogitemus omnes
Cunctipotentem.

Tak, nie ulegało wątpliwości: to nie mogły być głosy z kościoła ani skądkolwiek z zewnątrz. Pochodziły z głębi domu.

Ut Deus, nostri miseratus, omnem
Pellat angorem, tribuat salutem,
Donet et nobis pietate patris
Regna polorum.

Zofia wygrzebała się z pachnącej snem pościeli. Otuliła się kocem, ostrożnie wyszła z pokoju i stanęła u szczytu schodów. I niemal krzyknęła.

Przez sień w powolnej procesji szli zakonnicy. Trudno powiedzieć, ilu ich było i do jakiego mogli należeć zgromadzenia, bo dwór tonął w mroku, a oni mieli z sobą tylko trzy łojowe lampki, których gryzącą woń czuło się aż na górze. Nie mogło ich jednak być więcej niż dziesięciu, a habity nosili ciemne.

Zofii przyszło najsampierw do głowy, że to włamywacze. Dlaczego jednak mieliby się przebierać w stroje, w których trudno kraść, a jeszcze trudniej uciekać, i na dodatek przy tym śpiewać? Tymczasem tajemniczy zakonnicy wyszli na zewnątrz, a ich śpiew cichł z każdą chwilą. Chyba zdążali do kościoła. Po pewnym czasie oddalili się na tyle, że Zofia słyszała tylko łomotanie swojego serca. Dwór znów pogrążył się w ciszy.

Przez chwilę Zofia zastanawiała się, czy nie zbudzić Henryka, zdawała sobie jednak sprawę, że uzna on wszystko za przywidzenia. Przygryzła gniewnie usta i zerknęła w stronę drzwi wiodących z sieni do oficyny, tych samych, przez które przeszli osobliwi mnisi. Służba widocznie spała tak twardym snem, że nawet nie zwróciła uwagi na obcych pałętających się po domu. Niedopuszczalne. Henryk był stanowczo zbyt pobłażliwy i pozwalał wszystkim wchodzić sobie na głowę. Nie tylko Irenie



i Rodakowskiemu, najwyraźniej nie potrafił też zdyscyplinować własnej służby.

Zofia biła się z myślami, czy przystoi jej zejść do oficyny i wziąć sprawy w swoje ręce. Nadal obawiała się włamywaczy, czy kimkolwiek byli ci przebierańcy, ale poczucie godności wzięło górę: jeśli Henryk miał się potem z niej naśmiewać, wolała wszystko sprawdzić sama. Zabrała z sypialni lampę naftową, zeszła po skrzypiących schodach i pchnęła drzwi do oficyny.

Znalazła się w najstarszej części dworu. Jeśli w sypialni i na schodach czuła chłód, to tutaj panował nieznośny ziąb. Starych, nieszczelnych murów nie dało się należycie ogrzać. W korytarzu walały się domowe sprzęty, brzydkie zniszczone meble i inne rupiecie. Zofia wzdrygnęła się. Jak też ludzie mogą żyć w takiej zimnej, ciasnej graciarni?

↑ Zakonnik zgromadzenia Ducha Świętego de Saxia, rycina z pocz. XVIII w.

Oficyna mieściła się w dawnym klasztorze duchaków, a służba mieszkała w celach. To osobliwe, że procesja zakonników przyszła właśnie stąd – klasztor skasowano jeszcze za cesarza Józefa II.

Ktoś wynurzył się z ciemności korytarza.

– Adam? – wychrypiał.

Zofia poczuła bijącą od niego woń przetrawionego alkoholu. Uniosła lampę wyżej. Blask padł na zniszczone oblicze mężczyzny w wieku trudnym do określenia, jak to bywa u tych, którym w żyłach płynie więcej wódki niż krwi. Mieszkaniec mroku był mały, prędki w ruchach, unikał światła, i w niczym nie przypominał mnicha.

– Nie, nie Adam – odparła Zofia z wyższością. Nie przypominała sobie, by na służbie był jakiś Adam. Trzeba będzie rankiem zapytać o to Henryka. – Kim ty jesteś?

Pijak zrobił minę, jakby zobaczył ducha. Oblizał wargi i zdjął czapkę.

– Ja? Anioł, proszę pani. A pani to nowa dziedziczka?

– Jestem dziedziczką – odparła Zofia chłodno i wyniośle. Nie wiedziała, o jakiej „nowej" dziedziczce może być mowa, więc lista spraw do omówienia z Henrykiem przy śniadaniu wydłużyła się. O, znacznie się wydłużyła.

– To ja mam tylko prośbę taką. Niech pani zadba, żeby tu wszystko było jak dawniej. A nie taki, za przeproszeniem, bajzel.

– Jak dawniej?

– No, jak przed wojną. Za Walterów. I jeszcze wcześniej, za Mieroszewskich.

Serce zamarło Zofii, gdy znów usłyszała o wojnie. Słowa Anioła wydawały jej się bez sensu, nie zastanawiała się więc nad nimi ani przez moment. Zapytała tylko krótko:

– Ktoś tędy przechodził?

– Teraz? Nikt, proszę pani. Kto miałby przechodzić, głucha noc przecież.

Zmierzyła surowym wzrokiem tego pijaka, co żadnego anioła nic a nic nie przypominał, ale nie wyglądał, jakby łgał.

– Daj znać panu, gdybyś zauważył coś podejrzanego – nakazała i odeszła. Zamykając drzwi, usłyszała jeszcze rozmowę w oficynie:



– Adam, kurdebalans, otwórz!

– Masz pieniądze?

– Et, pieniądze. Nie uwierzysz, jak ci powiem, kogom właśnie widział.

– Ty nie licz, że jak mi będziesz jakieś pierdolety o duchach opowiadał, to ci taniej sprzedam.

↑ Haneczka i Sławek Walterowie, lata 20. XX w.
↑ Mieczysław Walter – wówczas dzierżawiący Przeciszów, pocz. XX w.

***

Zofię obudził chłód, jak zawsze, gdy tu wracała. Chwilę zwlekała z otwarciem oczu i odsunięciem kotary łóżka. Dopóki tego nie uczyniła, było trochę tak, jakby ciągle jeszcze trwał poprzedni dzień.

Ucieszyła się, że wczoraj Henryk przyjechał po nią aż na dworzec w Krakowie, gdy wracała od matki ze Lwowa. Razem wsiedli w pociąg do Wieliczki, skąd mieli pojechać powozem do domu…

Nie. To już było.

Zofia usiadła na łóżku i zamrugała. Znów czuła się jak we śnie. Jak wrzucona w rzeczywistość, która była jej obca.

Kiedy wstała wreszcie późnym rankiem, wszystko było zwyczajne i od tej zwyczajności bardzo piękne. Śnieg sypał i sypał. Przykrył całą zmrożoną czerń, wygładził wszystkie kąty.

Zakonnicy przed świtem przemierzający sień i wionący alkoholem aniołowie przynależeli teraz do świata nocnych majaków.



Cena 6 hal. **Nadzwyczajne wydanie** Cena 6 ha

Cena numeru w Krakowie na prowincyi 6 hal.

ILUSTROWANY

PRENUMERATA MIESIĘCZNA W KRAKOWIE K. 1·— NA PROWINCYI K. 1·50

KURYER CODZIENNY

NAJWIĘKSZA ILUSTROWANA GAZETA POLSKA
JEDYNY BEZPARTYJNY DZIENNIK RADYKALNO-NARODOWY

wychodzi codziennie o godz. I-szej w południe w objętości 8—12 a w niedzielę i święta 16 stron druku.

Prenumerata: W Krakowie miesięcznie K. 1·— kwartalnie K. 3. Na prowincyi w Krakowie z przesyłką do domu mies. K. 1·50,— kwartalnie K. 4·50. Za granicą: Mk. 1·50, Frk. 2·40, Dol. 0·50 mies. Za zmianę adresu dopłaca się 40 hal.

Największy nakładowo stołeczny dziennik w Galicyi. Rękopisy redakcya i wydawnictwo przyjmuje: Redakcya, Administracya i Ekspedycya: w Krakowie ul. Wolska l. 19 a. — Telefon 1295 Konto czekowe Nr. 80.279.

Ogłoszenia: Wiersz petitowy jednoszpaltowy . . K. —·30 Nadesłane . . . . . 1·— Paski (5 wiersz petitowych) od . . 2·— Drobne ogłoszenia po 6 halerzy od wyrazu: W niedzielę ceny podwójne.

Rok V. Kraków, poniedziałek, dnia 29 czerwca 1914 Nr. 149

Zamordowanie austryackiego następcy tronu i Jego małżonki

(Na podstawie telegramów c. k. Biura korespondenc. i telegramów własnych korespondentów).

Kraków, 29 czerwca.

Monarchia austryacko-węgierska w żałobie...

Arcyksiążę Franciszek Ferdynand, następca tronu, przyszły władca olbrzymiego, wielopoczętego imperium padł w dniu wczorajszym na posterunku, zginął jako ofiara swojego stanowiska od kuli bruzdowcowej, wymierzonej przez obłąkanego studenta serbskiego, który tę okrutną swoją zbrodnię będzie obecnie usiłował przedstawić jako akt bohaterstwa i poświęcenia w imię wielkoserbskiej idei."

Okropny los mężа podzieliła także i jego nieodstępna towarzyszka życia, księżna Zofia Hohenberg. Zbrodniarz nie tylko godził w osobę przyszłego władcy, ale mordercza swoja brod skierował także przeciw żonie jego, co nigdy nikomu najmniejszej nie wyrządziła krzywdy, ale chciała być opiekuńczym tych, co w nędzy i niedoli ku jasnemu żyli jutru.

Dzisiaj opłakują swoich rodziców nie tylko pozostałe małoletnie sieroty ale wszystkie ludy w głębokim żalu współczują z tragicznym losem męża, co w niedzielnej przyjaźni sier nawy państwowej w swoje wytrawne ręce nie mógł chwycić.

Płaczą niemniej rad potwornym losem ze wszechmiar niewinnej ofiary, która nigdy w niczem i nikomu najmniejszej nie wyrządziła przykrości...

Ukazała Bóżki i współczucia towarzyszył mocno niewinnym ofiarom.

Całe państwo przyjęło wiadomość o wstrętnej zbrodni z oburzeniem i wzgardą zlewyższowiona.

Monarchia odczuła się z zaufaniem do arc.

sterowskie odpowiedzialnego stanowiska, wszelkie ponadto zalety.

Wytrawny żołnierz, przeszedł poprzez wszelkie

Dymisya gen. Potiorka?

Jak donosiliśmy, późnym wieczorem krążyły w Wiedniu pogłoski o dymisyi generała Potiorka, który w Bośni spra-

szczeble wojskowej hierarchii, ku chlubie całej austryackiej armii zyskując sobie bezwzględny mir i zaufanie wśród szerokiego ogółu. Ostatnimi czasy za specyalnym zezwoleniem cesarza zalmował arc. Franciszek Ferdynand stanowisko głównodowodzącego armii austryacko-węgierskiej i w ty zakresie niespotyk potrafił zachęci.

Arcyks. Franciszek Ferdynand odgrywał zaczął także bardzo wybitną rolę polityczną. Młodzieńcza inicyatywa i zapał towarzyszą zawsze wszelkim zamysłom przyszłego władcy, który zamierzył o radykalnym uzdrowieniu zabagnionych stosunków wewnętrznych Austryi i ukierunkowaniu zewnętrznej polityki Austryi na nowe tory. Plany te rozbiłały się często o rzeczy podrzędnej natury. Niemniej jednak zaprzeczyć nie można, że arcyks. nie zrażał się nigdy chwilowemi niepowodzeniami, ale konsekwentnie do obranego dążył celu...

Zamordowany arcyksiążę reprezentował kierunek partyi agresywnej, co oznacza w Austryi partyi wojennej...

Niedocenianie podnosiły się zarzuty wstecznościi i klerykalizmu przeciw arcyksiążęciu, który postępował bezwzględnie, zdążając do obranego celu...

Ale głosy te milkły z chwilą gdy arcyksiążęcia nie tylko ze słów osądzano, ale także i czynom nadar baczną poświęcano uwagę. Indywidualizm przedsiębiorczość władcy niedokrotnie zdawał się w całej pełni, świadczać o niepospolitości jego cechy. Jego orientacyi w najbardziej skomplikowanych zagadnieniach. Wiedział o tem wróg monarchii za pokutą, dlatego skrytobójczym mordem postanowił

Sprawy nocy należą do ciemności, a światło dnia odziera je ze znaczeń i sensów. W słońcu często wydają się zupełnie niedorzeczne.

Jak przez mgłę Zofia pamiętała, że miała o coś zapytać Henryka przy śniadaniu. W nocy wydawało jej się to niezmiernie ważne, lecz czy było takie również w dzień? Od tych myśli głowa rozbolała ją tak, że musiała na chwilę położyć się na sofie w salonie. Co gorsza, znów zaczynało jej błyskać przed oczami.

Zdrzemnęła się tylko na chwilę. Gdy otworzyła oczy, do pokoju lały się światło i żar. Muślinowa suknia przylepiła jej się do pleców. Pod sufitem krążyły tłuste muchy, a zbłąkana pszczoła tłukła się o szybę. Henryk siedział w wiklinowym fotelu i przeglądał „Ilustrowany Kuryer Codzienny". Minę miał zafrasowaną, na czole perlił mu się pot. Może to z tego upału.

Mieroszewski złożył gazetę na czworo, rzucił na stolik kawowy i splótł dłonie.

– A to nam zabili Ferdynanda – rzekł.

Powiedział to tak, że Zofia od razu pojęła, o którego Ferdynanda chodzi. I wiedziała, że za tym ciosem musi pójść kolejny, i nikt tego już zatrzymać nie może ani nie zechce. Za jedną śmiercią pójdą inne, nieprzeliczone, które w przeciwieństwie do tej pierwszej liczyć się będą jedynie ze względu na ilość.

Leonard Rodakowski, który ponownie gościł w Biskupicach, jakby nawet na moment się z nich nie ruszył, zatarł ręce z uciechy. A Zofia nie miała już ani ochoty, ani odwagi pytać, co się stało z wiosną. Może zresztą idą takie czasy, że już nie będzie wiosen.

W następnych dniach atmosfera we dworze stała się napięta i duszna jak przed burzą. Rodakowski wkrótce wyjechał do Kongresówki, bo jako poddany cara mógł w każdej chwili zostać oskarżony o szpiegostwo. Henryk przygotowywał się do mobilizacji i widać było, że on również zapada powoli na chorobę zwaną wojną. Świadomość tego odbierała Zofii wszystkie siły, których nie zdołały wcześniej wyssać z niej ciągłe bóle głowy. W tych dniach Henryk częściej rozmawiał z Ireną niż z nią. Niekiedy słyszała, jak naradzają się półgłosem:

– Mam wątpliwości, czy tobie i Zochnie będzie lepiej tutaj, czy w mieście, gdy wojna już wybuchnie, a mnie wezmą do wojska.

– Mama się tutaj wykończy. Lepiej w mieście.

← Pierwsza strona nadzwyczajnego wydania „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" z 29.06.1914



– Masz rację. Tam bliżej do lekarza w razie potrzeby. Może trzeba też będzie sprzedać dwór. Rozmawiałem już o tym z jednym dobrym panem. Nazywa się Walter, Mieczysław Walter. Szuka dworu, ale w niezbyt wielkiej odległości od Krakowa. Niebawem ma się żenić, a narzeczona jest krakowianką i niezbyt uśmiecha jej się wyjazd z miasta. Trochę to znajomo brzmi, nie uważasz?

– Sprzedać Biskupice? – Irena sprawiała wrażenie zdruzgotanej tym pomysłem i wcale nie było jej do śmiechu. – Wolałabym już za mąż wyjść!

– I narazić na szwank aktorską karierę? Przecież mąż ci nie pozwoli występować w teatrze.

– Akurat się będę pytała. Jeszcze w Miejskim Teatrze będę występować.

– Ech, Ira. Czyli co, Kraków?

– Pewnie tak. Kraków to twierdza. Z drugiej strony, ze wsi łatwiej uchodzić.

– Nikt nie będzie uchodził, Moskal tak daleko nie podejdzie.

– Niechby spróbował!

– Nie odważy się, wiedząc, że tu żyją takie Ireny.

↑ Mieczysław Walter za kierownicą swojego benza w okolicach Przeciszowa, pocz. XX w

Zofia bez trudu mogła wyobrazić sobie, jak wąsy Henryka lekko unoszą się od uśmiechu, jak oczy rozbłyskują, a z oblicza na chwilę znika cień wojny. Czuła żal, że jej mąż woli rozmawiać o ważnych sprawach z córką, dzieckiem nieledwie przecież, a nie z nią. A także o to, że Irena zawsze potrafi rozchmurzyć Henryka, a ona nie. Lecz własne obawy i ciągłe problemy ze zdrowiem pętały ją i dusiły niczym nocna zmora. Cały ten dom robił dziwne rzeczy z jej myślami. Czasem była przekonana, że utkwiła we śnie, że to, co ją tu spotyka, nie jest prawdziwe. Albo że prawdziwość wsi jest zupełnie odmienna od prawdziwości miasta.

Zostać tu, jeśli Henryk ruszy na wojnę? Niech Bóg zachowa!



↑ Henryk Mieroszewski jako rotmistrz 13 c. i k. pułku ułanów, 1914



28 lipca Austro-Węgry wypowiedziały Serbii wojnę, więc w odpowiedzi dwa dni później Austro-Węgrom wypowiedziała wojnę Rosja. 1 sierpnia Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji, 3 – Francji, na co w odpowiedzi 9 sierpnia wypowiedziała Niemcom wojnę Anglia. I tak to już poszło jak domino: Belgia, Czarnogóra, Włochy, Turcja, a nawet daleka Japonia. Gdy ostatniego dnia lipca ogłoszono powszechną mobilizację, Henryk był gotowy od dawna. Na potrzeby wojska oddał nawet swoje konie, za co rzecz jasna nie otrzymał żadnych pieniędzy, a jedynie jakieś bezwartościowe kwity.

↑ Jadwiga z Chmurskich Walterowa, 1915

– Nie jedź – powiedziała do niego Zofia o świcie 5 sierpnia.

Stali oboje na ganku, po polach snuły się mgły. Irena jeszcze spała.

Henryk tylko w milczeniu podniósł na nią wzrok. Pojęła, że spogląda na nią nie jej mąż, tylko austriacki oficer i polski patriota. W odpowiedzi tylko pocałował ją w dłoń, a potem przytulił, co nie zdarzyło mu się od lat.

Powoli zszedł do ogrodu, gdzie już czekał na niego powóz. Zanim jednak wsiadł, podszedł doń jakiś starzec – po braku prawej ręki Zofia rozpoznała w nim starego Łanoszkę z pobliskich Trąbek. Łanoszka stracił był tę rękę na wojnie z Prusami w 1866 roku.

– Niech mi będzie wolno pana pobłogosławić – powiedział. W porannym powietrzu głos brzmiał, jakby chłop stał tuż przy Zofii. – Pan dobry pan jest. Takich tu jeszcze nie było. Pobłogosławić przyszedłem, bo, mówią, starcze błogosławieństwo ma wielką moc. Niech mi pan jeno wybaczy, że lewą ręką, ale innej nie mam.

Henryk Mieroszewski bez słowa pochylił głowę i pozwolił się przeżegnać, a potem wsiadł do powozu, pomachał jeszcze Zofii i ruszył na wojnę.

Zofia Mieroszewska długo stała na progu. Dzień był jasny i czysty, dźwięki niosły się daleko. Pianie koguta, skrzypnięcie drzwi, czyjeś wołanie. I turkot bryczki unoszącej jej męża na nieznaną poniewierkę.

Odwróciła się i weszła do domu. Dwór, o tej porze chłodny i cichy, pożarł ją w całości.

***

Zimą na wsi dnie przesypują się z bezruchu w bezruch, jałowe i podobne do siebie jak ziarenka piasku. W dworze panuje chłód, ciepło umyka niewidocznymi szczelinami i nie pomaga nawet ogień niemal przez cały czas płonący w kominkach. Nocami Zofię budzi chłód pełzający po jej sypialni, ale i w dzień nie sposób należycie się ogrzać. Dłonie grabieją, a myśli zdają się tężeć w głowie niczym woda w stawie, gęstniejąca, zanim mróz zetnie ją w lód. Nawet pisanie listów do matki i przyjaciół we Lwowie



przychodzi z trudem. Zofii zdaje się jednak, że tylko ona jedna ma ten problem, a Henrykowi i Irenie zupełnie ten chłód nie przeszkadza.

Pewnego razu Zofia zbudziła się o najciemniejszej godzinie nocy. W powietrzu wisiała jakaś radosna lekkość i zrobiło się cieplej, jak przed Bożym Narodzeniem, choć przecież zostało tylko kilka dni do Matki Bożej Gromnicznej. Może ta radość brała się po części z tego, że poprzedniego dnia pan Leonard Rodakowski wyjechał wreszcie do Lublina, Bogu dzięki. Ale nie chodziło tylko o to.

Rozsunęła kotarę przy swym łóżku i wyjrzała przez okno. Sypał gruby śnieg. Wpatrywała się w ten widok jak zauroczona.

↑ Ślub córki Mieczysława i Jadwigi, Anny ze Stefanem Rzoncą (rodzice widoczni pierwsi po prawej, młoda para pierwsi po lewej), w tle biskupicki dwór, 1944



***

– Adam, kurdebalans, otwórz!

– Masz pieniądze?

– Et, pieniądze. Nie uwierzysz, jak ci powiem, kogom właśnie widział.

– Ty nie licz, że jak mi będziesz jakieś pierdolety o duchach opowiadał, to ci taniej sprzedam.

– Dziedziczkę widziałem. Nie śmiej się tylko.

– Idź wytrzeźwiej, Anioł.

– Kogo widziałem, tego widziałem. Świeciła mi lampą naftową po oczach, a potem znikła.

– Po dupie ci świeciła – mruknął Adam.



Obaj mężczyźni przyjrzeli się ścianie oddzielającej oficynę od właściwej części dworu. Kiedyś były tu drzwi, ale zamurowano je za komuny, gdy cały dom przebudowano na potrzeby szkoły. Zrobiono to pospiesznie i niedbale, tak że z oficyny było słychać wszystko, co działo się za ścianą, i w drugą stronę tak samo.

Adam przysunął rękę do muru. Ze szpar między cegłami ciągnęło zimne powietrze. Zdawało się, że ma ono w sobie coś cmentarnego. Wzdrygnął się.

– Dobra, Anioł, wierzę ci. Widziałem ją parę razy, ale nikomu nie mówiłem – stwierdził niechętnie. – Księdzu też nie.

– Mnie się wydaje, że teraz to księża niezbyt wierzą w sprawy nadprzyrodzone. Często tu chodzi? Ta dziedziczka?

– Nie za często. To już prędzej ci mnisi. W każdą trzecią niedzielę miesiąca spać nie dają.

– Duchy duchaków, hyhy. Myślisz, że oni mają jakieś niezałatwione sprawy i przez to tak się błąkają?

– Wiesz, myślę, że może im bardzo źle nie jest, skoro tak regularnie się pojawiają. Może nie wiedzą, kim są. Może żyją tak jakby poza czasem.

Krzysztof Rzonca i jego żona Lucyna nie po raz pierwszy przysłuchiwali się tej rozmowie. Dało się ją usłyszeć w zimowe noce, gdy wszyscy już spali, a mroźna ciemność trzeszczała za oknem.

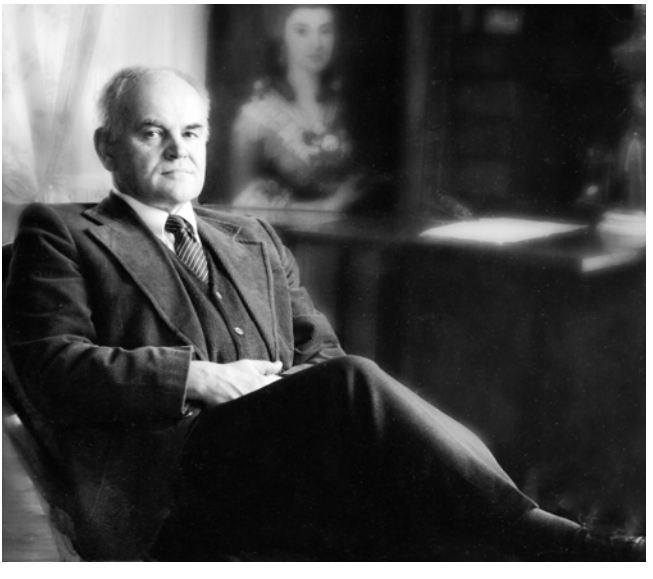
↑ Lucyna Hubert-Nieniewska

Trzeba było tylko przyłożyć ucho do muru, gdzie kiedyś było przejście do oficyny, zamieszkiwanej do niedawna przez różnych lokatorów.

Adama i Anioła sami dobrze pamiętali. Adam mieszkał w oficynie razem z innymi lokatorami, a Anioł często go odwiedzał. W samym dworze była wtedy szkoła podstawowa. Lokatorzy żyli jeszcze, gdy Krzysztofowi udało się odzyskać dwór dziadka Mieczysława Waltera. Oboje z żoną postanowili przywrócić dawny charakter domu.

W zimowe wieczory zdarzało im się wyobrażać sobie przystojną kobietę, odpoczywającą przy kominku w holu. Kominek pochodził z krakowskiego domu Heleny Modrzejewskiej, a trafił do Biskupic za sprawą dziadka pana Krzysztofa. Samej zaś damie należało podać filiżankę kawy, a znikała, kiedy się człowiek odwrócił.

Głosy zza ściany umilkły. Krzysztof wiedział, że tej nocy już ich nie usłyszy. Poszedł do kuchni, by zaparzyć sobie herbatę, i zastanawiał się, czy i on przypadkiem nie żyje już poza czasem. Kiedyś zapytał o to pewnego księdza, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Być może ten ksiądz nie wierzył w sprawy nadprzyrodzone.



↑ Krzysztof Rzonca w biskupickim salonie

Pałac Sanguszków w Gumniskach koło Tarnowa, 1931



KSIĘŻNE

Pałac Sanguszków w Tarnowie-Gumniskach

Dzwony tarnowskiej katedry biją z całą mocą, aż dźwięczy w zębach. Z głównej nawy wylewają się wierni, mieszając z tymi, którzy zgromadzili się na placu i okolicznych ulicach, zabrakło bowiem dla nich miejsca w środku. Tu i tam ktoś pokrzykuje, domagając się kawałka przestrzeni. Wielu płacze. Nad całym tym zamieszaniem musi wreszcie zapanować policja pospołu z wojskiem. W mgnieniu oka utworzono przejście od drzwi bazyliki przez ulicę Katedralną i dalej w dół ulicą Targową. Zepchnięci na trotuary i do bram gapie wyciągają szyje i wspinają się jeden na drugiego, aby lepiej widzieć.

Nie codziennie w końcu odbywa się pogrzeb księżnej.

Gdy jakiś czas wcześniej w mieście gruchnęła wieść o śmierci księżnej Sanguszkowej, wielu w pierwszej chwili zamarło. Konstancja Sanguszkowa, dobra, choć na pozór surowa, nieustannie łożyła na rozwój szpitala, przyczyniła się do powstania Tarnowskiego Towarzystwa Ogrodniczego, wspierała też wdowy po pracownikach Zakładów Azotowych. Od niemal czterdziestu lat żelazną ręką trzymała tarnowski majątek Sanguszków – tartaki, cegielnie i młyny. Nikt przy tym nie mógł powiedzieć, że kiedykolwiek został przez księżną niesprawiedliwie potraktowany.

Później jednak ten i ów zarzekał się, że widział księżną osobiście doglądającą prac w szklarniach i inspektach przy pałacu w Gumniskach, co wywołało małe zamieszanie: czyżby księżna nawet po śmierci nie zaprzestała sprawowania pieczy nad powierzonymi jej dobrami? Byłoby to niesamowite, lecz znając księżną Konstancję, właściwie niespecjalnie dziwiło.

Potrzeba było kilku dni, by wszyscy zrozumieli, że to nie ta księżna. Zmarłą była bowiem jej synowa, Wanda, przebywająca wraz z mężem w Anglii. Odeszła 17 grudnia ubiegłego roku, niedługo po urodzeniu dziecka, małego księcia Piotra, dziedzica tytułu i majątku. Zabalsamowane zwłoki musiano więc przywieźć aż z Londynu.

A teraz jest 10 marca 1938 roku. Młoda wiosna idzie w roztopach.

Kondukt pogrzebowy księżnej Wandy powoli i dostojnie zmierza głównymi ulicami w stronę cmentarza. Za trumną idzie ksiądz doktor Stanisław Bulanda, a obok podążają książę Roman Sanguszko i Barbara Krynicka, córka Wandy z pierwszego

↗ Wyprowadzenie trumny z ciałem księżnej Wandy Sanguszkowej z kaplicy pałacowej w Gumniskach, 1938



małżeństwa. Wielu z tych, którzy pamiętają księcia jako wesołego lekkoducha uwodzącego miejscowe piękności i rozbijającego się kosztownymi automobilami po całej okolicy, nie może go teraz rozpoznać. Jego oblicze wygląda jak skute lodem.

Za najbliższą rodziną zdąża chyba cała znaczniejsza arystokracja z tej części kraju. Książę Lubomirski August hr. Zamoyski – krewny księżnej Konstancji, znany artysta rzeźbiarz, który przybył aż z Paryża. Hrabia Potocki z Rymanowa, hrabia Stadnicki z Nawojowej, hrabia Franciszek Ksawery Pusłowski z Krakowa i wielu innych szlachetnie urodzonych przyjaciół i towarzyszy księcia Romana. Znaleźli się tu też wszyscy, którzy w Tarnowie coś znaczą albo tak im się wydaje: wiceprezydent miasta Tadeusz Kołodziej, podpułkownik piechoty Wojska Polskiego Stanisław

↑ Pogrzeb księżnej Wandy, pierwsza z prawej: Barbara Krynicka, córka Wandy z pierwszego małżeństwa, drugi: książę Roman Sanguszko, trzecia z prawej: kuzynka Romana, Zofia Petelenz, 1938

Kwapniewski, starosta powiatowy Mieczysław Syska, dyrektor Państwowej Fabryki Związków Azotowych Romuald Wowkonowicz. Z Krakowa przybył dyrektor koncernu „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" redaktor Mieczysław Dobija, a także pan Wilhelm Ripper, wiceprezes krakowskiego Automobil Klubu, zięć Teodora Talowskiego. Dalej tłoczą się radni miejscy, Kongregacja Kupiecka z Tarnowa pod własnym sztandarem, Związek Rezerwistów i Straż Ogniowa, po nich zaś liczne delegacje robotników i włościan z powiatów tarnowskiego, dąbrowskiego i brzeskiego; złośliwi stwierdzą potem, że z tymi powiatami książę Sanguszko był szczególnie związany, bo w tarnowskim rozbił trzy samochody, a w dąbrowskim i brzeskim po jednym. No a na końcu, jak zawsze, ciągną ciekawscy i kolekcjonerzy plotek z magla o nazbyt długich językach, znający księcia Romana i księżną Wandę wyłącznie ze skandalizujących opowieści, przeważnie zmyślonych. A przecież ujrzeć w jednym miejscu tylu hrabiów, hrabin i przeróżnych dostojników to nie lada atrakcja. Zebrała się tedy tak ogromna rzesza, że nie byłaby wcale większa, gdyby do Tarnowa przyjechał sam papież.

Kondukt sunie z wielką pompą aż do cmentarza za drewnianym kościołem Najświętszej Marii Panny. Księżna spocznie w rodowej kaplicy Sanguszków przy śpiewie chóru Towarzystwa Muzycznego.

Bystre oczy dostrzegają jednak nie tylko to, kto się zjawił na uroczystości, ale i to, kto na nią nie przybył. I to bynajmniej nie spośród odległych krewnych spod Winnicy, Żółkwi, Podhorców czy Krakowa, wszystkich hrabiów i prezydentów, tylko z Gumnisk, skąd na cmentarz było mniej niż pięć minut jazdy powozem.

Nieobecność księżnej Konstancji, teściowej zmarłej Wandy, jest ostentacyjna i niemożliwa do przeoczenia, jak puste miejsce po zębie.

***

Jeszcze tego samego ranka książę Roman Sanguszko nie wierzył, że jego matka rzeczywiście ma zamiar zlekceważyć pogrzeb Wandy. Wydawało mu się to żartem w wyjątkowo złym guście.

Tak jakby nie znał swojej matki i nie wiedział, że nie jest skora do dowcipów. Ani śmiesznych, ani nieśmiesznych.

– Nie możesz nie pojawić się na pogrzebie, matko.

– Jestem stara i wszystko mogę. A zresztą boli mnie serce i słabo się dziś czuję.

– To moja żona! – wykrzyknął gniewnie książę Roman, jak zawsze skłonny do emocjonalnych uniesień.

– Nie, mój kochany. To żona inżyniera Tadeusza Krynickiego, o ile mi dobrze wiadomo.

Roman poczerwieniał. Żył przecież z Wandą, a od niemal roku byli już cywilnym małżeństwem. Matka miała wystarczająco wiele czasu, by oswoić się z jego decyzją. Żywił też nadzieję, że przyjście na świat wnuka odmieni jej nastawienie.





↑ Z albumu rodzinnego Stanisława hr. Zamoyskiego: Gumniska, Romcio wiezie swą Mamę, 1904

↑ Z albumu rodzinnego Stanisława hr. Zamoyskiego: Gumniska, Romcio przy gospodarstwie, 1904

Do diaska! Był księciem! Nikomu nie musiał się z niczego tłumaczyć. Nawet matce, a może zwłaszcza jej. Dlaczego więc pod jej spojrzeniem czuł się nieustannie oceniany, jak uczniak, który nie odrobił zadanej mu lekcji?

– Źle mamie wiadomo. To żona księcia Romana Sanguszki i matka jego syna, księcia Piotra.

– Nie sierdź się tak, Romciu. Wiesz przecież, że każde moje słowo i każdy czyn są podyktowane wyłącznie miłością do ciebie, a i mały Piotruś milszy jest mi ponad moje własne życie. Lecz mam obowiązki wobec swego stanu, a w nich leży niezgoda na pewne zachowania, nawet drobne. Może nawet zwłaszcza te drobne, bo one zmieniają świat powolutku i małymi krokami. A w tym nowym świecie nowych ludzi nie będzie miejsca dla takich jak ty i ja.

– Wybacz, ale nie mam dziś siły na podobne rozhowory. Znam dobrze obowiązki rycerskiego stanu, a należy też do nich bronienie czci i honoru rodziny. I będę dbał o dobre imię mojej żony równie mocno, jak broniłbym ciebie, matko, gdyby u drzwi pałacu stanął nieprzyjaciel.

Konstancja czule pogłaskała syna po policzku. Roman przymknął oczy. Gniewne napięcie powoli z niego wyparowywało.

– Nie wątpię, że zawsze uczynisz wszystko, co godzi się uczynić – powiedziała.

– Dlaczego więc nawet po śmierci Wandy żywisz do niej urazę?

– Ależ niczego nie żywię. Wszystko jej już dawno po chrześcijańsku wybaczyłam. Odkąd doszła mnie wieść o jej śmierci, nie ma dnia, bym nie modliła się za jej biedną duszę.

Książę nie wypowiedział na głos myśli, że tam, gdzie nie ma winy, nie ma też nic do wybaczania, a Wanda niczego złego nigdy Konstancji nie uczyniła. Zmilczał jednak, bo miał świadomość, że pokorą i spokojem więcej można u matki ugrać. Wiedział też doskonale, że nieobecność Konstancji na pogrzebie nie przejdzie bez echa. O niechęci starej księżnej do nowej cały Tarnów wiedział od dawna, nie było też tajemnicą, że obie kobiety nie widywały się wcale od pięciu lat, kiedy to Wanda i Roman wyjechali za granicę – niby potajemnie, ale kto chciał wiedzieć, ten wiedział. Romansem księcia i inżynierowej żyło całe miasto, a może nawet i całe województwo.

Nie rozumiał, po co odgrzewać sensacje sprzed lat i karmić nieżyczliwe języki. Książę był zmęczony atmosferą skandalu i nie chciał kolejnego.

– Dlaczego nie uszanujesz mej woli, matko?

– Szanuję, choć z bólem serca. Ty zaś uszanuj wolę swej schorowanej matki, bo wymagam od ciebie nieporównanie mniej niż ty ode mnie. Ja bowiem tylko powiadam, że z powodu bólu serca nie pójdę na pogrzeb pani Krynickiej. Ty zaś żądasz ode mnie, bym zaakceptowała i przyjęła za córkę kobietę, która podstępem odebrała ci szacunek, wystawiając mnie na pośmiewisko, kiedy ty lampartowałeś na Riwierze, w Monte Carlo czy Londynie. Zważ, jak wiele już ustąpiłam, zezwalając na jej pochówek w rodowej kaplicy, gdzie i ja pewnego nieodległego dnia spocznę.

– I to razem z Heleną Sanguszkówną – rzucił Roman z przekąsem. – Z Wandą i mną sprawa była przynajmniej jasna. Nikt nie czynił żałosnych prób utrzymania wszystkiego w tajemnicy ani ukrywania nieślubnych dzieci za granicą albo u rodziny. Helena i Adam Sapieha, mąż jej siostry…

– Ty jesteś Roman Sanguszko, nie Adam Sapieha – ucięła krótko Konstancja. – Zaprawdę, jałowa to rozmowa. Muszę się położyć. Nawet po śmierci pani Krynicka musi wbijać klin między nas. Wiedz jednak, że zawsze się cieszę, widząc cię znów w rodzinnych progach.

– O tak. Prawdziwie czuję, że znów jestem w domu. – Roman skłonił się chłodno i pocałował matkę w dłoń, a potem wyszedł. Stukot podkutych obcasów długo niósł się po amfiladzie pokoi.

Tego przedpołudnia została więc Konstancja w pałacu niemal sama, nie licząc najbliższej służby. Prawie wszyscy poszli na pogrzeb. Gdy w czystym przedwiosennym powietrzu rozniosło się brzmienie dzwonów, wsłuchiwała się w nie uważnie, z półprzymkniętymi oczami. Jest bowiem w biciu dzwonów coś pozaświatowego, jakieś drżenie powietrza, jakaś jasność dźwięku, i na chwilę Boże tchnienie ogarnia świat. Kiedy biją dzwony, wszystko jest jak należy.

Konstancja żyła już długo i widziała w świecie wiele zmian, lecz nie wydawały się one zmianami na lepsze. Stare porządki i stare wartości wywracano, niszczono i wyszydzano. Miała wrażenie, że burzy się katedry z kamieni, by w ich miejscu wznosić zamki



z piasku i śmieci. Co więcej, uważano to za coś nowoczesnego i tym samym godnego pochwały. Zapominano o Bogu, o obowiązkach swego stanu i posłuszeństwie wobec zwierzchności, czy to w państwie, czy to w Kościele, czy w rodzinie. W tej zgniliźnie niepojętym sposobem rodziły się głodne krwi żelazne bestie, jak w Niemczech, na wschodzie zaś ruda sfora pożerała kraj za krajem albo przerabiała je na swoją modłę. Pośrodku tego morza zamętu Polska wydawała się w miarę bezpieczna, lecz Konstancja była pozbawiona złudzeń. Mimo że odrodzona ojczyzna nie miała nawet dwudziestu lat, jej młode ciało od początku toczyło robactwo. Nie była to już Polska Sanguszków, Zamoyskich czy Lubomirskich. To była Polska jazgotu, wewnętrznego skłócenia i niemoralności uchodzącej za cnotę. I choć wielu miało Boga na ustach, mało kto nosił Go w sercu. Zło puchło i potężniało, dobro było bezsilne, jakby omdlałe, a świat wyślizgiwał się z rąk sprawiedliwych.

I nic, zupełnie nic nie można było na to poradzić.

Myśl, że sama również dołożyła swój kamyczek do budowania tej diablej świątyni, nie dawała Konstancji spokoju. I nie miało znaczenia, że wszystko uczyniła z nadmiernej miłości do syna jedynaka. Odkąd Roman opuścił Tarnów wraz z Wandą, stara księżna miała nieskończenie wiele okazji do przyglądania się swojemu życiu.

Roman urodził się w 1901 roku, sześć lat po ślubie Konstancji z rodu Zamoyskich i Eustachego Sanguszki. Eustachy miał

↑ Pałac Sanguszków w Gumniskach, 1910–1928



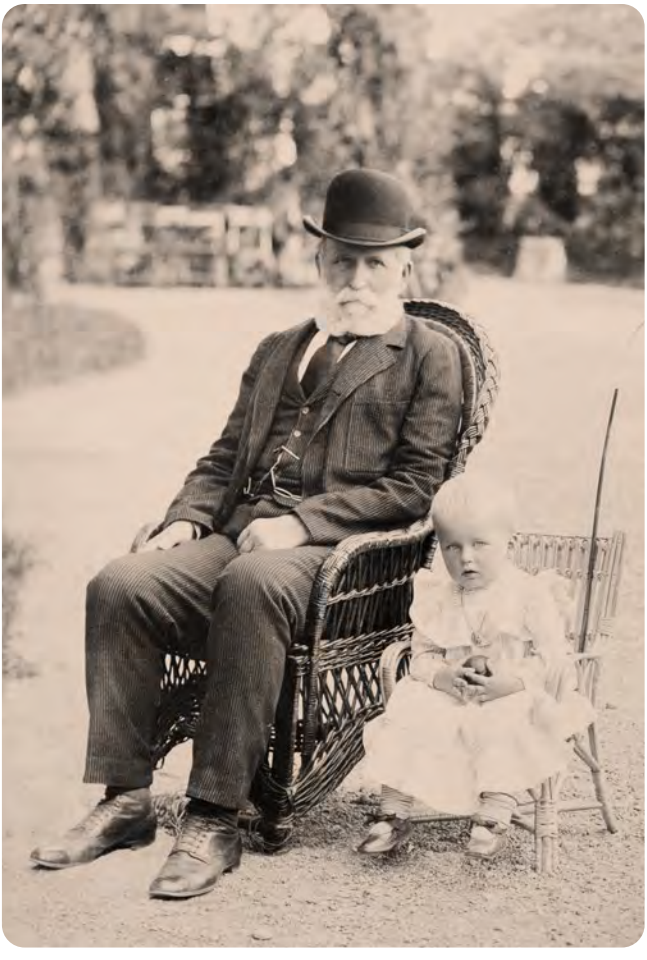
już wówczas lat blisko sześćdziesiąt, więc narodziny dziedzica przyniosły równie wiele radości co złośliwych plotek, tym więcej przykrych, że trudno by znaleźć żonę wierniejszą i bardziej bogobojną od Konstancji. Dwa lata później stary książę zmarł. Roman rósł tedy pod opieką matki, w przedziwny sposób łączącej nadopiekuńczość z pobłażliwością. Najbliższy męski krewny, stryj noszący to samo imię, gospodarował w Sławucie, daleko na Wołyniu, a przy tym miał opinię mruka i dziwaka. Samotnej księżnej wydawało się, że skoro potrafi trzymać twardą ręką pałac i służbę, to poradzi sobie i z własnym synem.

Młody Roman był pogodny, radosny i rozpieszczany. Prawdziwy książę. Pasje też miał iście pańskie: konie i automobile. Tymi drugimi gnał po zakurzonych powiatowych drogach, siejąc popłoch wśród chłopów i wszelkiego żywego inwentarza. Trzeba jednak przyznać, że za przejechane kury płacił uczciwie; miał zresztą z czego.

Prócz pańskich pasji miał też Roman pański dowcip. Któregoś dnia przykazał rozebrać fragment dworskiego muru, a w jego miejscu wznieść replikę z kartonu. Podczas przejażdżki z pewną nobliwą krewną rozpędził automobil i na pełnej prędkości wjechał prosto w fałszywą ścianę. Półżywa z przerażenia ciotka wyturlała się z wnętrza pojazdu. Roman i oglądająca to służba pokładali się ze śmiechu, i nawet sama Konstancja nie mogła powstrzymać lekkiego uśmieszku; nigdy nie przepadała za tamtą kuzynką.

↑ Pałac Sanguszków w Gumniskach, rysunek Jana Tarnowskiego, 1932





Wychować syna to jedno, ale wychować księcia – to zupełnie inna sprawa. I to w dodatku arystokratę polskiego, z kraju bezustannie rozdzieranego wojnami zewnętrznymi i wewnętrznymi, gniecionego butem najeźdźców ze wschodu albo z zachodu, będącego jednym wielkim polem bitwy. To dzięki działaniom arystokracji, a także Kościoła i niektórych ludzi sztuki udało się ojczyźnie przetrwać zabory, o czym wielu nie chciało już pamiętać. Bo wpadać automobilem do rowu, grać w karty i zajmować się końskimi wyścigami to może lord w bezpiecznej Anglii; polski książę zaś jest przede wszystkim rycerzem.

← Konstancja z Romciem w poduszce, obok Eustachy, 1901
↑ Roman Damian Sanguszko ze swoim bratankiem Romciem, ok. 1904



To nie tak, że Roman interesował się jedynie urokami życia, zwłaszcza tymi dostępnymi jedynie bogatym i dobrze urodzonym. Nawet po najtęższej popijawie potrafił wstać rankiem – późnym rankiem, rzecz jasna – i zająć się nudną administracyjną robotą, niczego nigdy nie zaniedbując. Wykazywał się przy tym sprytem i nieszablonowym myśleniem, jak w sprawie tej nieszczęsnej Młynówki. Młynówka była potokiem, do którego wlewały nieczystości wszystkie drobne zakłady przemysłowe, a często i mieszkańcy okolicznych domów. A że Młynówka toczyła swe wody leniwie i bez pośpiechu, to wionął od niej dziwny odór i zapewne niebezpodstawnie obwiniano ją za nawracające epidemie cholery. Na chorobę tę zapadł swego czasu nawet Władysław Hieronim Sanguszko, dziad Romana. Problem z rzeką był jednak taki, że choć grunty, przez które płynęła, należały do miasta, to woda w niej stanowiła własność rodziny Sanguszków. O ile wszyscy chętni byli do czerpania zysków z wodnych młynów, o tyle odpowiedzialność za zanieczyszczanie potoku miasto i ród przerzucali na siebie od pokoleń. Pasmo spraw sądowych zdawało się nie mieć końca.

Pewnego więc dnia książę Roman, z głową pulsującą kacem, rozkazał po prostu Młynówkę zasypać. Rozciąwszy ten węzeł gordyjski, ponownie położył się do łóżka.

↑ Książę Roman ogląda konie z własnej stadniny, 1931



Konstancja pozwalała synowi na wszystko. Najbardziej bowiem w świecie lękała się w duszy, że Roman mimo wszystko okaże się rycerzem. Tak jak książę Roman Damian ze Sławuty, który w 1917 roku sam jeden stanął naprzeciw bolszewickiej czeredy, broniąc swego domu. Służba i domownicy rozpierzchli się na samą wieść o nadejściu rudej sfory. Buntownicy, widząc to, zawahali się, bo trzeba wielkiej siły ducha, by stanąć naprzeciw znacznie silniejszego wroga. Żaden z nich nigdy nie poważyłby się na taki czyn.

Zawahali się więc i zdumieli. A potem zakłuli księcia bagnetami.

Teraz znów coraz częściej mówiło się o nowej wojnie. O jej nieuchronności, ba, nawet konieczności. Chorowali na wojnę nawet ludzie spokojni i w ogóle wcześniej nie wojowniczy, a gdy o niej mówili, ich oblicza stawały się bardziej blade, bardziej poważne, bardziej rzymskie. A Konstancja była już stara i wiedziała, że co jakiś czas coś opętuje najlepsze nawet serca, że czarny welon przesłania najświatlejsze umysły. I wszyscy zaczynają wtedy dążyć ku zagładzie. Szept obłędu przybiera na sile i nie wiedzieć kiedy przestaje być szeptem, przeradza się w ryk nawałnicy, wyrywającej z korzeniami najsilniejsze drzewa.

↑ Książę Roman z koniem czystej krwi arabskiej w towarzystwie zarządcy stadniny w Gumniskach, Bogdana Ziętarskiego w stroju Beduina, 1931

Księżna i matka nieustannie walczyły w Konstancji. Księżna wiedziała, że musi wychować syna na prawdziwego rycerza. Matka modliła się, by nigdy nie musiał się nim okazać.

***

Nie należy sądzić, że Roman był jedynym skandalistą w czcigodnym rodzie Sanguszków. W 1916 roku, po śmierci Jadwigi Sapieżyny, siostry księcia Eustachego i żony Adama Sapiehy, do pałacu w Gumniskach trafiła moc archiwaliów z Krasiczyna, spakowanych naprędce i niewybiórczo. Słusznie bowiem mniemano, że podtarnowskie gniazdo nie padnie tak prędko łupem rosyjskich sołdatów co krasiczyński zamek, gdzie Jadwiga żyła do śmierci. Pozostawiona sama sobie Konstancja miała przez lata niemało czasu na przeglądanie rodowych papierzysk. Przedziwna historia układa się kawałek po kawałku.

W swych pamiętnikach, prowadzonych nieprzerwanie od 1852 do 1916 roku, Jadwiga Sapieżyna stwierdzała: „Sposób kochania mężczyzn jest tak odmienny od naszego, oni pomimo nawet wielkiego przywiązania mają tysięczne rzeczy, które ich zajmują i całkiem absorbują…".

Bardzo oględne słowa żony, którą mąż zaniedbuje, nie potrafi jej obronić przed teściową, a przy tym zdradza na prawo i lewo. W Adamie Sapiesze kobiety „kochały się wprost epidemicznie". Powyższy zaś fragment napisała Jadwiga już kilka miesięcy po ślubie; widać bardzo prędko przejrzała na oczy. Sam Adam określał ją stworzeniem dobrym i prostodusznym, któremu brakuje rozeznania w sprawach prawdziwie światowych. Helenę Sanguszkównę zaś upraszał o dochowanie tajemnicy przez wzgląd na miłość siostrzaną. Tak, Helenę, rodzoną siostrę Jadwigi. Adama łączył z nią bowiem wieloletni romans.

Helenę widywała Konstancja nieczęsto, a i nawet wtedy przeważnie tylko z daleka. Księżna Sanguszkówna, choć dojrzała, pozostawała nadal kobietą przykuwającą uwagę mężczyzn i budzącą cichą zazdrość dam, co skutkowało plotkami i szemraniem. Na to jednak Konstancja, wychowana na pismach Tomasza à Kempis, nie zwracała najmniejszej uwagi. Cudza uroda zawsze rozwiązuje złe języki, a urody wszak Helenie nie brakowało.



Młodziutka Konstancja czuła się przytłoczona bijącym od księżniczki blaskiem i towarzyskim splendorem. Ona sama i starszawy już Eustachy nie byli jeszcze nawet zaręczeni, gdy Helena przedwcześnie zmarła, i żadna nie miała okazji bliżej poznać tej drugiej. Czy jednak światowa księżniczka, gwiazda dworów włoskich, francuskich i angielskich i cicha dziewczyna ze szkaplerzem naprawdę miałyby sobie do powiedzenia coś poza zwyczajowymi uprzejmościami?

↑ Księżniczka Helena Sanguszko w krynolinie lata 60.–70. XIX w.
↗ Adam Sapieha (u góry), Eustachy Sanguszko (po lewej) i Jan Zamoyski (po prawej), odręczny podpis: „W restauracyjce labiryntheu", lata 70. XIX w.
↑ Księżna Jadwiga z Sanguszków Adamowa Sapieha, ok. 1865



Matka Jadwigi i Heleny, księżna Izabela z Lubomirskich Sanguszkowa, uważała, że Jadwiga z pewnością zniesie wszelkie trudności i godnie wypełni każdy powierzony jej obowiązek. Lecz to Helenę pragnęła zawsze mieć przy sobie. „Jej obecność to radość sama, jakby to dziecko moje najdroższe przepełniał blask czarujący, przez co wiele wybaczyć jej można". Jadwiga wtórowała matce, choć ze zwykłą sobie powściągliwością, i tak pisała o siostrze: „Takiej piękności już nigdy w życiu nie spotkałam, była bez jednej wady, czy to twarzy, czy całej postaci…".

Konstancja przegląda stare wizerunki i fotografie: Helena lubiła być portretowana w greckim stroju, zapewne nawiązując do swej trojańskiej imienniczki, i idealnie wpasowywała się w kanony urody swojej epoki. Ciemne oczy wydają się jednocześnie rozmarzone i przenikliwe, głowę trzyma dumnie, choć nie wyzywająco. Nie musi. Jest prawdziwą księżną. Po cokolwiek wyciągnie rękę, jest jej. W taki więc sposób sięgnęła po Adama Sapiehę, wysokiego, przystojnego, o marsowym profilu i pięknej brodzie. Ależ musieli wspaniale razem wyglądać.

↑ Helenka Sanguszkówna z matką Izabelą z Lubomirskich i siostrą Jadwigą sportretowane przez Giuseppe Giacoma Battiga, ok. 1845

Tak, Helena była piękna. Jej siostra Jadwiga wygląda przy niej o wiele mniej szlachetnie. Konstancja niechętnie przyznaje to sama przed sobą, sama jest bowiem urody raczej przeciętnej i wynikającej głównie z dostatku; wiadomo, że ludzie bogaci i dobrze sytuowani są ładniejsi, bo mogą sobie na to pozwolić. To bardzo nieuprzejme być brzydkim. Ale nie da się ukryć, że ona i jej dobroduszny, łysiejący i zezowaty Eustachy wyglądaliby przy Helenie i Adamie co najwyżej jak rodzina ekonoma czy zarządcy folwarku.

Rodziny Sapiehów i Sanguszków wiedziały rzecz jasna o romansie i ukrywały go jak mogły. Wiedziano jednak, że kochankowie doczekali się dwójki dzieci. Córka przyszła na świat we Francji i nic pewnego nie wiadomo o jej losach. Syn został przez Jadwigę przysposobiony i wychowywany jako jej własny, lecz nawet Konstancja nie miała pewności, o którego z czterech męskich potomków Adama mogło chodzić. Może urodzony w Heidelbergu Jan Piotr, który wiódł awanturnicze życie i przez pewien czas był nawet poszukiwaczem złota w Nowym Świecie?



↑ Portret Tereski Sanguszkówny i Jasia Sapiehy, syna Heleny i Adama, ok. 1870



Konstancja odwraca fotografię. Siedzi na tarasie przy posągu Merkurego, w dole ciągnie się ogród, a w oddali wznosi Góra św. Marcina, gdzie przed wiekami Spytko Leliwita wzniósł pierwszy zamek w okolicy Tarnowa. Zamczysko rozebrano, a część kamieni użyto w 1799 roku do budowy pałacu w Gumniskach. Choć jest ciepły dzień letni, to myśli księżnej zasnute są chmurami. Konstancja zastanawia się, co Helena czuła do swych dzieci. Mogła przecież wycofać się z życia towarzyskiego. Zaszyć we Francji albo w Szwajcarii, w jakiejś wiejskiej willi, niepozbawionej przecież wygód: rodzina nie dopuściłaby, aby czegoś jej zabrakło. Mogłaby wychować tam swoje dzieci.

Mogłaby zapomnieć o Adamie.

Helena musiała wybierać pomiędzy byciem matką a byciem księżną. I wybrała. Czy pod naciskiem rodu, zwłaszcza matki, chcącej mieć przy sobie ukochaną i faworyzowaną córkę, czy z własnego przekonania, czy pod wpływem zbyt wielu przeczytanych powieści i wierszy, bo przecież wiadomo, że literatura karmi się ułudami i nieprawdą – nie ma znaczenia. Wybór jest

↑ Jadwiga i Adam Sapiehowie z synem, ok. 1865
→ Talerz z portretem wezyra tureckiego Kary Mustafy, 1789

wyborem. Została więc w kraju. Kto miał szemrać, ten szemrał; trudno, o każdym zawsze szemrają. A ona jeszcze przez wiele lat nie mogła opędzić się od szlachetnie urodzonych adoratorów, czemu Konstancja nie przestawała się dziwić: przecież wszyscy wiedzieli. Być może aura skandalistki przyciągała mężczyzn, bo ci niezależnie od stanu i urodzenia są bardzo głupi. Helena zaś tych kandydatów do ręki zwykle zwodziła przez dłuższy czas, by nagle i niespodziewanie porzucić. Nie wiadomo, kiedy skończył się jej romans z księciem Adamem; być może nigdy.

Konstancja zbiera stare papiery, starannie przewiązuje wstążką i zamyka na klucz w szkatułce. Gorzkie historie z przeszłości nie odebrały jej apetytu i ze smakiem zabiera się za ciastko z kremem, które Roman przywiózł z Tatrzańskiej. Sama, bywało, chętnie tam zaglądała, ale było to dawno, gdy jej syn był jeszcze małym chłopcem. Potem Roman dorósł i wieczorami brylował w tym lokalu, często w towarzystwie pani Krynickiej, o czym Konstancja nie mogła nie myśleć.

Ale ciastko z kremem niczemu przecież nie jest winne, a księżna bardzo lubi ciastka. A gdy jada sama, zwykle każe przynieść sobie stary talerz, który nie pasuje do żadnego zestawu, ale jest w posiadaniu Sanguszków od zawsze.



To ozdobny talerz, służący do stawiania w kredensie, a nie do tego, by jeść z niego ciastka. Takie zasady są oczywiście dobre dla mieszczan, bo księżnej wolno jeść, co chce i z czego chce. Talerz przedstawia groźnego Turka z nastroszoną brodą, podobno samego Karę Mustafę. Wykonano go w Wiedniu wiele lat po odsieczy króla Sobieskiego, gdy od zagrożenia upłynęło już wystarczająco dużo czasu, by wielki wezyr wydawał się raczej śmieszny niż straszny. Tak myśli Konstancja, rozmazując resztkę kremu na brodzie Mustafy i układając mu szeroki uśmiech z kawałeczków orzechów i kandyzowanych owoców. Rozgląda się uważnie, czy nikt jej nie widzi, po czym dorabia też wezyrowi grube okulary z okruchów. Spogląda na swoje dzieło z ukontentowaniem, uśmiechając się łobuzersko niczym psotna dziewczynka.

Robi tak od lat. Chyba nikt nigdy jej na tym nie przyłapał.

Późnym wieczorem Konstancja nie może zasnąć. Podobno problemy ze snem są normalne w pewnym wieku, lecz przecież to żadne pocieszenie dla kogoś, kto przewraca się z irytacją z boku na bok. Księżna rozmyśla więc. Rozmyśla o Jadwidze z Sanguszków Sapieżynie. Nie o Helenie. Nie o Izabeli. Na obie poświęcono już bardzo wiele myśli i bardzo wiele papieru; możliwe, że nawet zbyt wiele. Nie, Konstancja myśli o Jadwidze, tej nierozumiejącej światowych spraw, cichej, pełnej milczącej godności, i przyjmującej na wychowanie dziecko siostry, aby ta mogła pozostać księżną.

Konstancja żywi wobec Jadwigi wyłącznie podziw.

***

Niemcy wkraczają do Tarnowa 7 września 1939 roku. Wybucha wreszcie ta wojna, o której wszyscy od dawna mówili. I nawet ci, co za wojną najgłośniej krzyczeli i najmocniej orędowali, milkną przerażeni. A są to przecież dopiero pierwsze pomruki burzy. Prawdziwa nawałnica majaczy na horyzoncie, dopiero ma nadejść.

Tego dnia wieczorem odwiedza matkę w jej pokojach Roman. Jest spięty i poważny, jak nie on, i Konstancja wyczuwa od razu, o co chodzi.



– Nic nie musisz mówić, kochany. – Kładzie dłonie na mocnej piersi syna.

– Pojedź z nami – rzuca Roman desperacko. – W Brazylii będziemy bezpieczni. Tam nie dojdą Niemcy ani bolszewicy.

– Synku. Przecież ja ledwo do ogrodu dam radę dojść. – Konstancja uśmiecha się z czułością. Obejmuje mocno Romana za szyję, całuje w czoło i błogosławi.

A on płacze.

↑ Konstancja z Zamoyskich Eustachowa Sanguszkowa, ok. 1895



Tak więc wyrusza Roman za granicę razem z maleńkim Piotrem, swoją pasierbicą Barbarą, a towarzyszy im Arczył-bek Jedigarow oraz garstka nieodzownej służby, bez której książę nie może się obyć.

Skąd pięknoduch Roman wytrzasnął ponurego Jedigarowa, trudno orzec, i ta historia na zawsze pozostanie dla Konstancji tajemnicą. Podobno połączyła ich miłość do koni. Jedigarow jest księciem azerskim, mahometaninem i majorem Wojska Polskiego. Przypomina bardzo Karę Mustafę z talerzyka, i wydaje się, że podobnie jak on nigdzie nie pasuje. A jednak Roman Sanguszko uczynił go generalnym dyrektorem Centralnego Zarządu Dóbr Sanguszków i zlecił mu opiekę nad księciem Piotrem.

Podczas pospiesznej kolacji Konstancja uważnie przygląda się czarnobrodemu Arczył-bekowi. Zaiste, łatwiej jest wyobrazić go sobie w szacie wezyra i z jataganem w dłoni. Księżna uśmiecha się pod nosem. Sama nie znalazłaby dla Piotrusia lepszej opieki.

Tego wieczoru Konstancja widzi syna i wnuka po raz ostatni.

↑ Roman Sanguszko po wyjeździe z Polski, pośród żołnierzy, 1940

***

Niemcy pozwalają księżnej pozostać w pałacu, w dwóch pokojach od południowej strony. Dlatego nie musi nigdy spoglądać na północ, tam, gdzie leży miasto. Wie, oczywiście, że wie, co tam się dzieje, a jeśli nie wie, to się domyśla, co jest jeszcze gorsze. Ale spoglądać nie spogląda. Konstancja, stara, niepotrzebna, niemogąca samodzielnie wyjść dalej niż na taras za oknem, czuje się muzealnym reliktem i nawet nie powinno się o niej pisać w czasie teraźniejszym. Jej świat skończył się, a nastał inny. Świat czarnych mundurów, świat bez Boga. Bo choć Konstancja jest stara, nie jest przecież głupia ani zupełnie głucha. Dobrze wie, co Niemcy robią z Polakami i Żydami, mimo że ją samą traktują z czymś w rodzaju protekcjonalnego szacunku. Jak stary mebel, którego szkoda wyrzucić albo porąbać na opał. Przez całą wojnę księżna nie musi jednak cierpieć ani prawdziwego głodu, ani prawdziwego zimna, ani prawdziwego drżenia o życie najbliższych. Wie, że Roman i Piotruś wraz z Barbarą Krynicką, córką Wandy, są bezpieczni gdzieś w Brazylii i mają się dobrze.

Konstancji zostaje oszczędzone to, co jest chlebem powszednim dla wszystkich, którzy nie są szlachetnie urodzeni ani nie są uznanymi artystami, ani w ogóle nikim i muszą zostać tu, gdzie przeznaczono im żyć, bo ich krew jest potrzebna do użyźniania ziemi. I o tym księżna również wie. Jest przecież wystarczająco stara.

Rok mija za rokiem, przynosząc owoce ciemności. Stalowe bestie, które wspólnie napadły na Polskę tamtego września, gryzą się między sobą, tak bowiem bywa wśród bestii. I nagle Niemcy znikają w kilka godzin, jakby ich nigdy nie było. Na odchodnym jeden z podoficerów rzuca jedynie:

– Proszę uchodzić. Jak oni przyjdą, nie będzie dla księżnej miejsca.

Nie czeka na podziękowanie, znika wraz z innymi. I nastaje po nich wielka cisza. Styczniowy wieczór jest jasny od śniegu, pałacowy park wygląda jak z baśni. Jedynie krwawa łuna nad miastem przypomina, że jest już po apokalipsie. Niemcy palą zakłady azotowe, wysadzają mosty na Dunajcu. Nawet w pałacu, tak daleko od rzeki, słychać głuche huki. Jakby to kra zaczęła przedwcześnie pękać.

Taka to baśń ze światła i mroku, z lodu i ognia, prawdziwa. Ale tylko prawdziwe baśnie warte są opowiadania.

Zwycięska Armia Czerwona nie od razu wkracza do Tarnowa. Najpierw wysyła zwiadowców, którzy obwąchują ostrożnie teren, wymieniają z mieszkańcami papierosy na informacje. Dopiero koło południa Sowieci decydują się na wejście do miasta. Za nimi podążają i polskie oddziały. Wita ich bicie dzwonów, a ludzie śpiewają, że jeszcze Polska nie zginęła.

Konstancja słyszy dzwony i śpiewy, i niczego już nie pojmuje. Przypomina sobie śmierć starego księcia Romana w Sławucie z rąk bolszewików, którzy tak długo pastwili się nad jego ciałem, aż stało się jedynie krwawym strzępem; gdy ciało księcia udało się wreszcie przewieźć do Tarnowa, nie wystawiono zwłok.

A teraz krasnoarmiejców witają śpiewem.

Wie, że przyjdą. Rozkazuje przynieść sobie do sieni wygodny fotel i ustawić go przy neorenesansowym kominku. Może z niego wpatrywać się w sklepienie malowane w drzewo rodowe Sanguszków i ich herb. Niemcy nie zniszczyli malowidła, przez te wszystkie lata wojny chyba nawet nie zwracali na nie specjalnej uwagi. Teraz Konstancja spokojnie liczy liście i gałęzie, liczy uważnie, bo wie, że to koniec. Sanguszkowe drzewo nie jest już nikomu potrzebne, a liście uschły i opadły. Gałęzie wkrótce połamie wiatr. Niebawem ktoś przystawi siekierę do korzenia.

Dawno pomarli Sanguszkowie spoglądają z góry na księżną Konstancję, a księżna Konstancja spogląda na nich, w otchłań pokoleń. Czeka z kamiennym spokojem. Czeka, aż na podjeździe zabrzmi warkot silnika i głosy w obcej mowie.

***

W pałacu biskupim dożyje swoich dni; nie pozostało ich tak wiele. W ostatnią podróż do rodowej kaplicy wyruszy w majowy poranek przez Wielkie Schody, bo nowe władze zakażą konduktowi iść głównymi ulicami. Ostrożnie, bo schody są strome, a księżna w trumnie nie może się potłuc i poobijać. Odprowadzi ją garstka osób; skończyły się czasy książąt i księżnych. Czujne rysie oczy funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa będą obserwować wszystko z oddali.

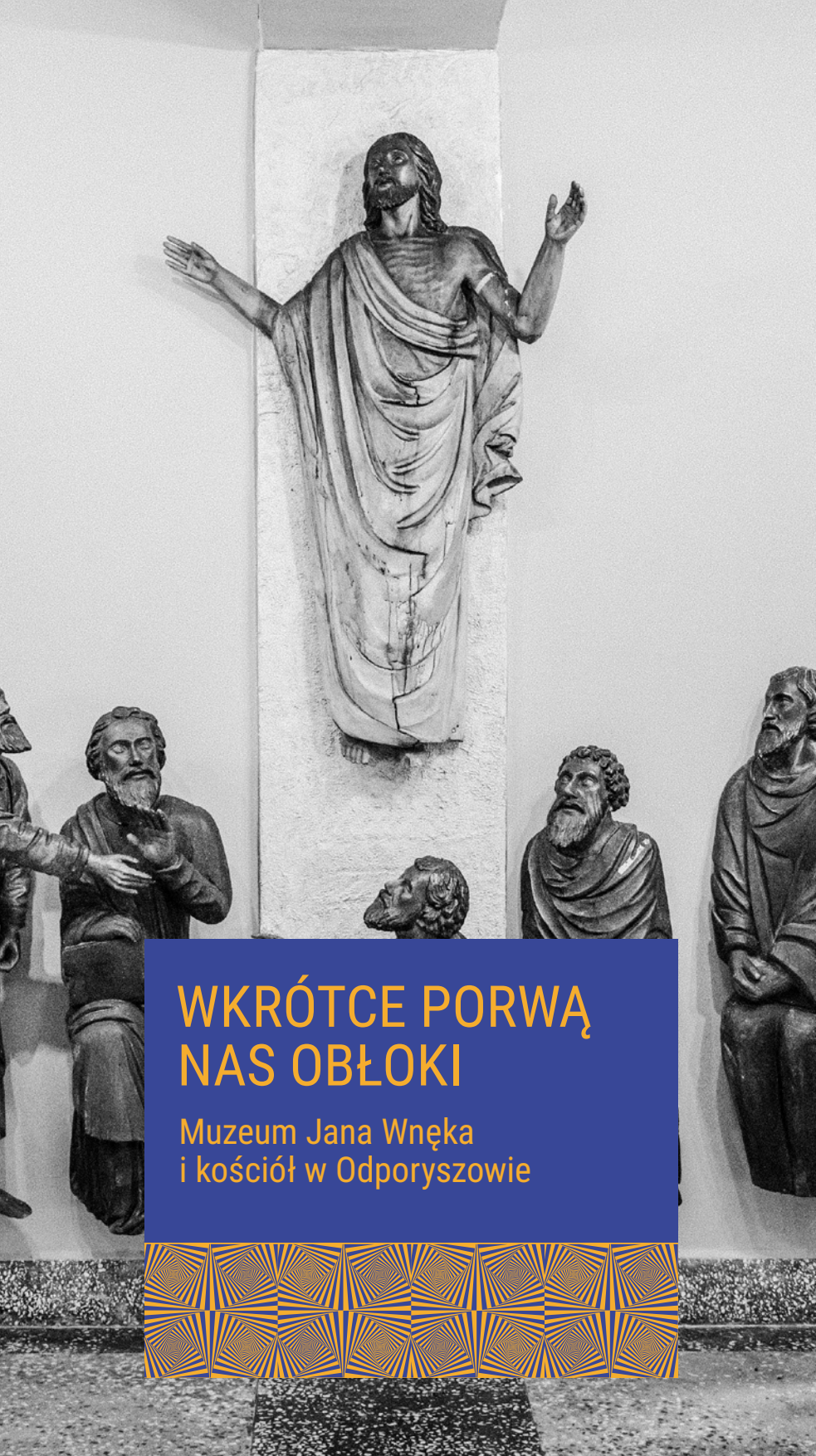
Bezpieka zakaże uderzać przy tej okazji w dzwony, ale dzwony biją i tak, na złość aparatczykom nowego systemu. Władzom powie się potem, że nikt o niczym nie wiedział i że te dzwony to pewnie rozkołysali dla żartu jacyś gówniarze.

A drzewo rodowe i herb Sanguszków w pałacowej sieni zostaną zamalowane wieloma warstwami olejnej farby. Jest tam do dzisiaj, choć nikt o nim nie pamięta.



↑ Izabela z Lubomirskich Sanguszkowa w towarzystwie dwóch starszych kobiet, lata 80. XIX w.

Chrystus Zmartwychwstały i apostołowie w Muzeum Jana Wnęka w Odporyszowie



WKRÓTCE PORWĄ NAS OBŁOKI

Muzeum Jana Wnęka i kościół w Odporyszowie

Szymonowi Teżewskiemu, który opowiedział mi,
jak się ląduje w kapuście

1872

W tej części świata zawsze wieje. Wiatr czesze zboża i trawy, kłaniają mu się brzeziny i dąbrowy, a domy kulą przy ziemi, naciągając dachy nisko niczym kapelusze, żeby nie zerwał ich silniejszy podmuch.

O poranku jednak przychodzi moment ciszy. Trwa dokładnie tyle, ile potrzeba na przeczytanie jutrzni w brewiarzu, pod warunkiem, że czyta się szybko. Ksiądz Stanisław Morgenstern wie, że cierpliwość wiatru prędko się wyczerpuje. W Żabnie aż tak bardzo tego nie czuć, ale ilekroć przyjeżdża do Odporyszowa, prędko przypomina sobie, że to wiatr naprawdę tutaj rządzi.

– Wieje tam, gdzie chce – mawiał często Jan Wnęk, cieśla, snycerz, wynalazca i, co najważniejsze, przyjaciel księdza. – Jest w tym wietrze dużo jasności.

I ksiądz wiedział, co tamten ma na myśli. Obaj lubili przysłuchiwać się gwizdaniu w kominie, szumowi drzew i wciągać głęboko w płuca wszystkie wonie, które niesie wiatr.

Ale Wnęka nie było już wśród żywych od trzech lat. Rozbił się.

– *Deus, in adiutórium meum inténde* – szepcze ksiądz. – *Dómine, ad adiuvándum me festína**.

O, gdyby tylko ten wiatr mógł zerwać z niego część ciężaru, który przygniata Morgensterna od śmierci przyjaciela. Wydaje się jednak, że prędzej zerwie i zabierze w podniebny taniec blaszaną kopułę dzwonnicy niż brzemię z ramion i serca księdza Stanisława.

Jest oktawa Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Usta bezwiednie szepczą dobrze znane psalmy i antyfony, wzrok przebiega po wersetach, lecz myśli są rozproszone jak stado wróbli. Brewiarz jest jednak cierpliwy i wyrozumiały. Wie, że w modlitwie nieczęsto daje się osiągnąć takie skupienie i wyciszenie, jak by się chciało.

Kiedy Jan Wnęk jeszcze żył, cały Odporyszów wydawał się nieco lepszym miejscem. Mało się piło, a na niedzielnych mszach wierni śpiewali jakby głośniej i z radością. I jakoś więcej światła wszędzie było. Ale ksiądz jest stary i mądry, więc wie, że świat

* *Boże, wejrzyj ku wspomożeniu memu. Panie, pospiesz ku ratunkowi memu.* Werset otwierający jutrznię i nieszpory w liturgii godzin, Psalm 70.



zawsze wydaje się lepszy, gdy jesteśmy młodzi. Problem leży więc w jego zaćmionym oku, płytkim oddechu i bólu każdego stawu. Ksiądz żartuje, że od kilku lat to ten ból jest jego najwierniejszym przyjacielem.

Myśli zataczają coraz szersze kręgi, i już nie są to myśli wróblowe, lecz bocianie. Nagły świst w kominie zakrystii przywołuje księdza do porządku. Wiatr się niecierpliwi, więc Stanisław kończy pospiesznie modlitwę i wychodzi, by trochę rozruszać zastane kości.

Ranki są już chłodne i błyszczące od rosy. Na łąkach nieopodal gromadzą się bociany. Nawet tu, pod kościołem, da się słyszeć ich głosy i pełen emocji klekot. Ksiądz ma szczęście: po kilku minutach ptaki jak jeden zrywają się do lotu. Krążą i krążą coraz wyżej, całe stado, wzbijając się spiralnie w górę. Z rzadka tylko machają skrzydłami unoszone niewidzialną siłą. Trudno jest zbyt długo patrzeć w ich stronę: słońce oślepia starego kapłana i wydaje się, że ptaki lecą prosto w blask światłości.

Choć nadal trwa lato, księdzu wcale nie jest ciepło. Wyrzuty sumienia otulają go wronimi skrzydłami i kraczą do ucha. Bo gdyby nie on, Wnęk by nie latał. A gdyby nie latał, pewnie by żył.

↑ Kościół w Odporyszowie, widoczne kaplice i figury zdobiące mur wokół kościoła, rys. Marceli Stohandel, ok. 1865

Musi coś z tym zrobić. Wystarczająco długo odwlekał całą sprawę, i jeśli będzie czekał przez kolejne lata, to pomrą wszyscy, którzy jeszcze pamiętają. A ksiądz, choć rozgrzeszony przez biskupa dawno temu i zadośćuczynił każdemu, jak tylko było w ludzkiej mocy, nie upora się nigdy z własnymi wspomnieniami. Wyrzuty sumienia będą podgryzać go dzień za dniem, aż nie zostanie z księdza nic prócz cienia.

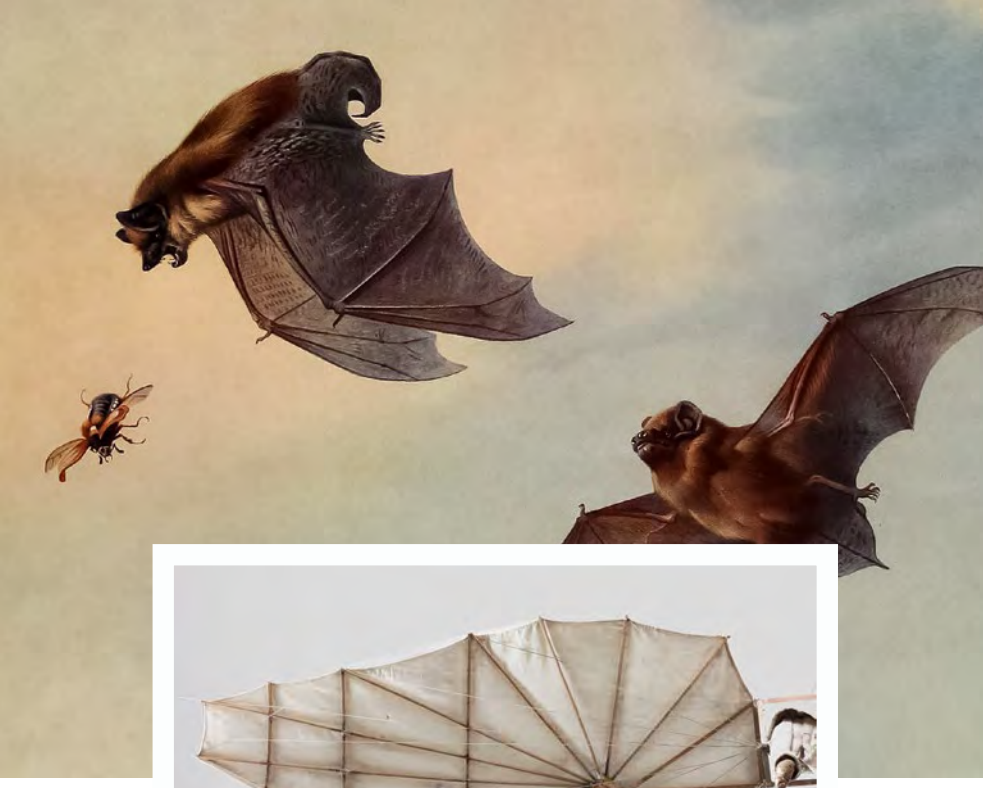
A zatem postanowione. Uczyni to jeszcze dziś.

1865

Latem Jan Wnęk nie tylko wstawał wcześnie, ale i chodził spać późno. W najkrótsze noce czerwcowe, gdy jasność toczy się wzdłuż horyzontu i nigdy nie nastaje prawdziwy mrok, nie sypiał podobno wcale. Siadał na przyzbie, oparty o drzwi, i szeptał litanię do Najświętszego Serca Jezusowego. Kolejne wezwania kołysały go miękko, aż osuwał się w stan snu-niesnu, bo niby drzemał, ale i tak wiedział, co dzieje się dookoła. Samą litanię odmawiał z pamięci, nie było zresztą innego wyjścia, Wnęk bowiem, jak wielu innych chłopów, nie potrafił czytać ani pisać. Niby były jakieś szkoły, ale uczono w nich wyłącznie katechizmu, a i tego tylko na pamięć.

Zasypiał więc i budził się pośród tej jasnej nocy, a ocknąwszy się, kontynuował modlitwę od ostatniego miejsca, które pamiętał. I było tak, jakby na czas snu umościł sobie miejsce wewnątrz litanii. A nawet więcej: jakby coś modliło się w nim, gdy spał. Był w tym przekonaniu pokój tak głęboki, jaki trudno wyobrazić sobie komuś, kto nigdy niczego podobnego nie doświadczył.

Na tle ultramarynowego nieba przemykały często nietoperze, wydając dziwne dźwięki, od których stukało w uszach. Lot ich był rwany, pełen akrobacji, chaotycznych piruetów i nagłych zwrotów, jakby tańczyły oberki. Modlitewne wyciszenie wyostrzało zmysły i Wnęk dostrzegał teraz rzeczy, które umknęłyby mu za dnia. Błoniaste skrzydła o długich palcach budziły zachwyt. Kiedy siedział w bezruchu, te maleńkie dzieci nocy podlatywały naprawdę blisko, jakby w ogóle go nie dostrzegając. Którejś nocy, gdy wszeszedł już księżyc, Jan szybkim ruchem złapał nieostrożnego nietoperza. Zwierzę młóciło skrzydłami i próbowało kąsać. Wnęk miał w pamięci opowieści o kobiecie



z Żabna, którą nietoperz pogryzł do krwi, a potem dostała pomieszania zmysłów, jakby się w niej dusza przekręciła, i po jakimś czasie uciekła z domu, słuch po niej zaginął. Lecz ciekawość była silniejsza. W zadumie obejrzał stworzenie ze wszystkich stron, po czym wypuścił. Nietoperz fruknął ponad dach i znikł w bezpiecznej ciemności.

Przez całe lato Jan wielokrotnie jeszcze łapał nietoperze i robił szkice ich skrzydeł.

To było to lato, gdy Jan zapragnął odlecieć na południe.

Przed Matką Boską Zielną bociany zaczynają się zbierać do odlotu. Z początku wcale tego nie widać, bo tylko krążą po okolicy, to jeszcze nawet nie ich sejmiki. Ale wiedzą, że już czas, bo noce stały się dłuższe i chłodniejsze. Coś głęboko w ptasim sercu popycha je do drogi, daleko, daleko na południe. Znacznie dalej, niż mógłby przypuszczać Jan Wnęk. To taka odległość i taka dal, że równie dobrze mogłyby lecieć do samego nieba.

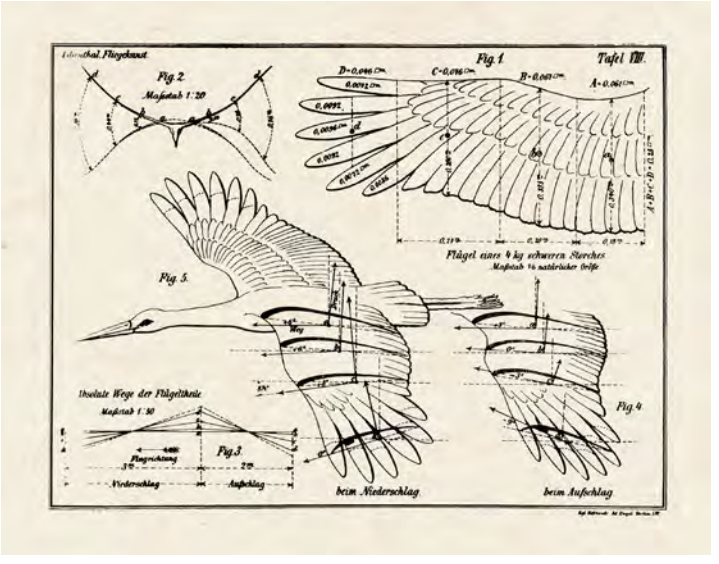
↑ Archibald Thorburn, *Nietoperze w locie*, plansza z książki, 1920
↑ Model skrzydła Jana Wnęka wykonany w 1956 r. na podstawie opisu Tadeusza Seweryna, który w latach 30. prowadził badania nad życiem twórcy

Tamtego dnia Jan wyszedł o świtaniu, po rosie, aby nie przeoczyć niczego, ale i tak okazało się, że bociany wstały wcześniej niż on. Już przechadzały się z wolna, wysoko podnosząc nogi i rozkładając szeroko skrzydła. Nie bały się go. Przeciwnie: zdawały się zaciekawione i rozbawione jego obecnością, szeroko rozwierały dzioby, jak w uśmiechu, choć z ptasiej mimiki nie sposób niczego wyczytać. Wnęk jednak czuł, że bociany go przyjęły: nie syczały, nie klekotały gniewnie, no i nie uciekały, kiedy się zbliżał.

Przychodził do nich co dzień. Przychodził od kilku lat, kiedy tylko dojrzewał sierpień. Wszyscy we wsi żyli już wtedy żniwami, nawet w warsztacie Jana robota zwalniała tempo. Figury świętych i aniołów czekały na wpół ukończone, z twarzami wciąż bez wyrazu, jak u pradawnych pogańskich bałwanów, z dłońmi zastygłymi w niedokonanym błogosławieństwie, niewyłonione w pełni z lipowego drewna. Niektóre nie wiedziały jeszcze, czy mają być świętym Piotrem czy świętym Michałem Archaniołem. Tylko Jan to wiedział, lecz trzymał swych świętych w niepewności aż do dożynek. Sam miał wiele roboty na własnym kawałku pola. No i były też bociany. Bociany nade wszystko.



↑ Józef Chełmoński, *Bociany*, olej na płótnie, 1900



Znały więc Wnęka, a Wnęk znał je. I tamtego ranka, nie wiedzieć kiedy, znalazł się w samym środku bocianiego stada. Na łące zebrała się już wielka mnogość tych ptaków, aż kręciło się w głowie od bieli i czerni. Zaraz też łąka rozbrzmiała klekoczącymi rozmowami, podobnymi do stukotu drewnianych kołatek na triduum paschalne, kiedy to zawiązane dzwony i dzwonki milkną aż do rezurekcji. Ludka, żona Jana, uznała te skojarzenia za ponure, kiedy jednego dnia nieopatrznie zwierzył się jej ze swych myśli. Ale nic, co rodzi się z drewna, nie mogło być dla Jana prawdziwie ponure. A klekot paschalnych kołatek i klekot bocianów późnym latem zwiastowały wielką zmianę.

Zaraz też ptaki jęły machać skrzydłami, najpierw stare, potem młode, tegoroczne, niepomne jeszcze, jak groźna i wspaniała przygoda je czeka, i łąką poszedł wielki szum, jakby uderzenie gwałtownego wiatru. Jan również młócił rękami powietrze i raz po raz pochylał głowę w ptasim ukłonie. Czuł, jak wzbiera w nim radość, jak rodzi się gdzieś pod mostkiem i przesuwa wzwyż, ku sercu i dalej, dochodząc do ramion. Jeszcze chwila, a ta radość uniesie Jana w górę. Pracował więc coraz mocniej i coraz szybciej, przekonany, że tym razem się uda. Ręce, wyrobione latami pracy w drewnie, miał przecież wytrzymałe i mocne.

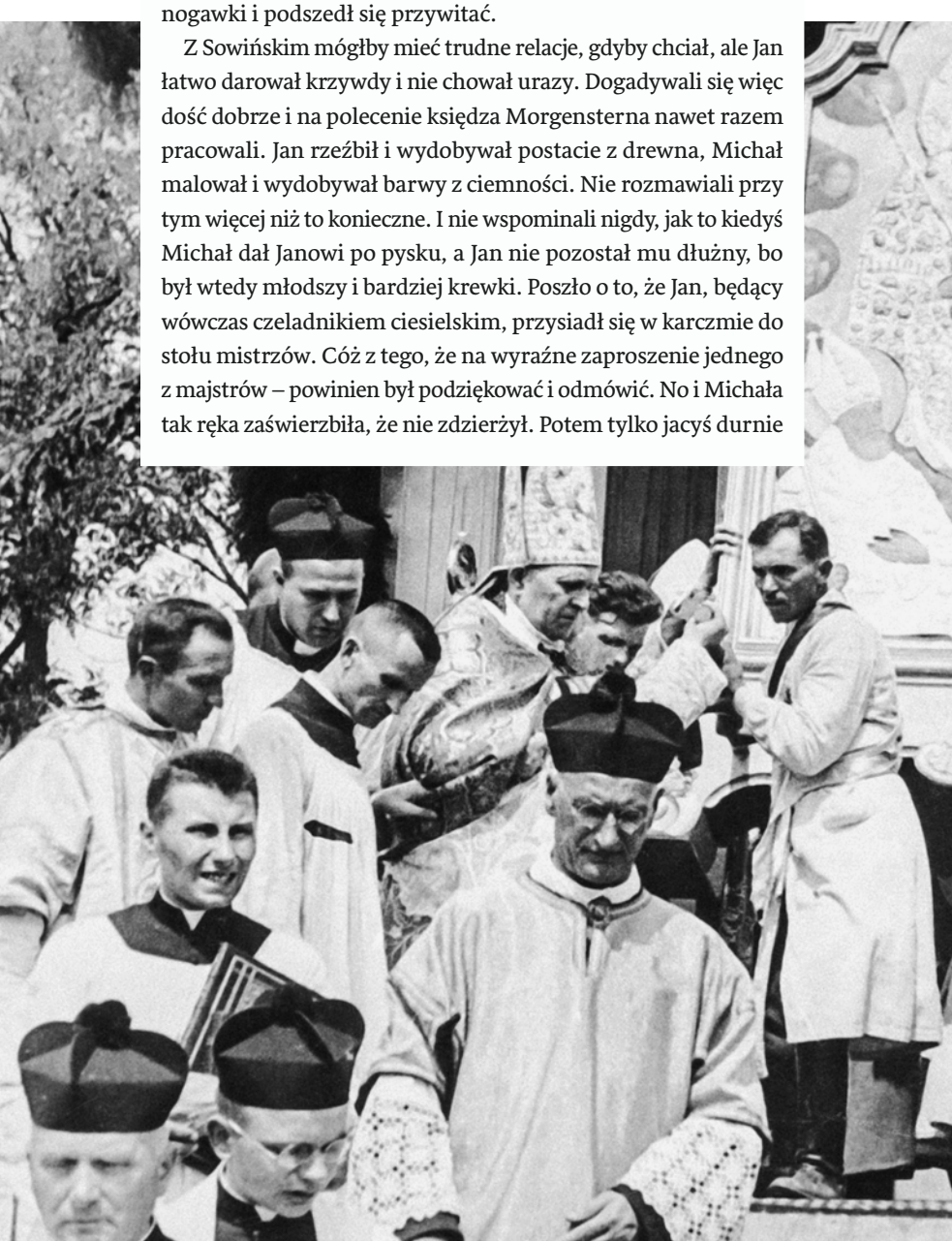
↑ Tablica autorstwa Ottona Lilienthala przedstawiająca sztukę latania na przykładzie bociana, 1889

Bociany odbiły się od ziemi i wzleciały, zrazu niezgrabnie, lecz zaraz pochwyciły powietrzne prądy. I nie były już bocianami, ale wiatrem. Jan podskoczył raz i drugi, lecz powietrze, w przeciwieństwie do ptaków, nie chciało go przyjąć.

Odleciały, a on został.

Dopiero po chwili poczuł, że jest obserwowany: na drodze stał Michał Sowiński, stary mistrz ciesielski. Jego twarz niczego nie wyrażała, ale Jan uśmiechnął się szeroko. Podciągnął uroszone nogawki i podszedł się przywitać.

Z Sowińskim mógłby mieć trudne relacje, gdyby chciał, ale Jan łatwo darował krzywdy i nie chował urazy. Dogadywali się więc dość dobrze i na polecenie księdza Morgensterna nawet razem pracowali. Jan rzeźbił i wydobywał postacie z drewna, Michał malował i wydobywał barwy z ciemności. Nie rozmawiali przy tym więcej niż to konieczne. I nie wspominali nigdy, jak to kiedyś Michał dał Janowi po pysku, a Jan nie pozostał mu dłużny, bo był wtedy młodszy i bardziej krewki. Poszło o to, że Jan, będący wówczas czeladnikiem ciesielskim, przysiadł się w karczmie do stołu mistrzów. Cóż z tego, że na wyraźne zaproszenie jednego z majstrów – powinien był podziękować i odmówić. No i Michała tak ręka zaświerzbiła, że nie zdzierżył. Potem tylko jacyś durnie



gadali, że poszło o babę, ale to bzdury. O baby nie warto się bić. Ale miejsce przy mistrzowskim stole – o, to całkiem inna rzecz.

Potem zaś ksiądz Morgenstern po pielgrzymce do jakichś świętych krajów zamarzył sobie z kościoła w Odporyszowie uczynić sanktuarium i miejsce pielgrzymek za sprawą obrazu Matki Boskiej. Do tego chciał wznieść pięćdziesiąt dwie kaplice ze scenami a to z życia Świętej Rodziny, a to Męki Pańskiej, a to Zmartwychwstania i jeszcze innymi. To miało być wielkie dzieło, na całe życie. Zgłosili się wówczas trzej kandydaci: Michał Sowiński, pustelnik Sowa, co miał dobrą rękę do dłuta, tylko musiał być trzeźwy, no i Jan Wnęk, znacznie młodszy od tamtych dwóch. I ksiądz wybrał Wnęka, Sowiński zaś miał mu pomagać. Czy wybrał dlatego, że rzeczywiście przeczuł w nim jakąś wielkość, czy dlatego, że był najmłodszy i największa była szansa, że dożyje ukończenia prac, czy wreszcie dlatego, że najbliżej był Kościoła i największe miał rozeznanie w sprawach duchowych – nie dowiedzieli się. Nigdy też nie poruszali między sobą tego tematu, a o czym się nie mówi, to całkiem tak, jakby tego w ogóle nie było. A co kto nosi w sercu i jakie chowa żale, to jego sprawa i nie powinno to przeszkadzać w robocie.

Prawda?



Uroczystość koronacji obrazu Matki Bożej w Odporyszowie

We dwóch zaszli więc, milcząc, do pracowni Wnęka. To była nie byle jaka pracownia, bo wzniesiona na palach i z opuszczaną podłogą, dzięki czemu można w niej było swobodnie pracować nad naprawdę wielkimi figurami. Przez klapę w tej podłodze łatwiej też było rzeźby wynosić na zewnątrz. Tyle że zimą wiatr wchodził szczelinami od dołu i naprawdę szło umarznąć, a ręce siniały od mrozu. Myślał więc Wnęk nad jakimś grzaniem, ale takim, żeby wszystkiego nie puścić z dymem. Może więc jakiś piec, jak chlebowy, z którego szłyby żelazne rury do wnętrza warsztatu, i od tych rur robiłoby się cieplej?

Bo Jan był może dziwak, ale miał i rozum, i dłonie na tyle zręczne, by uczynić wszystko, co sobie umyślił. A to przecież zupełnie inny rodzaj dziwaka niż taki, co nic nie potrafi.

Teraz w pracowni pachniało drewnem i pokostem, w padającej przez okno świetlistej smudze wirowały drobiny pyłu. Michał chciał rozpocząć tego dnia malowanie anioła, już wyrzeźbionego, zdającego się czekać, aż tchnie w niego życie kolorowymi farbami.

Stary rzemieślnik obszedł uważnie figurę.

– Wielkie ma te skrzydła – mruknął wreszcie.

Ale Wnęk tylko uśmiechnął się tajemniczo i powiedział:

– Na małych nie poleci.



1860

Jan Wnęk nie był pierwszym w Odporyszowie, któremu zamarzyło się latanie.

Pewnego dnia przy żniwach jeden z chłopów zdrzemnął się przy robocie i miał sen. Śniło mu się, że idzie miedzą, a każdy jego krok staje się coraz dłuższy i dłuższy, w sercu zaś kipi dziwna radość. Zupełnie inaczej, niż gdyby był pijany, bo teraz każdy zmysł jest wyostrzony, a wszystkie barwy nasycone. Skacze więc z tej radości i – rzecz niezwykła – unosi się nad ziemię. Leci. Leci nisko, tuż nad miedzą, powoli, jak to we śnie, i ląduje po kilkunastu krokach, bo ogarnia go strach, że zaraz zerwie się wiatr i zabierze go nie wiedzieć dokąd. Ledwo jednak dotyka ziemi, a już chce na nowo wzbić się w górę, bo kto raz wzleciał, tego serce nie znajdzie już spokoju na ziemi. Podskakuje więc i znów jego ciało unosi się i sunie w powietrzu. Jeśli się postarać, można nawet łagodnie skręcać w lewo albo w prawo, choć ciało nie zawsze chce słuchać głowy i czasem leci tam, gdzie zechce. Na przykład w krzaki.

Chłop zbudził się oszołomiony na moment przed tym, jak wpadł w zarośla leszczyny. Sen wydawał mu się niepokojąco prawdziwy, a on sam wciąż czuł w sobie lekkość, pustkę i wiatr. Wszystko w nim aż rwało się do lotu.

Rozejrzał się naokoło. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Południowe słońce prażyło tak, że aż swędziały oczy. Na sąsiedniej miedzy pod zaroślami tarniny odpoczywał sąsiad, Jan Wnęk z żoną Ludką i maleńkim synem Staszkiem. Chyba drzemali. Poza tym nikogo.

Co szkodziło spróbować.

Chłop wziął krótki rozbieg, podskoczył raz, drugi i trzeci i odbił się od ziemi. Leniwie zatoczył koło nad śpiącymi Wnękami. Z przepełniającej go radości nie mógł już dłużej utrzymać się w powietrzu i gruchnął niezgrabnie w dół. Chwilę mu zajęło, zanim doszedł do siebie. A jednak był pewien: potrafi latać. I wcale nie było to takie trudne, jak mogło się wydawać. Aż dziwne, że nigdy wcześniej tego nie spróbował.

Z wielkim krzykiem obudził Wnęków i kilku sąsiadów, po czym zebrał kogo tylko mógł na skraju długiego zagonu kapusty. Chłopy, baby i dzieci stali, mrugając niepewnie, przecierając

← Anioł, rzeźba Jana Wnęka z jednej z kaplic Tajemnic Różańca

oczy z zalegających w kącikach resztek snu i południowych widziadeł.

– Będę latał – powiedział im. – Co się głupio śmiejecie. Patrzcie teraz.

Lekkość nie opuszczała go ani na moment. Czuł ją w nogach i rękach, czuł w sercu i głowie. Wziął więc rozbieg i podskoczył.

Wylądował ciężko w kapuście dwa, może trzy kroki dalej, ślizgając na rozgniecionych głąbach i wzbijając fontannę ziemi. Stłukł przy tym tyłek i coś kliknęło mu w kolanie. Gromki śmiech spadł mu na głowę, posypały się szyderstwa, a wstyd podszedł żółcią do gardła i palił niczym zgaga.

– Sowiński, Sowiński, nocą spróbuj latać, sowy to nocne ptaki.

– Słońce sowę oślepiło!

– Moje kapusty!

Jeden tylko Jan Wnęk nie naśmiewał się z Michała Sowińskiego, ale przyglądał mu się z ogromną uwagą. Nie wiadomo, czy stary mistrz w ogóle to zauważył.

1872

Ksiądz Stanisław wyrzuca sobie, że nie dostrzegł wszystkiego zawczasu. Lecz w parafii zawsze było wiele do zrobienia, a on sam przebywał przez większość czasu w Żabnie, nie w Odporyszowie. Zaprzątała go sprawa tworzenia sanktuarium, a może nawet doprowadzenia pewnego dnia do koronacji obrazu Matki Bożej, przy którym wymodlono tyle łask. Miał też wiele innych bieżących trosk, zwłaszcza pijaństwo i złe prowadzenie się wiernych, choć odkąd Wnęk począł rzeźbić swoje kaplice, wszystko jakby ucichło. Może Matka Boża rzeczywiście błogosławiła działaniom księdza? No bo włościanie pili jakby mniej. Choć biskup przypomniał mu, że gdy w latach czterdziestych chłopi założyli tajne bractwa i wytrzeźwieli, skończyło się to rzezią polskich panów. Musiał się wtedy Morgenstern mocno gryźć w język, by czego nie odpowiedzieć biskupowi, świątobliwemu, ale po ludzku niezbyt mądremu.

Jakkolwiek by było, proboszcz miał mnóstwo zajęć od świtu do zmierzchu, i dobrze, bo ksiądz zawsze musi stać obiema nogami na ziemi. Ale z tego stania na ziemi w ogóle mu nie przyszła do głowy myśl, że jego parafianie mogą marzyć o lataniu.

→ Ksiądz Stanisław Morgenstern, promotor Jana Wnęka





Teraz, w ciepły letni dzień Morgenstern może podziwiać swe dzieło. Mija stacje Drogi Krzyżowej u stóp kościelnego wzgórza, ocienione pradawnymi lipami. Wczesnym latem gwarno tu od pszczół, które brzęczą, jakby przyleciały na jakiś własny odpust. Tym razem jednak panuje cisza, nic, tylko wiatr, i odległe głosy ludzkie z obejść i pól.

Najpierw ksiądz odwiedza cmentarz choleryczny, gdzie Jan Wnęk wzniósł swego czasu siedem kaplic Boleści Matki Boskiej. Była tam i ucieczka Świętej Rodziny do Egiptu, gdy pogańskie bałwany runęły, nie mogąc znieść obecności prawdziwego Boga,

↑↗ Maryja i Starzec Symeon, tym figurom prawdopodobnie Wnęk nadał rysy twarzy swojej żony Ludmiły i własne



i ofiarowanie, gdzie Wnęk nadał staremu Symeonowi własne rysy twarzy, i odnalezienie w świątyni dwunastoletniego Jezusa. Tej ostatniej scenie ksiądz przygląda się najdłużej, ale jego uwagę przykuwają nie uczeni w Piśmie ani nauczający młody Zbawiciel, tylko Maryja o strapionej twarzy Ludmiły Wnękowej. To troskę i znużenie widać na jej obliczu, a nie radość. Nie obchodzą jej oratorskie popisy i dywagacje, tych zapewne słyszy od swego błyskotliwego syna na co dzień zbyt wiele. Bo tak często jest, że zmęczeni życiem i ciężką pracą rodzice nie nadążają za swymi dziećmi.

Język jest mądrzejszy, niż wydaje się ludziom, a w określeniu „Matka Boża" pierwszym słowem jest „matka", a „Bóg" – dopiero drugim. A zatem najpierw człowiekowi, co ludzkie, a potem dopiero Bogu, co boskie. Wydaje się, że Wnękowa Maryja dobrze wie, co kryją kolejne kaplice. Jej „Bądź wola twoja" jest pełne rezygnacji, bo ostatecznie człowiek nie może Bogu powiedzieć nic innego. On przychodzi, kruszy bramy, zbiera, czego nie zasiał.

Ksiądz Morgenstern uważnie przygląda się tym myślom. Jest stary i już nie musi się ich bać. Dobrze wie, że tak myślą i żyją jego parafianie, i tak sprawy będą się miały *ad saecula saeculorum, amen**, czy się to komu podoba, czy nie. Kiedy idzie drogą, ludzie pozdrawiają go przyjaźnie, ale to dlatego, że lubią jego, a nie sam Kościół. I w karczmie będą szemrać przeciw pazerności, rozpuście i obłudzie innych kapłanów. Czy to dziedzictwo kalwinów, którzy swego czasu mieli swój zbór w Żabnie, czy też sięga ono czasów Braci Polskich, a może i dalej w głąb dziejów, do husyty Spytka z Melsztyna, legendarnego założyciela Odporyszowa – trudno orzec. Te heretyckie korzenie ginęły w mrokach niepamięci miejscowej ludności, lecz ukryta niechęć wobec Kościoła i części kościelnych nauk pulsowała we krwi. Jeszcze się Kościół natrudzi, jeśli będzie chciał ziemię tarnowską uczynić naprawdę swoją, a i tak nic przecież nie jest dane na zawsze. Morgensterna szanowano, bo był dobrym gospodarzem i życzliwie odnosił się do ludzi, jeśli jednak jego następcy zabraknie podobnych przymiotów – o, to będzie źle dla wszystkich.

Te problemy należały jednak do przyszłości, a dosyć ma dzień swojej biedy. I nie chodziło tylko o problemy zdrowotne księdza.

Morgenstern minął kaplicę św. Małgorzaty na zboczu po prawej stronie, stojącą w miejscu dawnego drewnianego kościoła pod tym samym wezwaniem. Do niej również Wnęk wykonał płaskorzeźby. Ale teraz ksiądz nie zaglądał do środka. Chciał jak najprędzej dotrzeć do domu na obrzeżach wsi i choć częściowo pozbyć się tego, co ciążyło mu na sercu.

1866

Kiedy Jan Wnęk rzeźbił w swojej pracowni świętych i aniołów, postacie niebieskie i ziemskie, nie wiedział, że kiedyś napiszą, że tworzył rzeźby z ducha gotyckie, bo napatrzył się na ołtarz

* *Na wieki wieków.*



Wita Stwosza. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że może są takie, bo zostały przez Wnęka dobrze obmodlone, a duch ciągnie do góry. Nie wiedział też, że w latach, które nadejdą, będzie na przemian zapominany i przypominany, ani że jacyś uczeni w sztuce zastanawiać się będą, czy był prawdziwym twórcą ludowym, czy nie, bo jego dzieła są zbyt doskonałe. Zupełnie jakby ludowość miała oznaczać wyłącznie frasobliwe świątki o brzydkich twarzach i zachwianych proporcjach. A gdyby nawet wiedział to wszystko, pewnie by się nie przejął. Miał ważniejsze sprawy na głowie.

Wkrótce po tym, jak Michałowi Sowińskiemu przyśniło się latanie, Wnęk zaczął obmyślać skrzydła – loty, jak je w myślach nazywał. Pomysł zmieniał się z czasem, lecz wreszcie dojrzał, a Wnęk wziął się do roboty.

↑ Maria Magdalena pod Krzyżem i Jezus modlący się w Ogrójcu



Budową i proporcjami miały przypominać skrzydła nietoperza: płócienne płachty rozpięte na stelażu z leciutkich listewek. Z początku planował deszczułki sosnowe, lecz przemodliwszy całą sprawę przed obliczem Matki Boskiej Odporyszowskiej, pozostał wierny lipie. Lipa nigdy go nie zawiodła, dobrze się dogadywali, była między nimi i przyjaźń, i przywiązanie. A gdy człowiek porzuca takie układy i idzie szukać nowości, wynika z tego tylko nieszczęście i rozczarowanie. Dlatego lipa.

Wkrótce skrzydeł nie dało się już ukrywać ani przed żoną, ani przed sąsiadami, ani w ogóle przed nikim. Niepomny na błagania Ludki i drwiny, pracował wytrwale nad swym dziełem. A gdy ten i ów powiadał, że ma pole kapusty i może je użyczyć do lądowania, Wnęk mówił ze spokojem:

– Dziękuję. Tak zrobię.

Jeden tylko Michał Sowiński zaciął się w sobie i milczał. Choć zawsze był mruk, to teraz zamilkł niemal na amen. A pomagając Janowi w warsztacie, nawet nie patrzył w stronę opartych o ścianę lotów.

↑ Jeden z lotów Ottona Lilienthala, prawdopodobnie z roku 1895

Loty, choć przypominały skrzydła nietoperza, miały działać tak jak bocianie: poruszać się powoli i majestatycznie, wychwytując niewidoczne prądy, tunele i zawirowania. Tak mówił ich twórca, choć nikt nie wierzył, że prawdziwie ma zamiar gdzieś na nich polecieć. Nie wierzono do ostatniej chwili, gdy po sumie w dniu Zesłania Ducha Świętego za pomocą przemyślnego układu bloczków, sznurków i desek wyciągnął Wnęk swe loty na szczyt przykościelnej dzwonnicy. Wieżę tę zresztą przed kilku laty pomagał był odbudować za pomocą konstrukcji własnego pomysłu, i to wtedy właśnie zaczęła się wielka przyjaźń między cieślą konstruktorem a proboszczem.

Nawet gdy Jan już stanął na szczycie wieży i jął przymierzać loty, z dołu wciąż dochodziły śmiechy i wesołe zawołania. Dopiero kiedy Wnęk przy wsparciu Sowińskiego przymocował je rzemieniami do nóg i ramion, gwar ucichł. Teraz słychać było wyłącznie łkanie Ludki, która do ostatniej chwili usiłowała ubłagać księdza, by ten przemówił jej mężowi do rozumu, bo na jej prośby pozostawał głuchy.



↑ Model skrzydeł Jana Wnęka

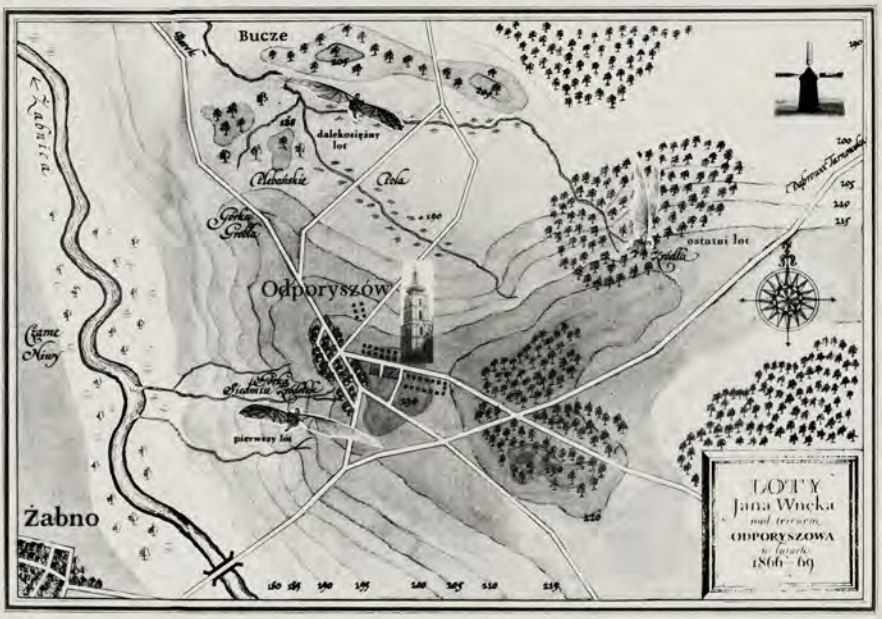
Ksiądz Morgenstern był przekonany o powodzeniu samozwańczego lotnika równie mocno jak on sam, jeśli nie bardziej. Tak mu się przynajmniej wydawało, póki nie ujrzał Wnęka na szczycie czterdziestopięciometrowej dzwonnicy wstępującego na specjalnie zbudowany podest. Wtedy nawet Morgenstern zwątpił i zakręciło mu się w głowie, choć sam stał przecież mocno i bezpiecznie na ziemi. Wiedział, że Wnęk spędził niemal całą poprzednią noc na modlitwie przed obrazem Matki Bożej, niczym kandydat na rycerza przed pasowaniem, lecz przecież Najświętsza Panienka nie wspiera przedsięwzięć samobójczych i po prostu głupich.

Sowiński zrzucił z wieży długi sznur konopny, rozszczepiający się z ich strony na trzy końcówki przymocowane teraz do rąk i pasa Wnęka. Drugi koniec uwiązano u łęku siodła konia, którego dosiadał Staszek Wnęk, synek Jana.

Dzień był jasny. Wiało. Jak to zawsze tutaj.

Na dany znak koń ruszył i przeszedł w gładki kłus. Jan Wnęk skoczył z wieży. Wiatr zaraz porwał go w objęcia, lecz dziwny lotnik trzymał się w powietrzu mocno niczym latawiec, z rzadka jedynie poruszając skrzydłami.

Leciał.





Z okrzykami niedowierzania cała zebrana pod kościołem gawiedź pognała za koniem, zadzierając głowy i przesłaniając oczy od słońca. Tłoczyli się, wpadali jeden na drugiego, kobiety płakały, dzieci skakały z uciechy. Ksiądz pomyślał, że ten przedziwny korowód za latającym człowiekiem mógłby znaleźć się na jakimś nieznanym obrazie z późnego średniowiecza.

Jan Wnęk wylądował poza wsią, w kierunku Żabna. W polu kapusty.

Latał potem jeszcze wielokrotnie, za każdym razem coś poprawiając przy swym cudownym wynalazku, i trwało to trzy lata. Miejscowi mówili, że fruka, i nawet z dziwaka stał się powodem do cichej dumy: w innych wsiach przecież nie było takich, co by latali. Latał, póki 10 czerwca 1869 roku nie spadł niespodziewanie na ziemię po przeleceniu zaledwie kilkuset metrów, nieopodal miejsca zwanego Źródłami. Konał aż do 10 sierpnia, pogruchotany i blady. Niemal nic nie mówił, a kiedy już, to z wielkim trudem. Potem powiadano, że większa część duszy uleciała z Wnęka już przy upadku.

↑ Strona tytułowa książki Aleksandra Minorskiego o Janie Wnęku *Ikar znad Dunajca*
← Mapa domniemanych lotów Jana Wnęka

Odszedł w najdalszą drogę pojednany z Panem i opatrzony sakramentami. Spowiadał się z trudem, gubiąc oddech, i ksiądz Morgenstern niewiele z tej spowiedzi mógł zrozumieć. Co zatem zostało tam prawdziwie powiedziane, to sprawa między Wnękiem a Bogiem. I nikomu nic do tego.

Kiedy go chowano, dęło tak, że niektórych żałobników prawie przewracało na ziemię, a byli i tacy, co musieli pełzać po ziemi jak czarne żuki. Piękne pożegnanie urządził Wnękowi wiatr.

1872

Gdy ksiądz Morgenstern dociera wreszcie do domu Michała Sowińskiego, ten siedzi na progu i rzeźbi kozikiem w kawałku drewna. Chałupa jak chałupa, i trzeba naprawdę bystrego oka, by spostrzec, że stary nie uprawia kapusty.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – odzywa się Stanisław pierwszy, bo uprzejmość nigdy nikomu nie szkodzi, zwłaszcza księżom.

– Na wieki wieków amen – mruczy Sowiński, odkładając robotę na bok.

Sowiński, podstarzały wdowiec, mieszka z synem, podstarzałym kawalerem. Obaj z dnia na dzień coraz głębiej osuwają się w milczącą ponurość jak w grząskie bagno. Obaj też noszą w sobie jakąś czarność i ksiądz nie lubi do nich przychodzić. Ale teraz musiał.

– Porozmawiać przyszedłem, Michale. O Janie Wnęku.

– To czemu ksiądz Wnękowej nie odwiedzi?

– Bo chciałem pomówić o sprawach, o których Wnękowa nie wie, ale ty może tak.

– Jeśli chodzi o sprawy, z których zwierza się kapłanowi na spowiedzi, ale milczy własnej żonie, to ksiądz przecież sam powinien lepiej wiedzieć. Ale Wnęk nigdy by za obcą nie poszedł. Ani jak był młody, ani jak był stary.

Ksiądz siada na ławce obok, choć Sowiński nie zapraszał.

– Mówią ludzie, że ty wiesz, co się wydarzyło na wieży tamtego dnia, kiedy Wnęk poleciał po raz ostatni.

– Żem mu pasy poluzował i dlatego spadł? To ksiądz słucha tego, co tam ludzie we wsi gadają?

– Jedna rzecz słuchać, druga rzecz dawać wiarę, a trzecia jeszcze w sercu rozsądzać i rozważać.

Sowiński duma i milczy tak długo, aż Morgenstern traci nadzieję, że cokolwiek usłyszy.

– Wiało tamtego dnia okrutnie – mówi wreszcie stary. – Nie leć, mówiłem mu. Chmury takie szły dziwne i powietrze się szkliło. Wiry się wtedy robią w powietrzu, a jak są wiry, to wiadomo, że diabeł się żeni i stu płanetników za drużbów bierze. Ale Wnęk zaśmiał się jeno, i fruknął z wieży. Tak to go zaproszono na diable wesele.

– Michale, ty wiesz, że żadnych płanetników nie ma.

– To co mnie ksiądz nagabuje? Jam już na świętej spowiedzi wyznał, com miał wyznać.

– Spowiedzi słucha Bóg, nie ksiądz. Ja zaraz zapomniałem, ledwo ci zadałem pokutę.

– A ja pokutę odprawiłem i też już zapomniałem. – Sowiński spogląda na kapłana hardo. – I może płanetników nie ma w taki sposób, w jaki jest ksiądz i ja, i krowa, i chałupa, i gumno. Ale są na sposób Świętych Pańskich i aniołów. Tamtego dnia w powietrznym wirze ujrzał więc Wnęk aniołów, a ja – płanetników. No i na moje wyszło. Skrzydła mieli czarniejsze od nocy listopadowej. A tak w ogóle, to ksiądz go przecież do tych lotów nakłaniał. Jakby zaś Wnęk nie latał, toby żył.

I wie już Morgenstern, że nic więcej od Sowińskiego nie wyciągnie. Odchodzi z brzemieniem cięższym niż przyszedł, bo zamiast zdjąć mu ciężar z serca i ramion – jeszcze mu dołożono. Nie po raz pierwszy przekonuje się, że to właśnie znaczy być księdzem.

Pacjentki przed budynkiem swojego oddziału – pawilonu IIB, ok. 1918



Z DRUGIEJ STRONY DNIA

Zespół szpitalno-parkowy w Krakowie-Kobierzynie

Wszystko, co istnieje, ma świadomość.
Wszystko, co żyje, ma dodatkowo Piękną Duszę.
Waldemar Gawron

Marta lubiła ten moment, gdy w mieszkaniu robiło się cicho. Matka spała już u siebie. Zza okna dochodził szum miasta, światła samochodów przesuwały się po suficie, rzucając nań ostry kontur drzew rosnących na skwerze przed kamienicą.

Potem przychodziła muzyka. Pojawiała się tuż za oczami, w tym bezpiecznym, ukrytym miejscu, o którym każdy człowiek myśli: to jestem ja. I natychmiast zaczynała się rozrastać, wypuszczać gałęzie, pnącza i liście, drżące i kołyszące się do dziwnej melodii o rytmie zmiennym jak bicie serca. Brzmiały w niej głosy, ludzkie-nieludzkie, jak z kosmosu albo z japońskiego filmu. Muzyka rodziła się w głowie, ale Marta czuła, jak w ciągu kilku chwil rozprzestrzenia się po całym jej ciele, jak tętni w naczyniach krwionośnych aż po najmniejszą kapilarę, jak szarpie za nerwy tak, że aż boli. Ale to dobry ból. Słuchanie pięknej muzyki zawsze boli, i jest to jedno z najcudowniejszych uczuć, jakich może doświadczyć człowiek.

Nie, pomyślała. Nie słuchanie, ale bycie muzyką. Bo też ta muzyka nie potrzebowała żadnych innych instrumentów oprócz jej ciała i wyobraźni.

Melodia miała kształt, barwę i wygląd, i reagowała na najlżejszy dotyk myśli Marty. Nieistniejące kształty przychodziły i odpływały albo przeradzały się w inne, coraz bardziej niesamowite formy, by wreszcie rozprysnąć się jak bańki mydlane, pozostawiając w ustach posmak soli, a na skórze uczucie wilgotnego chłodu.

– Trzeba będzie uszczelnić to okno. Wieje z niego tak, że czasem nawet u siebie czuję – powiedziała rankiem matka i zgarbiła się nad kubkiem kawy.

Czyli znów jakieś wydatki. I ciągła niepewność, czy warto ten wydatek w ogóle ponosić. No bo co będzie, jeśli znów podniosą czynsz i nie da się dłużej mieszkać tam, gdzie przeżyło się pół życia, gdzie wychowało się dziecko i wypłakało kilka litrów łez. Przy sąsiedniej ulicy tak przecież podnieśli, i nikogo nie obchodziło, kto jaki ułamek życia, kto ile dzieci i kto ile łez.

→ Projekt urządzenia parku i sadu przy Krajowym Zakładzie dla Umysłowo i Nerwowo Chorych w Kobierzynie, proj. W. Zachowski, 1909

– Ja lubię, jak jest chłodniej – zapewniła wtedy Marta.

Nie wiedziała, czy kłamie czy mówi prawdę, bo przecież człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego, nawet do tego, że zimno i że wieje. A jeśli marzła zbyt mocno, mogła nakryć się kocem, założyć skarpety, a przede wszystkim uczynić swoją muzykę ciepłą i czerwoną w dotyku.

W szpitalu było jej za ciepło. Ale do tego również można się przyzwyczaić.

***

Do Szpitala Klinicznego im. dr. Józefa Babińskiego w krakowskim Kobierzynie trafiła jesienią tego roku, kiedy z miasta znikły gawrony. Tak, naprawdę był taki rok. Marta nie miała pojęcia, co się mogło wydarzyć. Od zawsze mieszkała w ścisłym centrum Krakowa i śpiewem ptaków, który budził ją co rano, było zwykle krakanie, guganie, gruchanie i skrzeczenie. Aż tu nagle nastała cisza.





Tak, oczywiście, to dziwnie brzmi, jeśli mówić o mieście, bo w mieście nie ma czegoś takiego jak cisza. Jeżdżą samochody, przez stary wiadukt przy Hali Targowej z hurgotem przewalają się pociągi, z ulicy Łazarza nieustannie wyjeżdżają karetki na sygnale, a nocami pod kamienicą hałasują ludzie, tacy ludzie, których Marta się boi. I gdyby ucichł dowolny z tych dźwięków, z pewnością czułaby się lepiej. Co jednak mogło przepłoszyć wszystkie większe ptaki? Przecież codziennie sunęły wielkim rozkrzyczanym stadem ku zakolu Wisły, gdzie na smukłych topolach szykowały się do snu, wymieniając rozmaite ptasie wieści. Gawrony, kawki, wrony siwe. Wszystkie dokądś odeszły.

Gdy jednak Marta próbowała z kimś o tym rozmawiać – w pracy, na uczelni, z matką w domu – zauważała ze zdumieniem, że nikogo to nie obchodzi.

– Rzeczywiście, jakby mniej tych wron. – Ania, z którą Marta przez trzy dni w tygodniu pracowała w pierogarni, wzruszyła ramionami, co oznaczało koniec dyskusji. Temat ptaków nie interesował jej zupełnie, podobnie jak żaden inny poruszany przez Martę, a Marta wiedziała, że Ania uważa ją za wariatkę.

↑ Pawilony VIIB i VIIA – klasowe, po prawej szyny kolejki rozwożącej posiłki, 1927



Zastanawiała się też, czy któregoś dnia z Krakowa w podobny sposób znikną wszyscy ludzie. I wtedy to przyroda niczego nie zauważy. Pewnego dnia na Plantach kos powie do kwiczoła:

– Wiesz, wydaje mi się, że ostatnio jakoś nie widuję ludzi. Taka dziwna cisza panuje.

A kwiczoł podrzuci kilka zeschłych liści i powie:

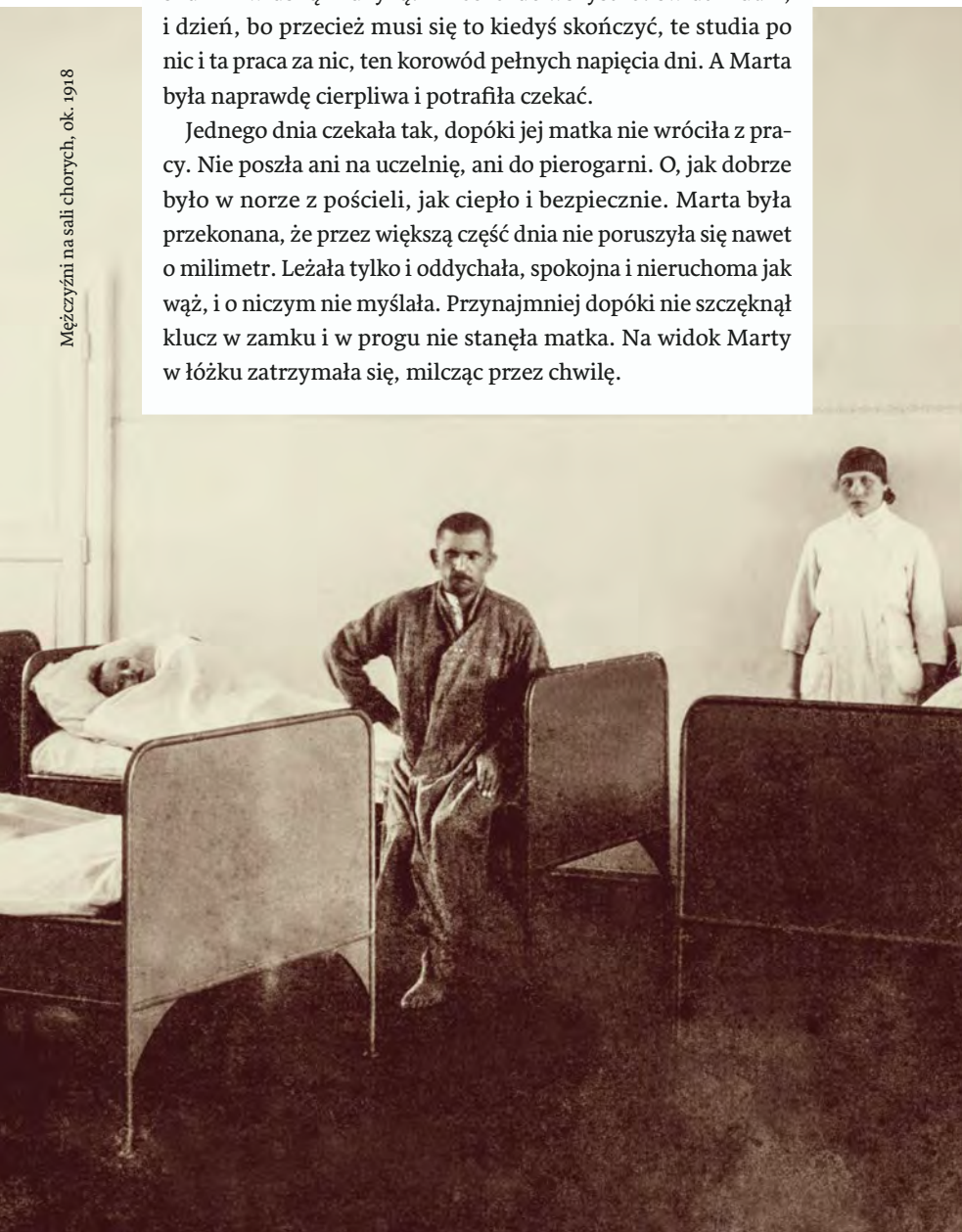
– Rzeczywiście jakby ich mniej. Ale co mnie to obchodzi. Ważne, że nie zabrakło robaków.

Tak będzie. Ale Marta już z nikim nie odważyła się o tym rozmawiać. Z obawy przed ośmieszeniem. A także dlatego, że często chciałaby, aby ludzie rzeczywiście zniknęli. Nie żeby stała im się jakaś krzywda, co to, to nie, ale żeby na jakiś czas zanieistnieli. Mogłaby wtedy chodzić ulicami Krakowa całkiem sama i robić wszystko to, na co nigdy by się nie odważyła przygnieciona ciężarem spojrzeń znajomych i obcych. Na przykład mogłaby śpiewać. Albo tańczyć. Tego przecież domagała się muzyka w jej wnętrzu, a Marta wiedziała, że potrafiłaby śpiewać i tańczyć bardzo pięknie, mimo że nigdy nie uczyła się ani jednego, ani drugiego. Byle tylko nikt nie patrzył. To znaczy, żaden człowiek.

↑ Pawilon IIB – nazywany pawilonem kobiecym przypadków gwałtownych, 1927

Ludzie jednak ani myśleli znikać i na ulicach ciągle panował ruch jak w mrowisku, nocami zaś Marta bała się wychodzić z domu. Zaczęła więc opuszczać mieszkanie tylko wtedy, gdy bezwzględnie musiała, i udawała się jedynie w dobrze znane miejsca. Najchętniej w ogóle nie wychodziłaby z domu. Skryć się pod kołdrą i wsłuchiwać we własny oddech. Przeżyć każdy kolejny dzień z tą tylko myślą, że wieczorem będzie można zanurzyć się w pościel pachnącą własnymi włosami, własnymi snami i własną muzyką. Przeczekać wszystko: świat i ludzi, i dzień, bo przecież musi się to kiedyś skończyć, te studia po nic i ta praca za nic, ten korowód pełnych napięcia dni. A Marta była naprawdę cierpliwa i potrafiła czekać.

Jednego dnia czekała tak, dopóki jej matka nie wróciła z pracy. Nie poszła ani na uczelnię, ani do pierogarni. O, jak dobrze było w norze z pościeli, jak ciepło i bezpiecznie. Marta była przekonana, że przez większą część dnia nie poruszyła się nawet o milimetr. Leżała tylko i oddychała, spokojna i nieruchoma jak wąż, i o niczym nie myślała. Przynajmniej dopóki nie szczęknął klucz w zamku i w progu nie stanęła matka. Na widok Marty w łóżku zatrzymała się, milcząc przez chwilę.



Mężczyźni na sali chorych, ok. 1918

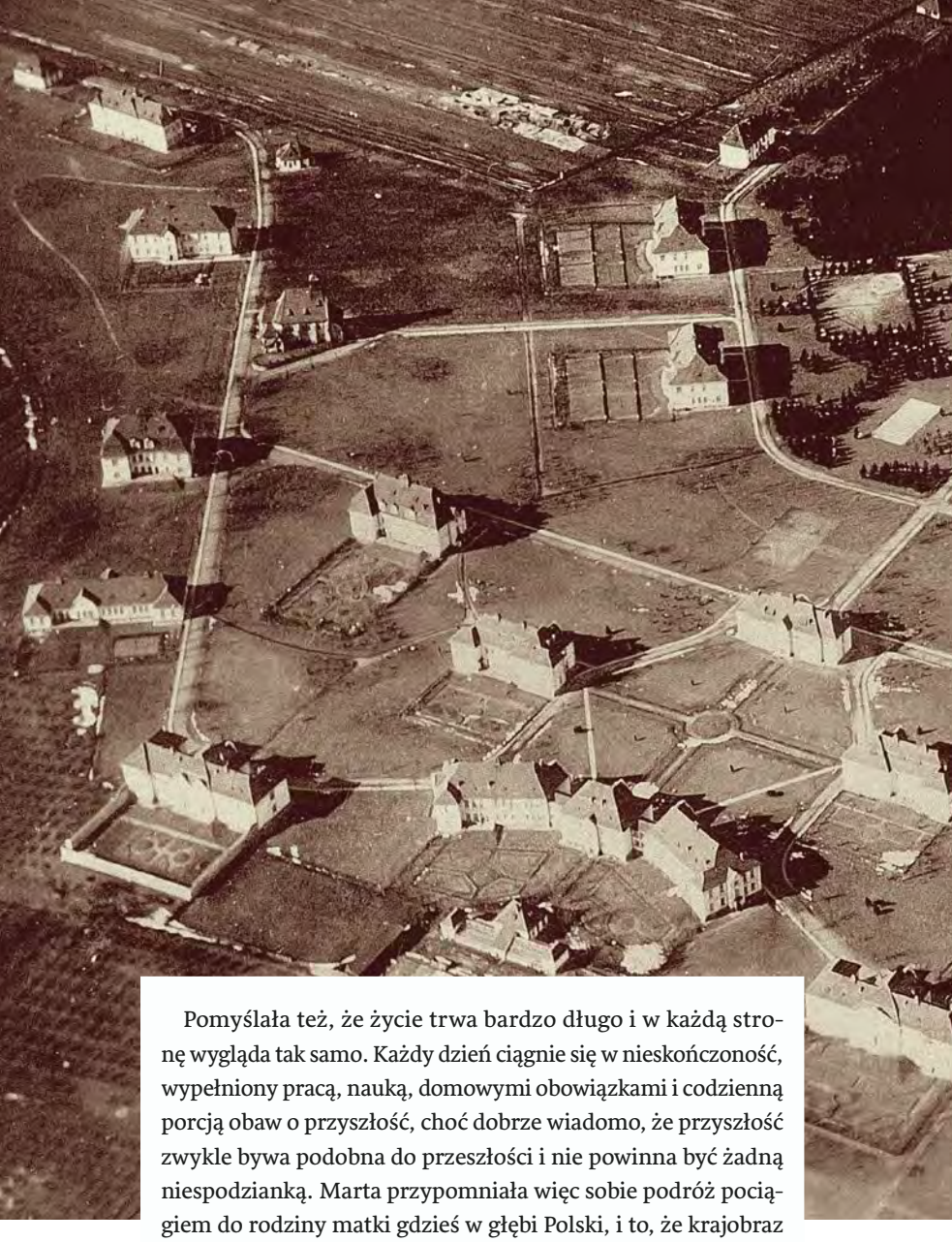
– Jesteś chora? – zapytała, lecz dziewczyna nie miała nawet siły odpowiedzieć.

Matka zmusiła jednak Martę, by się umyła i obiecała, że następnego dnia zadzwoni do przychodni i umówi się na wizytę, może lekarz wypisze jej zwolnienie albo jakieś inne zaświadczenie dla pracodawcy.

Marta nawet nie próbowała tłumaczyć, że jej umowa nie przewiduje takich rzeczy jak chorowanie, bo to przecież nie była prawdziwa umowa o pracę, tylko śmieciówka, jak zwykle.

Wieczorem Marta uważnie przyjrzała się swojemu życiu. Nie zapalała światła, bo niektóre rzeczy lepiej widać po ciemku. Oglądała to życie ze wszystkich stron, jak interesującego owada albo inny okaz przyrodniczy. Marcie spodobała się ta myśl: tak jak wiele drobnych istot, było ono szare i przebywało w pozbawionych słońca zakamarkach, niewiele osób w ogóle wiedziało o jego istnieniu. Aby dostrzec w nim jakieś piękno i harmonię, potrzeba było specjalistycznej wiedzy, odpowiednio ogniskujących soczewek i długotrwałej obserwacji. Większość osób, które Marta spotykała na swojej drodze, nie miała żadnej z tych rzeczy, ale nigdy ich za to nie winiła.





Pomyślała też, że życie trwa bardzo długo i w każdą stronę wygląda tak samo. Każdy dzień ciągnie się w nieskończoność, wypełniony pracą, nauką, domowymi obowiązkami i codzienną porcją obaw o przyszłość, choć dobrze wiadomo, że przyszłość zwykle bywa podobna do przeszłości i nie powinna być żadną niespodzianką. Marta przypomniała więc sobie podróż pociągiem do rodziny matki gdzieś w głębi Polski, i to, że krajobraz wyglądał tak: miasteczko, pole, łąka, las, miasteczko, pole, łąka, las i tak w nieskończoność. Świat wszędzie wyglądał jak zbudowany z tych samych elementów. Z tego więzienia pod szarym niebem nie było ucieczki, ciągnęło się bez kresu, poza widnokrąg ukrywający nowe miasteczka i nowe pola, i nowe łąki, i nowe lasy, a wszystkie dokładnie takie same jak te, które Marta właśnie mijała. Gdy pociąg zatrzymał się w jednym z identycznych



miasteczek, matka powiedziała, że to tutaj i trzeba wysiadać. Marta uwierzyła jej na słowo, choć równie dobrze mogły wysiąść gdziekolwiek i pójść do kogokolwiek, kto zgodziłby się być jej odległą ciotką i odległym wujem, rodziną widzianą po raz pierwszy w życiu i prawdopodobnie ostatni.

Takie było to życie: małe, szare i w każdą stronę jednakowe. Nie miało więc znaczenia, dokąd się pójdzie i czy w ogóle można w nim dojść dokądkolwiek.

– Musisz coś zrobić ze swoim życiem – powiedziała matka głosem pełnym surowej czułości, widząc, że Marta leży po ciemku z oczami wbitymi w sufit.

I Marta zrobiła. Postanowiła wysiąść z pociągu.

Jeszcze tej samej nocy ambulans zawiózł ją do szpitala w Kobierzynie po tym, jak najadła się leków matki.

↑ Założenie szpitalne z lotu ptaka, zdjęcie wykonano z balonu Armii C.K., pokazuje uproszczony stan w stosunku do zaprojektowanej kompozycji, ok. 1917

***

Nie mogła sobie przypomnieć pierwszych chwil w szpitalu ani wrażenia, jakie na niej zrobił. Albo inaczej: pamiętała, ale tak, jak pamięta się sen. Wiedziała, że gdy w jej mieszkaniu zjawiło się pogotowie i ratownicy znieśli ją po schodach, zarzuciła sobie na głowę kurtkę, aby nikt jej nie rozpoznał. Wydawało jej się to wtedy bardzo logiczne. I z pewnością nie założono jej kaftana bezpieczeństwa, jak potem rozpowiadała ta stara łupa z pierwszego piętra. Za to w ambulansie kuliła się jak mogła, nie chciała, żeby ktoś ją zobaczył. Choć panował ciemny przedświt, a ulice były niemal puste, to i tak wydawało jej się, że na pewno dojrzy ją ktoś znajomy. Na przykład Ania z pierogarni. I wszyscy domyślą się, dokąd ją wiozą.

W karetce siedziała, bo gdy tylko się kładła, ogarniały ją nudności i miała wrażenie, że się dusi. Matka leczyła się na serce i nadciśnienie. I teraz to serce Marty tańczyło jak w przedziwnym balecie, raz tętniąc aż w gardle, a raz niemal zamierając. Musiała dotykać piersi i sprawdzać, czy nadal bije. Podobno po siedmiu sekundach od zatrzymania akcji serca człowiek traci przytomność; tak twierdziła jedna dziewczyna z roku Marty, która przez pewien czas studiowała medycynę. Marta za każdym razem liczyła więc do siedmiu, niemal nie oddychając. Nie wiadomo,



czego chciała bardziej: czy tego, żeby zaraz wszystko pochłonęła ciemność, najmilsza kołdra, pochłonęła na zawsze; czy tego, żeby serce jednak odezwało się w jej piersi wystarczająco głośno, by na nowo odzyskała pewność, że ono tam jest i tłoczy życie.

Jechała, a miasto było żółtymi światłami migającymi w ciemności. Karetka minęła jakąś bramę, a zaraz potem Martę zalał złoty blask. Rozległy się głosy, zadawały jej pytania; pomyślała, że może rzeczywiście umarła, a teraz jest sądzona przez zaświatowe moce.

Nie chciała dotykać tych wspomnień. Teraz szpital wydawał się miejscem jasnym i bezpiecznym. Zdążyła już się wynurzyć z chmury polekowego otępienia. Dziś razem z innymi pacjentami szła przez szpitalny park, szurając zbrązowiałymi liśćmi, jakby znów była małą dziewczynką. Dzień był pogodny, choć chłodny, jesień chyliła się już ku końcowi. Stuletnie budynki tchnęły spokojem. Cechował je ten rodzaj elegancji, którego trudno szukać w nowym budownictwie. Marcie podobały się zwłaszcza dachy izby przyjęć, budynku dyrekcji i teatru, skupione wokół ronda z jesiennymi kwiatami i balansującymi rzeźbami. Dachy te miały w sobie coś lekkiego i ptasiego, aż wydawało się, że lada chwila zatrzepoczą niczym skrzydła, a wszystkie budynki wzniosą się w powietrze.

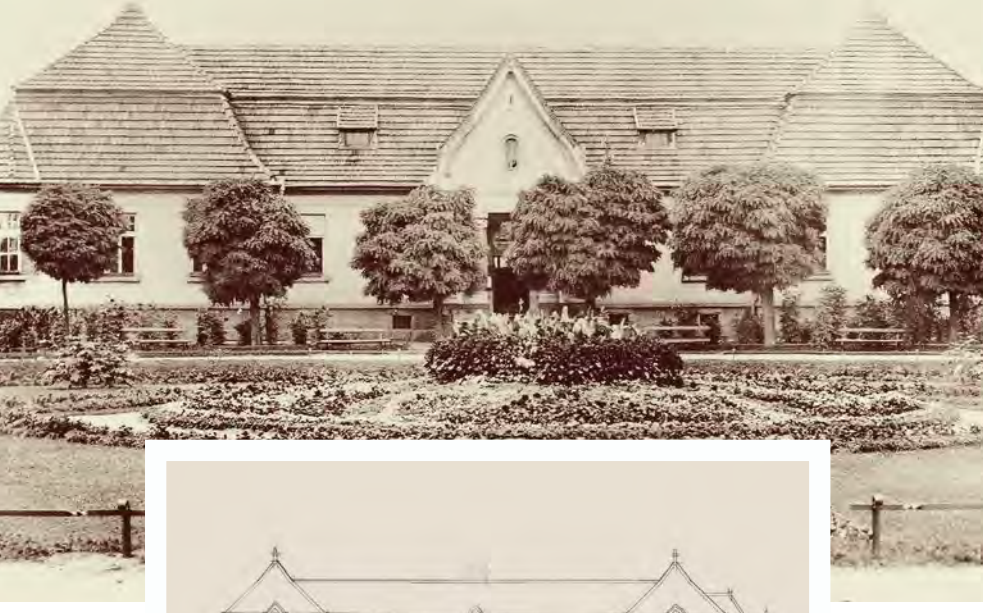
Minęli oddział leczenia uzależnień. Marcin, którego znała z arteterapii, pomachał jej przez okno. Odmachała, ale zaraz jej uwagę zwrócił terapeuta Franek, który swego czasu bardzo Marcie pomógł i spędzał z nią długie godziny. Teraz buszował wśród liści. Ujrzawszy zbliżających się pacjentów, spojrzał na nich z zaciekawieniem, ale zaraz podreptał w stronę kawiarenki „Dezynfektor", gdzie często udawało mu się wyżebrać coś od gości.

Franek był, rzecz jasna, szpitalnym kotem.

Gdy Marta wróciła pod teatr, drzwi były otwarte. Pracownicy wnosili do środka obrazy pacjentów – pokłosie warsztatów artystycznych. We wnoszeniu pomagał pan Maciej Bóbr, rzecznik szpitala, ale i historyk sztuki, szczerze zainteresowany twórczą pracą pacjentów.

– Co słychać, pani Marto? – zagaił pogodnie, zapalając papierosa.

← Personel szpitalny, ok. 1930





Marta wzruszyła ramionami, choć przecież zrobiło jej się miło, że ktoś pamięta, jak ma na imię. Pan Maciej znał imiona chyba wszystkich pacjentów i z każdym chętnie zamieniał parę słów.

– Nic nie słychać – odparła nieco zbyt szorstko. – Ptaków nie ma. Nawet gawronów.

Pan Bóbr podniósł oczy, przepatrzył korony najbliższych drzew, niemal nagie, jeśli nie liczyć resztek liści i kul jemioły. Rzeczywiście, nie było ptaków, ale najwyraźniej nie miał na to żadnej odpowiedzi. Zamiast tego zapytał:

– Przyjdzie pani na wystawę?

– Jak znajdę czas – odparła, mając świadomość, jak bardzo niepoważnie to brzmi. Czego jak czego, ale czasu jej nie brakowało. Mogła całymi godzinami przesypywać go między palcami i przyglądać się, jak znika chwila za chwilą.

↑ Budynek XIV – administracja i izba przyjęć, przed nim centralne rondo z zieleńcem, ok. 1930
↑ Projekt architektoniczny budynku administracji, ok. 1909

To nie tak, że Marcie było w szpitalu szczególnie źle. Nuda w jej dorosłym życiu była zjawiskiem całkiem nowym i, prawdę mówiąc, przyjemnym. A pobyt w szpitalu dostarczał jej w rozsądnych dawkach, jakby była kolejnym starannie dozowanym lekarstwem. Stały rytm posiłków i zajęć, regularne godziny snu, brak konieczności gnania z uczelni do pracy i z pracy po sprawunki, brak kołaczącego się po głowie przeświadczenia, że nie ma czasu na sen, a więc należy spać szybko i intensywnie – to wszystko były rzeczy dobre i pożądane, nadające pobytowi w szpitalu jakąś klasztorną rutynę. Marta czuła się jak otulona kłębem ciepłej i miłej w dotyku waty. Świadomość, że z pewnością wyrzucono ją z pracy, napawała Martę spokojną ulgą. Żadna z osób, z którymi pracowała albo studiowała, nie zadzwoniła ani nawet nie napisała esemesa czy wiadomości na Messengerze, co Marta również przyjęła z ulgą, bo nie musiała odpowiadać na przepełnione nieszczerą troską pytania. Co do studiów, to z nich o wiele trudniej wylecieć niż z pracy, trzeba się trochę postarać. Jeśli zaś idzie o matkę, to odwiedzała Martę stosunkowo często. Siedziały wtedy razem przez godzinę, niewiele się do siebie odzywając. To Marcie zupełnie wystarczało. Obywało się bez wyrzutów i wzajemnego obwiniania się. Natrętne myśli również ustąpiły.



Personel i pacjenci przed jednym z budynków szpitalnych, 1937 →

Pacjentki w ramach zajęć terapeutycznych drą pierze, międzywojnie





Nie, chodziło o coś zupełnie innego.

W szpitalu Martę przestała nawiedzać muzyka.

Oczywiście zdarzało się już wcześniej, że nie chciała przychodzić. To nie była oswojona muzyka i nie zawsze pojawiała się na zawołanie. Ale nawet wtedy Marta czuła jej obecność gdzieś w sobie. A teraz umilkła, jakby jej nigdy nie było. Marta dawniej lubiła zasypiać, kołysana przez nią do snu. Teraz zaś wieczorami często przewracała się z boku na bok na skrzypiącym szpitalnym łóżku, wsłuchując się w gniewne posykiwanie innych pacjentek, tak jak ona niemogących zasnąć. Po dwudziestej drugiej można było poprosić o tabletkę nasenną, lecz sen, który po niej przychodził, był ciężki i pozbawiony marzeń. I choć czuła się lepiej, i fizycznie, i psychicznie, i duchowo, to nie mogła pozbyć się wrażenia, że w głowie ma tłuczone szkło.

Całe szczęście, szpital znajdował się w starym parku. Marta najpierw obserwowała go z okna. Potem, gdy minął kryzys, pozwolono jej na spacery. Szczególnie lubiła klomb przed teatrem. Nawet teraz, późną jesienią, sprawiał pogodne wrażenie, kołysały się na nim zamyślone wiechcie traw. Pan Bóbr opowiadał jej niedawno, że ten klomb stojący w jednej linii z przypominającym dworek budynkiem izby przyjęć i kaplicą miały tworzyć oś nadziei dla przybywających do szpitala. Taki był zamysł architektów sprzed wieku, między innymi Władysława Klimczaka,

↑ Kaplica szpitalna, lata 30. XX w.
→ Kaplica szpitalna – widoczny ołtarz i freski aut. J. Bukowskiego namalowane w 1925 r.

ucznia Teodora Talowskiego, a sam kompleks szpitalny miał wpisywać się w modną wówczas koncepcję miasta ogrodu. Marta pomyślała, że obecnie panuje moda eleganckiej szpetoty, a nowe części Krakowa trudno przyrównać do ogrodu, prędzej do klatki. Niedawno rozważano przeniesienie szpitala do jakiegoś nowszego budynku. Wyobraziła sobie, że mogłoby to być właśnie coś w rodzaju nowoczesnego osiedla, gdzie sąsiedzi zaglądają sobie nawzajem w okna, nikogo nie interesuje, jak budynek jest zorientowany względem stron świata, a zamiast parku czy jakiejkolwiek prawdziwej zieleni jest kostka brukowa, grządki wysypane żwirem i otoczone betonem, na nich jakieś półpustynne chabazie i drzewa, które i tak uschną w ciągu pięciu lat. Pacjenci siedzieliby w maleńkich pokoikach jak szpaki w budkach, albo jak kury nioski. Na szczęście pomysł ten odrzucono, przynajmniej na razie.



Szpitale psychiatryczne nazywano dawniej azylami, a Marcie podobało się to słowo. Szpital w Kobierzynie z pewnością wyglądał jak azyl. Co do osi nadziei i wrażenia, jakie miała wywierać na nowych pacjentach, to trudno jej było cokolwiek powiedzieć. Przyjechała tu przecież o najciemniejszej godzinie nocy. Nie przypuszczała, by widok dworku czy kościoła podziałał na nią szczególnie kojąco, choć kwiaty zapewne byłyby miłe. Zwłaszcza żywe, wciąż rosnące na rabatkach.

Pracownicy dalej krzątali się przy teatrze, postanowiła więc zajrzeć do środka. Teatr, stary budynek po południowej stronie klombu, najbardziej spośród wszystkich budynków przypominał Marcie gołębia. Nikomu, rzecz jasna, Marta nie zwierzała się ze swych ptasich skojarzeń, tak jak nikomu nie opowiadała o muzyce. Nawet lekarzom.

Wzięliby mnie za wariatkę, pomyślała, śmiejąc się w duchu.

Zajrzała do środka. Wnętrze teatru przyjemnie pachniało starością i trochę przypominało kościół. Kilku mężczyzn razem z panem Bobrem siłowało się z metalowymi stelażami, na których miały zawisnąć dzieła pacjentów. To były bardzo różne obrazy, namalowane przez tych, co mieli artystyczne zdolności, a niekiedy też kierunkowe wykształcenie, ale i przez tych, co malowali jak dzieci. Z pewnością znalazłaby się tam jakaś martwa natura Marty, brała udział w warsztatach z terapii zajęciowej, choć bez szczególnego przekonania. Uważała, że jest plastycznym antytalentem i, szczerze powiedziawszy, było w tym trochę prawdy. Kiedyś wolałaby warsztaty muzyczne, bo takie również były organizowane przez szpital, lecz odkąd opuściła ją własna muzyka, nie była w stanie słuchać żadnej innej. To już lepiej malować gruszki, butelki i cięte kwiaty.

Na ścianach wisiały obrazy, dzieła dawnych i obecnych pacjentów szpitala. Władysław Wałęga, Renata Bujak, Maria Wnęk – znała te nazwiska z opowieści pana Macieja. Lecz to nie ich wirujące kolory spoza świata przykuły jej uwagę. W głębi, po lewej stronie, stała szopka krakowska. Wielobarwna i wysoka, z trzema wieżami, z których dwie boczne były po gotycku strzeliste, a środkowa mocna, szeroka i o cebulastym dachu. Z pewnością były to jakieś krakowskie akcenty architektoniczne, lecz Marta ich nie rozpoznawała, zresztą nie bardzo jej na tym zależało.





Na najniższym piętrze kłębiły się postacie przedziwne, jak na średniowiecznym malowidle, choć zbudowana z deseczek tylna ściana i ogólny wystrój przywodziły na myśl chłopską chatę, wysprzątaną i zamiecioną na niedzielę. Wyżej Święta Rodzina przyjmowała hołd Trzech Króli, a na najwyższym piętrze, na balkonie z balustradą w gołębim kolorze, czuwało troje aniołów.

↑ Budynek XV – Dom zabaw, inaczej nazywany teatrem, lata 30. XX w.
↑ Projekt architektoniczny Domu zabaw, ok. 1909



– Znaleźliśmy ją przypadkiem – powiedział Maciej Bóbr, widząc zainteresowanie Marty. – Przeleżała w ukryciu wiele lat. Pochodzi najpewniej z 1930 roku, ale niewiele o niej wiemy. Służyła kiedyś pacjentom i personelowi do wystawiania jasełek. Po drugiej wojnie światowej leżała schowana głęboko w składziku. W tamtych czasach szopki i jasełka nie były mile widziane w państwowych instytucjach, czekała więc cierpliwie na swój dzień. Ale i po osiemdziesiątym dziewiątym roku nie za bardzo o nią dbano. Dopiero ostatnio została odnowiona i odmalowana, a pacjenci wykonali do niej nowe figurki. Stare zaginęły dawno temu. – Pan Bóbr przyjrzał się szopce uważnie i z wyraźną czułością, po czym dodał jakby do siebie: – Jej losy trochę przypominają losy Polski.



Marta trwała zapatrzona, nie wiedząc, czy to wszystko jak z Polską, czy nie jak z Polską. Zawsze miała wystarczająco problemów sama z sobą, ze swoim życiem i swoim ciałem, żeby jeszcze interesować się życiem i ciałem Polski.

Pan Maciej włączył światło w szopce i natychmiast liczne okienka z witrażami rozjarzyły się ciepłym blaskiem. Rozetki, kwiaty, wschodzące słońca – wszystko, co tylko było na maleńkich szybach, zdawało się teraz jaśnieć z niezwykłą mocą. Marta wpatrywała się w szopkę i jej jasność jakby była kimś, kto przedziera się przez ciemną zimową noc i nagle dostrzega w oddali światła w oknach swojego domu. Wydawało się, że nawet potłuczone szkło w jej głowie odbija to światło i rozprasza je we wszystkie kolory tęczy.

↑ Jasełka w wykonaniu pacjentów szpitala w Kobierzynie, 1927



Coś od dawna niedoświadczanego wezbrało w Marcie, jakieś pomieszanie dziecięcej radości z poczuciem bezpieczeństwa. To bowiem znaczy być dzieckiem: być otoczonym troską i odgrodzonym blaskiem od całej zimnej ciemności na zewnątrz.

Od tej pory Marta przychodziła kontemplować szopkę tak często, jak tylko jej na to pozwalano. Wyobrażała sobie, jak by to było znaleźć się w jej wnętrzu. Jakie pokoje, jasne i przytulne, mogą znajdować się za kolorowymi szybkami? Jak wyglądają niewidoczne korytarze i kręte schody? Miała nawet upatrzone miejsce, gdzie mogłaby mieszkać, gdyby była maleńka albo gdyby szopka była odpowiednio wielka, co przecież na jedno wychodzi. Żyłaby wtedy w prawej wieży, na wysokości balkonu i nieco poniżej zegara, tam, gdzie na okiennych witrażach widnieją na przemian kwiaty o płatkach czerwonych i złotych.

↑ Szopka kobierzyńska i jej twórcy, lata 30. XX w.

Żyłaby tam sobie, nie chcąc niczego od nikogo, a wejścia do pokoiku strzegłby anioł.

Marta czuła wówczas, że szkło w jej głowie się porządkuje. Nadal tam było, ale już nie jako potłuczone odłamki, o które łatwo się pokaleczyć. Teraz bardziej przypominało kosztowny żyrandol z kryształów, jak w teatrze albo w domu ludzi, którzy mają za dużo pieniędzy. Każdy fragment na swoim miejscu i tak oszlifowany, aby móc jak najwspanialej odbijać i rozszczepiać światło. Przy najlżejszym poruszeniu głową kryształy lekko dzwoniły, ale było to przyjemne dzwonienie. Kojarzyło się z sypiącym śniegiem i młodą zimą.

Podobno kiedyś był w kobierzyńskim szpitalu poeta i wizjoner, Waldemar Gawron, który nazywał pacjentów ludźmi z drugiej strony dnia i twierdził, że wszystko, co jest, ma świadomość, a to, co żyje, obdarzone jest piękną duszą. I Marta była święcie przekonana, że szopka z pewnością ma jakiś rodzaj duszy.

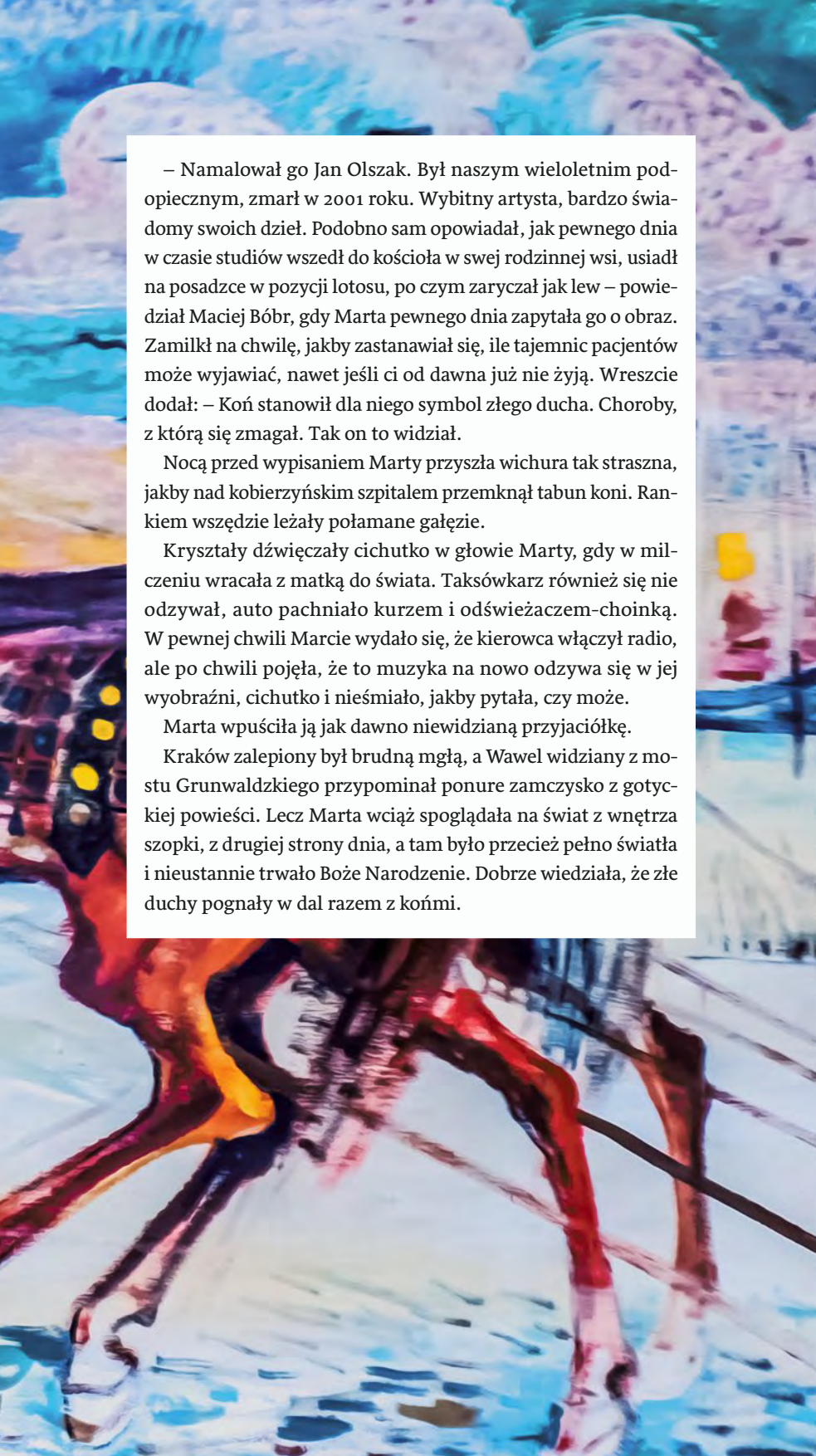
***

Dopiero po wielu dniach Marta zaczęła uważniej przyglądać się obrazom. Swoich własnych martwych natur starała się w ogóle nie dostrzegać, mimo że pacjenci szpitala często podchodzili do swoich dzieł z czułością, jakby były żywymi istotami, które kocha się takimi, jakimi są, wybaczając wszystkie niedoskonałości. To jednak nie na obrazy z warsztatów zwróciła największą uwagę.

Pierwsze, co zauważyła, to ruch. Bo też ruch stanowił treść obrazu, taki ruch, który czynił wszystko dookoła nieruchomym. Nieruchome było zjesienniałe pole, i cała reszta teatru, i sama Marta. Ruch zaś miał postać konia, bardzo dziwnego konia. Marta niezbyt dobrze znała się na zwierzęcej anatomii, lecz nawet jej koń z obrazu wydawał się zbyt szczupły i wyciągnięty, jakby smoczy, a przy tym nienaturalnie wyprężony. Czuło się trawiący go wewnętrzny ogień. Zdawało się, że zwierzę wyrwie się z obrazu i pogalopuje przez świat, uciekając przed tym, przed czym uciec się nie da, bo niesie to wewnątrz siebie. I gdziekolwiek by poszedł, ten ogień pójdzie za nim, jak ból albo jak paląca zgaga, tylko o wiele gorsza, była to bowiem zgaga duszy.



Koń, obraz Jana Olszaka



– Namalował go Jan Olszak. Był naszym wieloletnim podopiecznym, zmarł w 2001 roku. Wybitny artysta, bardzo świadomy swoich dzieł. Podobno sam opowiadał, jak pewnego dnia w czasie studiów wszedł do kościoła w swej rodzinnej wsi, usiadł na posadzce w pozycji lotosu, po czym zaryczał jak lew – powiedział Maciej Bóbr, gdy Marta pewnego dnia zapytała go o obraz. Zamilkł na chwilę, jakby zastanawiał się, ile tajemnic pacjentów może wyjawiać, nawet jeśli ci od dawna już nie żyją. Wreszcie dodał: – Koń stanowił dla niego symbol złego ducha. Choroby, z którą się zmagał. Tak on to widział.

Nocą przed wypisaniem Marty przyszła wichura tak straszna, jakby nad kobierzyńskim szpitalem przemknął tabun koni. Rankiem wszędzie leżały połamane gałęzie.

Kryształy dźwięczały cichutko w głowie Marty, gdy w milczeniu wracała z matką do świata. Taksówkarz również się nie odzywał, auto pachniało kurzem i odświeżaczem-choinką. W pewnej chwili Marcie wydało się, że kierowca włączył radio, ale po chwili pojęła, że to muzyka na nowo odzywa się w jej wyobraźni, cichutko i nieśmiało, jakby pytała, czy może.

Marta wpuściła ją jak dawno niewidzianą przyjaciółkę.

Kraków zalepiony był brudną mgłą, a Wawel widziany z mostu Grunwaldzkiego przypominał ponure zamczysko z gotyckiej powieści. Lecz Marta wciąż spoglądała na świat z wnętrza szopki, z drugiej strony dnia, a tam było przecież pełno światła i nieustannie trwało Boże Narodzenie. Dobrze wiedziała, że złe duchy pognały w dal razem z końmi.

PODZIĘKOWANIA

Antologia *Nic dziwnego* nie powstałaby, gdyby nie pomoc i wsparcie wielu osób, które podzieliły się ze mną historiami niezwykłych ludzi i niezwykłych miejsc. Często były to opowieści o wiele bardziej niezwykłe, niż sam zdołałbym wymyślić. Nic dziwnego, w końcu prawdziwe historie są najbardziej nieprawdopodobne.

Panu Maciejowi Bobrowi, rzecznikowi Szpitala Klinicznego im. dr. Józefa Babińskiego w Krakowie, pragnę podziękować za oprowadzenie po terenie szpitala, zwłaszcza po parku, teatrze i wystawie *Uważaj na głowę* (uważałem, ale niewiele to dało), a także za zabranie mnie do szopki, którą mógłbym oglądać przez kilka godzin. Bardzo się cieszę, że pan Maciej zgodził się wystąpić w opowiadaniu, w czym nie ma zresztą nic dziwnego. Wprawdzie bardzo chciał zostać czarnym charakterem, ale po głębokim namyśle doszedłem do wniosku, że byłoby to dla niego (i dla szpitala) głęboko krzywdzące, a poza tym zupełnie się na czarny charakter nie nadaje.

Za przyjęcie w pałacu Sanguszków w Tarnowie-Gumniskach dziękuję dyrektorowi Zespołu Szkół Ekonomiczno-Ogrodniczych, panu Robertowi Koziołowi, oraz wicedyrektorce, pani Jolancie Chmurze. Pani Agnieszce Klugiewicz, nauczycielce języka polskiego, bardzo dziękuję za oprowadzenie po pałacu i podzielenie się cenną wiedzą o dziejach rodu Sanguszków i ich gniazda. Za merytoryczne wsparcie składam podziękowania pani Barbarze Bułdys z Działu Sztuki Muzeum Ziemi Tarnowskiej. I nadal uważam, że nie ma nic dziwnego w jedzeniu ciastek z talerzyka z wizerunkiem wezyra Kary Mustafy. A ciastek z kremem to już w ogóle.

Proboszczowi Parafii Oczyszczenia NMP w Odporyszowie, księdzu Januszowi Ościwiei CM, dziękuję za fascynującą opowieść o Janie Wnęku oraz za przygotowanie i udostępnienie szczegółowej dokumentacji. Żałuję, że tak mało miejsca mogłem poświęcić artyście i wynalazcy z Odporyszowa. Nic dziwnego, bo to materiał na powieść, i to grubą.

Za rodzinne (i nie tylko) opowieści dziękuję pani Lucynie Hubert-Nieniewskiej i panu Krzysztofowi Rzoncy, gospodarzom dworu w Biskupicach. Oboje zgodnie utrzymują, że w ich domu nie straszy. Nie mówią jednak, że nie ma w nim nic dziwnego.

Ogromnie się cieszę, że udało mi się spełnić kolejne marzenie z dzieciństwa, to znaczy napisać kryminał z Wawelem Zaginionym w tle. Stało się to w dużej mierze dzięki pracownikom Zamku Królewskiego na Wawelu: pan Filip Skowron oprowadził mnie po Budynku nr 5 i przybliżył jego historię, w bibliotece przyjęła mnie pani Edyta Łężniak, o Marianie Siegmundzie opowiedziała pani Aneta Giebuta, a pani Katarzyna Oramus pozwoliła zajrzeć do wawelskiej pracowni konserwacji mebli (nawet nie przypuszczaliśmy, jak mroczne sekrety może ukrywać pewna apteczka ze św. Michałem, Eskulapem i dudkami). Za merytoryczne wskazówki bardzo dziękuję pani Magdalenie Młodawskiej. A ponieważ w polskiej literaturze fantastycznej Wawel był już niszczony i wysadzany na różne sposoby przez Jacka Dukaja, Pawła Majkę, Krzysztofa Piskorskiego i wielu innych twórców, nic dziwnego, że i ja chciałem spróbować. I byłbym z pewnością tego dokonał, ale przeszkodził mi pewien stróż i jego jamnik.

Za miłe przyjęcie i oprowadzenie po klasztorze oo. Bernardynów na Stradomiu, a także za odsłonięcie tylu klasztornych sekretów, ile należy, i ani jednego więcej, dziękuję ojcu gwardianowi Barnabie Olszewskiemu. Za merytoryczne wsparcie historyczno-artystyczne dziękuję Zoltánowi Gaylókayemu. Nic dziwnego, że w klasztorze bardzo mi się podobało.

Za pomoc w dotarciu do archiwalnych zdjęć składam podziękowania Archiwum Narodowemu w Krakowie, Archiwum Państwowemu w Lublinie, Muzeum Diecezjalnemu w Tarnowie, Muzeum Ziemi Tarnowskiej, Marcinowi Zamojskiemu oraz gospodarzom wszystkich miejsc, które miałem przyjemność odwiedzić. Nic dziwnego, że zdjęcia te okazały się nieocenioną pomocą, przenosząc mnie na chwilę w przeszłość. Bez tego wsparcia książka nie mogłaby też ukazać się w takim kształcie, w jakim trzymają ją Państwo w rękach.

Osobne podziękowania należą się wszystkim wspaniałym osobom z Małopolskiego Instytutu Kultury. Przede wszystkim Joannie Nowostawskiej-Gyalókay za propozycję napisania tej antologii i za nieustanne wsparcie na każdym etapie. Joanna potrafi otworzyć każde drzwi i z każdym się dogadać, i nic dziwnego, że w moim przypadku okazało się to nieocenione. Brakuje mi słów, aby wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczny

za tę pomoc. Dziękuję też Paulinie Kasprzyckiej, która pewne rzeczy potrafi podsumować z lapidarnością godną rzymskiego poety (szanuję, też bym tak chciał, i mam nadzieję, że nie obrazi się za to, że kilka jej stwierdzeń ukradłem i umieściłem w książce). Za ogarnianie papierologii dziękuję Joannie Warchoł. Bardzo dziękuję pani Ewie Ślusarczyk za prace redakcyjne nad tekstami, Aleksandrze Kleczce za korektę, a Maciejowi Grochotowi za skład.

Na koniec, jak zwykle, dziękuję mojej żonie, Basi, na którą zawsze mogę liczyć. To ona stwierdziła, że jamnik z Krakowa musi oczywiście nosić imię Kajzer, i nie ma w tym nic dziwnego.

WYBRANA BIBLIOGRAFIA

KLASZTOR I KOŚCIÓŁ OO. BERNARDYNÓW W KRAKOWIE

Bogdalski Cz., *Bernardyni w Polsce (1453–1530). Zarys dziejów na tle współczesnych wydarzeń*, t. 1, Kraków 1933, https://mik.krakow.pl/n5wy (dostęp: marzec 2024).

Bogdalski Cz., *Bernardyni w Polsce. Zakonnicy tego okresu*, t. 2, Kraków 1933, https://mik.krakow.pl/icyr (dostęp: marzec 2024).

Cuda świętego ojca Szymona z Lipnicy (1482–1520) [w:] *Pomniki Dziejowe Polski – Monumenta Poloniae Historica*, seria II, t. XVII, wydali, wstępem i przypisami opatrzyli M. Starzyński, A. Zajchowska-Bołtromiuk, Kraków 2019.

Gliński F., *Krótki opis kościoła OO. Bernardynów na Stradomiu w Krakowie*, Kraków 1866, https://mik.krakow.pl/orcu (dostęp: marzec 2024).

Kantak K., Szablowski J., Żarnecki J., *Kościół i klasztor OO. Bernardynów w Krakowie*, Kraków 1938.

Krótki opis kościoła oo. Bernardynów na Stradomiu w Krakowie, „Kalendarz Czecha na 1867 rok", R. 36, s. 42–44, https://mik.krakow.pl/qf7y (dostęp: marzec 2024).

Marcinek R., *Ogród konwentu OO. Bernardynów na Stradomiu*, „Wiadomości Konserwatorskie Województwa Krakowskiego" 1998, nr 8.

Muczkowski J., *Taniec śmierci w kościele OO. Bernardynów w Krakowie*, Kraków 1929, https://mik.krakow.pl/2q6j (dostęp: marzec 2024).

Torowska J., *Walory edukacyjne ogrodów konwentu OO. Bernardynów na Stradomiu w Krakowie*, „Folia Historica Cracoviensia" 2002, t. 8, https://mik.krakow.pl/ig1w (dostęp: marzec 2024).

Samek J., *Walory artystyczne i treści ikonograficzne kościoła i klasztoru bernardynów w Krakowie*, „Folia Historica Cracoviensia" 2002, t. 8, https://mik.krakow.pl/e1cg (dostęp: marzec 2024).

https://zabytek.pl/pl/obiekty/krakow-klasztor-bernardynow-na-stradomiu (dostęp: marzec 2024).

BUDYNEK NR 5 NA WAWELU

„Acta Archeologica Waweliana" 2009, t. 4, https://mik.krakow.pl/2ctt (dostęp: marzec 2024).

Gąsowski T., *Starania Polaków w Galicji o odzyskanie Wawelu*, „Studia Waweliana" 1994, t. III, https://mik.krakow.pl/egbs (dostęp: marzec 2024).

Gwizdałówna J., *Architektura Wawelu w czasie okupacji niemieckiej 1939–1945*, Kraków 2019, https://mik.krakow.pl/6qen (dostęp: marzec 2024).

Gwizdałówna J., *Ostatnie lata wawelskiego miasteczka. Przemiany zabudowy zachodniej części wzgórza w drugiej połowie XIX wieku*, „Studia Waweliana" 1999, t. VIII, https://mik.krakow.pl/ok8e (dostęp: marzec 2024).

Skowron R., *Wawel w okresie Wolnego Miasta Krakowa*, „Studia Waweliana" 1994, t. III, https://mik.krakow.pl/39uc (dostęp: marzec 2024).

Szlezynger P.S., *Przyczynek do działalności konserwatorskiej Adolfa Szyszko-Bohusza na Wawelu*, „Studia Waweliana" 1999, t. VIII, https://mik.krakow.pl/v8yv (dostęp: marzec 2024).

Szyszko-Bohusz A., *Rotunda św. Feliksa i Adaukta (N. P. Maryi) na Wawelu*, Kraków 1918, https://mik.krakow.pl/o5gm (dostęp: marzec 2024).

Szyszko-Bohusz A., *Wawel pod okupacją niemiecką. Wspomnienia z lat 1939–1945*, „Rocznik Krakowski" (1949–1957), t. 31.

Wiśniewski M., *Adolf Szyszko-Bohusz*, Kraków 2013.

DWÓR W BISKUPICACH

Karpacz A., *Biskupice* [w:] „Sakralne Dziedzictwo Małopolski", https://mik.krakow.pl/lcri (dostęp: marzec 2024).

Mieroszewski H., „Pamiętnik z czasów wojny 1914–18", maszynopis w zbiorach BJ, https://mik.krakow.pl/wba6 (dostęp: marzec 2024).

https://zabytek.pl/pl/obiekty/g-224360 (dostęp: marzec 2024).

Wspomnienia i materiały Krzysztofa Rzoncy.

PAŁAC SANGUSZKÓW W TARNOWIE-GUMNISKACH

„Ceramika i szkło z depozytu książąt Sanguszków" (katalog): t. 1, https://mik.krakow.pl/nipf; t. 2, https://mik.krakow.pl/58s6 (dostęp: marzec 2024).

Długosz J., *Klementyna Maria Teresa Sanguszkowa (z domu Czartoryska)* [w:] „Internetowy polski słownik biograficzny", https://mik.krakow.pl/kn67 (dostęp: marzec 2024).
Długosz J., *Roman Damian Sanguszko* [w:] „Internetowy polski słownik biograficzny", https://mik.krakow.pl/d8xw (dostęp: marzec 2024).
Orman E., *Eustachy Erazm Sanguszko* [w:] „Internetowy polski słownik biograficzny", https://mik.krakow.pl/2n42 (dostęp: marzec 2024).
Tarnów Gumniska, Wielki Przewodnik, red. S. Potępa, t. 17, Tarnów 2008.
https://zabytek.pl/pl/obiekty/g-224941/dokumenty/PL.1.9.ZIPOZ.NID_N_12_EN.507980/4 (dostęp: marzec 2024).
https://zabytek.pl/pl/obiekty/g-261966 (dostęp: marzec 2024).
https://zabytek.pl/pl/obiekty/tarnow-zespol-palacowo-parkowy/dokumenty/PL.1.9.ZIPOZ.NID_N_12_EN.512836/1 (dostęp: marzec 2024).

Muzeum Jana Wnęka i kościół w Odporyszowie

Baranowski J., *Polski zdobywca przestworzy*, „Nowa Wieś", 14.04.1956.
Gałek J.A., *Jan Wnęk latał przed Lilienthalem*, Tarnów 2001.
Gieroń U., *Polski Ikar. Jan Wnęk z Odporyszowa*, Tarnów 1996.
Kochańczyk J., *Polski Ikar spod Tarnowa*, „Sport", 4.08.1978.
Konieczny J., *Skrzydła do latania*, „Skrzydła i Motor" 1951, R. 6, nr 11, https://mik.krakow.pl/d6v1 (dostęp: marzec 2024).
Kulawik P., *Jan Wnęk – podniebny bohater*, https://mik.krakow.pl/ot1i (dostęp: marzec 2024).
Lis R., *Człowiek, który chciał być ptakiem*, „Wieści", 22.08.1976.
Malinowski T., *Opowieść o Janie Wnęku*, „Skrzydlata Polska", 13.06.1971.
Minorski A., *Ikar znad Dunajca*, Warszawa 1970.
Sabor A., *Jan Wnęk. Skrzydlaty rzeźbiarz z Galicji*, https://mik.krakow.pl/60lv (dostęp: marzec 2024).
Seweryn T., *Technicy i wynalazcy ludowi*, Warszawa 1961.
Skowrońska M., *Jan Wnęk. Między niebem a ziemią*, Odporyszów––Kraków 2008, https://mik.krakow.pl/oad5 (dostęp: marzec 2024).
Słonimska H., *Przed Lilienthalem był Jan Wnęk*, „Gościniec" 1978, nr 7.
Człowiek z powietrza [film], reż. M. Kołdras, 2019.

ZESPÓŁ SZPITALNO-PARKOWY W KRAKOWIE-KOBIERZYNIE

Klimek J., *Duszpasterstwo w kobierzyńskiej kapelanii na przestrzeni wieków*, https://mik.krakow.pl/3h4b (dostęp: marzec 2024).

Klimek J., Galus E., *Kobierzyn wczoraj i dziś*, Kraków 2017.

„Kobierzyn bliżej" – wykład profesora Bogdana de Barbaro w MOCAK-u, https://mik.krakow.pl/6rtb (dostęp: marzec 2024).

Rożnowska K., *Można oszaleć: osobliwy świat szpitala psychiatrycznego*, Kraków 2017.

Staniewska A., *Obłędne ogrody. Terapeutyczne właściwości krajobrazu jako podstawa kompozycji zespołów szpitali psychiatrycznych XIX i na początku XX wieku*, Kraków 2020.

„Światowid" 1937, nr 27, https://mik.krakow.pl/8eyc (dostęp: marzec 2024).

100 lat szpitala w Kobierzynie [film],reż. Adrian Rec, 2016, https://mik.krakow.pl/45rj (dostęp: marzec 2024).

https://www.facebook.com/szpitalbabinskiego?locale=pl_PL (dostęp: marzec 2024).

SPIS ILUSTRACJI

S. 10–11: atelier fot. Kriegerów, Kraków. MK, nr inwent. MHK-5533/K, domena publiczna; **S. 12:** Polona, sygn. DŻS XII 8b/p.8/3, domena publiczna; **S. 13: GÓRA** – Polona, sygn. F.54637/II, domena publiczna; **DÓŁ** – Zakład Fotograficzny „Flora", Lwów. Polona, sygn. F.54596/II, domena publiczna; **S. 14:** MNK, nr inwent. MNK III-r.a-12781, domena publiczna; **S. 16–17:** Polona, sygn. F.75651/II, domena publiczna; **S. 18:** Polona, sygn. G.5124/II, domena publiczna; **S. 20:** w zbiorach MNK, nr inwent. MNK I-G-147/8; **S. 21:** Polona, sygn. BJ Graf. I.R. 692, domena publiczna; **S. 22:** MNK, nr inwent. MNK III-r.a-18472; **S. 23:** fot. J. Nowostawska-Gyalókay, 2023. MIK, CC BY SA 4.0; **S. 26–27:** MK, nr. inwent. MHK-78/VIII, domena publiczna; **S. 29:** w zbiorach BJ. Polona, sygn. BJ Graf. I.R. 1088; **S. 31:** obraz w zbiorach Historisches Museum Bamberg. Wikimedia Commons, domena publiczna; **S. 32:** obraz w zbiorach Birmingham Museum of Art. Wikimedia Commons, domena publiczna; **S. 34–35:** Polona, sygn. BJ Graf. I.R. 6218, domena publiczna; **S. 36–37:** fot. S. Kolowca. AZK PZS, sygn. AF-IIb-934; **S. 40:** NAC, sygn. 3/1/0/9/2450; **S. 41:** NAC, sygn. 3/1/0/9/2457; **S. 42: GÓRA** – aut. fot. nieznane. AZK PZS, sygn. AF-160-I; 160-1; **DÓŁ** – fot. Józef Jaworski. AZK PZS, sygn. AF-1135-I; **S. 44:** fot. H. Hermanowicz, lata 60. XX w. MK, nr. inwent. MHK-1537/N/1; **S. 45:** NAC, sygn. 3/1/0/9/2758/215235; **S. 46:** MK, nr. inwent. MHK-1879/VIII/1; **S. 48:** AZK PZS, sygn. AF--1761-I; **S. 49:** AZK PZS, sygn. AF-42401; **S. 51:** AZK PZS, sygn. V/4E; V4F; **S. 53:** AZK PZS, sygn. V/4F; **S. 55:** Polona, sygn. F.54616/I, domena publiczna; **S. 56:** AZK PZS zbiór wycinków prasowych 122; **S. 58–59:** AZK PZS, sygn. AF-26464-I; **S. 60–61:** aut. fot. nieznane. Ze zbiorów K. Rzoncy; **S. 62:** aut. fot. nieznane. Kopia ze zbiorów K. Rzoncy; **S. 63:** aut. fot. nieznane. Kopia ze zbiorów K. Rzoncy; **S. 64:** aut. fot. nieznane. Ze zbiorów K. Rzoncy; **S. 67:** aut. fot. nieznane. Ze zbiorów K. Rzoncy; **S. 69:** aut. fot. nieznane. Ze zbiorów K. Rzoncy; **S. 71:** P. Hélyot, *Histoire des ordres monastiques…*, Wikimedia Commons, CC BY 4.0; **S. 72: GÓRA I DÓŁ** – aut. fot. nieznane. Ze zbiorów K. Rzoncy; **S. 74:** MBC, domena publiczna; **S. 76:** aut. fot. nieznane. Ze zbiorów K. Rzoncy; **S. 77:** aut. fot. nieznane. PAUart, domena publiczna; **S. 78:** aut. fot. nieznane. Ze zbiorów K. Rzoncy; **S. 79–80:** aut. fot. nieznane. Ze zbiorów K. Rzoncy; **S. 82:** fot. K. Widmańskiej, ok. 2008. Ze zbiorów K. Rzoncy; **S. 83:** fot. K. Widmańskiej, ok. 2008. Ze zbiorów K. Rzoncy; **S. 85–86:** aut. fot. nieznane. NAC, sygn.: 1-U-1549a, domena publiczna; **S. 87: GÓRA** – aut. fot. nieznane. NAC, sygn. 1-P-2176-1, domena publiczna; **DÓŁ** – aut. fot. nieznane.

NAC, sygn. 1-P-2176-3, domena publiczna; **s. 89: GÓRA I DÓŁ** – fot. S. Kostka hr. Zamoyski. Oryginały w zbiorach M. Zamoyskiego, kopia APL, domena publiczna; **s. 92:** fot. T. Rząca. MuFo, sygn. MHF 3727/II/104, domena publiczna; **s. 93:** ANK, sygn. Archiwum Sanguszków 29/637/3444, domena publiczna; **s. 94:** aut. fot. nieznane. MZK, nr ident. MPK/F/119, domena publiczna; **s. 95:** fot. T. Mroczkowski. AGAD, sygn. 1/425/0/2/B193, domena publiczna; **s. 96:** aut. fot. nieznane. NAC, sygn. 1-G-2607-4, domena publiczna; **s. 97:** aut. fot. nieznane. NAC, sygn. 1-P-2177, domena publiczna; **s. 99: GÓRA** – fot. W. Rzewuski. AGAD, sygn. 1/425/0/1/A134, domena publiczna; **DÓŁ** – fot. T. Szajnok. Polona, sygn. F.15076, domena publiczna; **ŚRODEK** – fot. B. Henner. MZK, nr ident. MPK/F/977, domena publiczna; **s. 100:** fot. R. Moździerz. MZT, sygn. sygn. MT-A-P/1857; **s. 101:** fot. T. Szajnok. MNW, nr inw. DI 127242, domena publiczna; **s. 102:** fot. A. Disderi. Polona, sygn. F.87717/AFF.I-77, domena publiczna; **s. 103:** fot. R. Moździerz. MZT, sygn. sygn. MT-A-M/384; **s. 105:** fot. K.u.K. Hof Atelier Adèle. MZK, nr ident. MPK/F/460, domena publiczna; **s. 106:** *Tarnów Gumniska. Wielki Przewodnik*, red. S. Potępa, t. 17, Tarnów 2008, s. 379; **s. 109:** aut. fot. S. Różański. AGAD, sygn. 1/425/0/1/A115, domena publiczna; **s. 110–111:** fot. K. Schubert, 2022. MIK, CC BY-SA 4.0; **s. 113:** *Album kościołów i kaplic dekanatu dąbrowskiego diecezji tarnowskiej 1865* – kościół pw. św. Małgorzaty. MDT, nr inwent. MDT 2833; **s. 115: GÓRA** – A. Thorburn, *British mammals*, vol. 1, pl. 4, London 1920, domena publiczna; **DÓŁ** – proj. Z. Szewczyk, M. Gąsowska, fot. M. Wąsik, 2018. MEK, nr inwent. 24430/mek; **s. 116:** MNW, nr inwent. MP 561 MNW, domena publiczna; **s. 117:** Otto Lilienthal, *Der Vogelflug als Grundlage der Fliegekunst*, Berlin 1889. Wikimedia Commons, domena publiczna; **s. 118–119:** aut. fot. nieznane, 1937. NAC, sygn. 1-R-525, domena publiczna; **s. 120:** fot. Sylwia Nikko Biernacka, 2008; s. 123: aut. fot. nieznane, ok. 1870, www.awers-rewers.pl, domena publiczna; **s. 124–125:** fot. Sylwia Nikko Biernacka, 2008. Figura Symeona w zbiorach Muzeum Etnograficznego w Krakowie, figura Maryi w odporyszowskim muzeum; **s. 127:** Muzeum Jana Wnęka w Odporyszowie, fot. K. Schubert, 2022. MIK, CC BY-SA 4.0; **s. 128:** aut. fot. nieznane. Library of Congress, domena publiczna; **s. 129:** proj. Z. Szewczyk, M. Gąsowska, fot. M. Wąsik, 2018. MEK, nr inwent. 24430/mek; **s. 130:** A. Minorski, *Ikar znad Dunajca*, Warszawa 1970, s. 127; **s. 131:** A. Minorski, *Ikar znad Dunajca*, Warszawa 1970, okładka; **s. 134–135:** aut. fot. nieznane. SzK, domena publiczna; **s. 137:** SzK,

domena publiczna; **s. 138:** aut. fot. nieznane. NAC, domena publiczna; **s. 139:** aut. fot. nieznane. NAC, domena publiczna; **s. 140–141:** aut. fot. nieznane. SzK, domena publiczna; **s. 142–143:** aut. fot. nieznane. SzK, domena publiczna; **s. 144:** aut. fot. nieznane, SzK, domena publiczna; **s. 146: GÓRA** – aut. nieznane. SzK, domena publiczna; **DÓŁ** – ANK, sygn. 29/14111/123; **s. 147:** aut. fot. nieznane. NAC, sygn. 1-C-309-13, domena publiczna; **s. 148–149:** aut. fot. nieznane. SzK, domena publiczna; **s. 150:** aut. fot. nieznane. SzK, domena publiczna; **s. 151:** aut. fot. nieznane. SzK, domena publiczna; **s. 153: GÓRA** – aut. fot. nieznane. SzK, domena publiczna; **DÓŁ** – ANK, sygn. 29/1411/0/2.22/129; **s. 154–155:** aut. fot. nieznane. NAC, sygn. 1-C-312, domena publiczna; **s. 156:** aut. fot. nieznane. SzK, domena publiczna; **s. 157–158:** fot. J. Nowostawska-Gyalókay, 2024. MIK, CC BY SA 4.0

Dołożyliśmy wszelkich starań, aby dotrzeć do autorów zdjęć publikowanych w niniejszej książce. Jeśli nie podano nazwiska autora fotografii, jest on nieznany. Jeśli nie wskazano inaczej, licencje są zastrzeżone.

AGAD	Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie
ANK	Archiwum Narodowe w Krakowie
APL	Archiwum Państwowe w Lublinie
AZK PZS	Archiwum Zamku Królewskiego na Wawelu – Państwowe Zbiory Sztuki
MBC	Małopolska Biblioteka Cyfrowa w Krakowie
MDT	Muzeum Diecezjalne w Tarnowie
MEK	Muzeum Etnograficzne w Krakowie
MIK	Małopolski Instytut Kultury w Krakowie
MK	Muzeum Krakowa
MNK	Muzeum Narodowe w Krakowie
MNW	Muzeum Narodowe w Warszawie
MuFo	Muzeum Fotografii w Krakowie
MZK	Muzeum Zamoyskich w Kozłówce
MZT	Muzeum Ziemi Tarnowskiej
NAC	Narodowe Archiwum Cyfrowe
PAUart	Katalog zbiorów artystyczno-naukowych Polskiej Akademii Umiejętności
Polona	Zbiory cyfrowe Biblioteki Narodowej
SzK	Szpital im. dr. J. Babińskiego w Kobierzynie

TYGODNIK POWSZECHNY

Weź, czytaj!

Świat da się naprawić. Zróbmy to wspólnie.

Naprawdę

TygodnikPowszechny.pl

TAJEMNICZA, MAGICZNA, PEŁNA CUDÓW



„WYSZUKANA MAŁOPOLSKA" – SPRAWDŹCIE, JAKIE OPOWIEŚCI SKRYWA

ZAMÓW NA:
WWW.MIK.KRAKOW.PL/SKLEP

Organizator:

małopolski instytut kultury MIK INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

Patronat honorowy:

unesco
Polski Komitet do spraw UNESCO

Gospodarze:

- Klasztor oo. Bernardynów w Krakowie
- Lucyna Nieniewska i Krzysztof Rzonca
- Parafia Oczyszczenia Najświętszej Maryi Panny w Odporyszowie
- Szpital Kliniczny im. dr. Józefa Babińskiego w Krakowie
- Zamek Królewski na Wawelu
- Zespół Szkół Ekonomiczno-Ogrodniczych w Tarnowie

BERNARDYNI KRAKÓW

INSTYTUCJA WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

Współorganizatorzy:

- Gminne Centrum Kultury w Żabnie
- Małopolskie Parki Przemysłowe Sp. z o.o.
- Miasto i Gmina Żabno
- Muzeum Etnograficzne w Krakowie
- Muzeum Ziemi Tarnowskiej

GMINNE CENTRUM KULTURY w Żabnie

INSTYTUCJE WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

małopolskie parki przemysłowe Sp. z o.o.

MUZEUM ETNOGRAFICZNE W KRAKOWIE

MUZEUM ZIEMI TARNOWSKIEJ

Partnerzy publikacji:

ARCHIWA PAŃSTWOWE
ARCHIWUM NARODOWE W KRAKOWIE

ARCHIWA PAŃSTWOWE
NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Patroni medialni:

TVP 3 KRAKÓW

Radio Kraków

wyborcza.pl

KrakówCulture KARNET

miasto dzieci

NIESAMOWITA POLSKA

dnidziedzictwa.pl

Na okładce tej książki widzimy chłopaka popisującego się zwinnością. Co w tym dziwnego? Niezwykły splot wydarzeń zmienia życie dwudziestoczterolatka z Krakowa – oto bowiem, kiedy pomaga w akcji gaśniczej i ogień sprawia, że runą schody w sześciopiętrowej kamienicy, on wdrapuje się na ostatnie piętro i spuszcza linę, po której strażacy bezpiecznie się wydostaną. Wtedy odkrywa swoją pasję i odtąd regularnie wspina się na kamienice, bez zabezpieczeń, przy coraz to większym aplauzie publiczności – myślimy: to dziwne i niezwykłe zarazem. Takie same uczucia budzą się w nas podczas lektury tej książki: gdy czytamy o chłopie spod Tarnowa, który z pasją rzeźbi ludowe świątki i marzy, by polecieć wreszcie na skrzydłach własnej konstrukcji z przykościelnej wieży. Albo kiedy duchom przeszłości z pewnego dworu wydaje się, że zostały nawiedzone przez inne duchy. Czy gdy dzielny stróż z Wawelu rozwiązuje zagadkę i zapobiega…

Radek Rak – z zawodu weterynarz, z wyboru pisarz. *Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli* przyniosła mu rozgłos i wiele nagród, w tym Nagrodę Literacką Nike 2020. Odbiorcom Dni Dziedzictwa dał się już poznać za sprawą jednego z opowiadań składających się na antologię *Ornament* (2023). Mieszka w Krakowie.

Publikacja bezpłatna, nieprzeznaczona do sprzedaży
ISBN 978-83-67862-13-4

